W co gra Zełenski • Burza w Warszawie • Klima: gorący rynek • Co czyha w basenie
Polska rewolucja seksualna • Dramaty Piesiewicza • Brzuchy na wierzchu

POLITYKA.PL

POLITYKA

Wspominamy Janinę Paradowską

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 29 (3573), 15.07–21.07.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Dr Tusk

Stan władzy: jaka diagnoza, jaka terapia s. 10, 18, 40

ISSN 0032-3500
Wydanie w sprzedaży do 21.07.2026

© SHUTTERSTOCK AI/AMAR, MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 742e21c9af

BIAŁA PLAMA CZARNEGO LĄDU

W sprzedaży

KUP TERAZ

148 stron

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 742e21c9af

© HENRY NICHOLLS/AFP/EAST NEWS, ARCHIWUM POLITYKI

14 Wybory Wołodymyra

Tematy tygodnia

10 Michał Danielewski **Troski Tuska**
14 Paweł Reszka, Zoriana Varenia **Zełenski na fali**

Polityka

18 Joanna Sawicka, Wojciech Szacki **Warszawa: wściekłość i Trzask**
21 Anna Dąbrowska **Adam Andruszkiewicz – narodowiec prezydenta**

Społeczeństwo

24 O cieplejszym stosunku Polaków do chłodzenia opowiada **Jerzy Bierówka** z branży klimatyzacji
28 Zbigniew Borek **Piotr Czerniejewski – roztańczony radny**
31 Jak chronić dzieci przed pornografią w sieci, mówi dr **Konrad Ciesiołkiewicz**
34 Czym grozi kąpiel w basenie, ostrzega hydrogeolog prof. **Mariusz Czop**
37 Violetta Krasnowska **Kogo i za co ściga w Polsce Prokuratura Europejska**

Rynek

40 O dzikiej prywatyzacji szpitali opowiada **osoba od lat związana z publicznym systemem lecznictwa**
43 Cezary Kowanda **Jak przemeblować meblarstwo**

Świat

46 Łukasz Wójcik IRAN **Pogrzeb starego państwa**
49 Jarosław Kuisz FRANCJA **Marine Le Pen wraca do gry**
52 Mariusz Zawadzki USA **Graham Platner – skucha Demokratów**

Nauka/projektpulsar.pl

54 Czym się objawia ADHD, mówi psychiatra **Jarosław Jóźwiak**
57 O przeglądzie wszechświata w chilijskim obserwatorium opowiada astrofizyczka **Agnieszka Pollo**
60 Andrzej Hołdys **Zielone ślady czarnej śmierci**

Historia

62 Rozmowa z dr **Anną Dobrowolską**, autorką książki o polskiej odgórnej rewolucji seksualnej
65 Tomasz Targański **Feliks Dzierżyński – zbrodniarz czy romantyk zaplątany w zło?**

Kultura

72 Janusz Wróblewski **Wstrząsające studium losu Krzysztofa Piesiewicza, wybitnego adwokata i scenarzysty**
76 Bartek Chaciński **Hity lata, czyli dla każdego coś innego**
79 Jakub Demiańczuk **Tadeusz Baranowski (1945–2026) – dekonstruktor komiksu**
80 Olaf Szewczyk **„Heroes of Might and Magic" – gra, którą zachwyca się już trzecia generacja**

Sport

84 Marcin Piątek **Erling Haaland – nowa gwiazda futbolu**

10. rocznica śmierci Janiny Paradowskiej

90 Malwina Dziedzic **Wspominamy naszą Dziennikarkę i Przyjaciółkę**

Ludzie i style

93–97 • **Brzuchy na wierzch** • **Wirale z mundialu** • **Rezanie i imprezowanie** • **Wegański makaron z truskawkami** • **POCZTÓWKA POLITYKI: wśród duchów Wietnamu**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia • **16**, **17**, **92**, **98** Galeria POLITYKI • **68** Afisz • **86** Mea Pulpa • **87** Lis • **88** Hartman • **89** Passent • **91** Do i od redakcji • **92** Mizerski • **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 742e21c9af

Gdzie ci bohaterowie?

Bartek Chaciński

Potrzebujemy bohaterów. Jak w przeboju zmarłej Bonnie Tyler, która śpiewała: „Gdzie się podziali wszyscy porządni mężczyźni?". Stąd pewnie taka kariera Erlinga Haalanda (jego sylwetka na s. 84). Napastnika reprezentacji Norwegii, która wprawdzie znalazła się już poza burtą mundialu, ale która wiosłowała – a wraz z nią jej kibice po każdym ze zwycięstw – tak dzielnie i imponująco, że pozostanie w zbiorowej pamięci. Haaland, na boisku z pozoru wielki i powolny, ale w istocie zrywny i czujny, imponował także innymi paradoksami. Zaczęto przypominać nieszablonowe gesty, które czynią z niego piłkarza dość nietypowego.

Wyobraźmy sobie na przykład, że nasz polski gwiazdor futbolu, zamiast pokazywać się na pokazach mody i inwestować w sektor suplementów diety, wydaje pieniądze na starodruki. Kupuje za równowartość pół miliona złotych XVI-wieczne wydanie sagi „Heimskringla" Snorriego Sturlasona tylko po to, żeby je przekazać lokalnej bibliotece swojego 12-tysięcznego rodzinnego Bryne. A to historia Haalanda. Norweg pokazuje, jakiego sposobu okazywania sukcesu moglibyśmy oczekiwać od bohaterów sportu.

Lato ze swoją lżejszą zazwyczaj hierarchią wydarzeń spłaszcza bohaterskie hierarchie. Spotykamy się mianowicie w tłumie, na imprezach śledzonych przez dziesiątki tysięcy widzów. I nie są to tylko mecze na wielkich amerykańskich stadionach, gdzie kamera dostrzega celebrytów sączących wino w wygodnych lożach. Są to także stadionowe koncerty albo festiwale muzyczne – jak gdyński Open'er, na którym plotkarskie serwisy wyłapują bawiących się w strefie VIP Wojciecha Szczęsnego i Roberta Lewandowskiego oraz Annę Lewandowską widzianą na miejscu przed stoiskiem z hot dogami (!). Ale na samej imprezie w istocie mało kogo obchodzi, że są sławy na widowni, skoro tłum zebrał się dla sław na scenie.

To fenomen sytuacji, kiedy bardzo wiele oczu śledzi tę samą scenę i wystarczy się na niej pojawić. Znamy to z meczów piłkarskich: ktoś nagle wpada na murawę, żeby coś zamanifestować, zamachać transparentem. Zgarniają go służby porządkowe, ale już zdążył się stać gwiazdą widowiska. Na koncercie Zary Larsson – na który przyjechali państwo Lewandowscy – takim bohaterem został Piotr Czerniejewski, radny Lewicy z Konina (tekst o nim na s. 28). 25-letni lokalny polityk spędził wiele miesięcy na przygotowaniach do tego, żeby to właśnie jego szwedzka wokalistka wybrała z publiczności do wspólnego tańca, wykonał cały układ z precyzją, a teraz stara się wykorzystać piętnaście minut popularności, które mu przyniósł ten wyczyn. Lokalnie, na gdyńskich Babich Dołach, stał się bohaterem.

Jeszcze większe zgromadzenie, zebrane jednak w zupełnie innych okolicznościach i w innym celu, przeżył Iran. Pogrzeb Najwyższego Przywódcy kraju, Alego Chameneiego, przyciągnął miliony ludzi i być może był to – jak notuje na naszych łamach (s. 46) Łukasz Wójcik – największy tłum w historii ludzkości. Trudno to oczywiście dokładnie ocenić. Porównywać trzeba by nie z wielkimi wydarzeniami muzycznymi, tylko religijnymi – choćby opisywaną w POLITYCE pielgrzymką z okazji Kumbh Mela w Indiach. Koncerty, nawet gigantyczny noworoczny występ Roda Stewarta na plaży Rio de Janeiro sprzed lat na ponad 3 mln osób, to przy tym imprezy skromnych rozmiarów.

Amerykanom udało się coś wyjątkowego: nawet niechętni reżimowi Irańczycy poczuwali się do żałoby albo odczuwali dumę po przywódcy, który oddał życie w obronie kraju. Skutki tej zmiany emocji dla USA mogą być bardzo kłopotliwe. Tym bardziej że z kolei amerykański prezydent sprawczość udowadnia w sposób zahaczający o farsę – domagając się cofnięcia kary dla amerykańskiego piłkarza. A prestiż buduje, aprobując pomysł nadania lotnisku w Palm Beach swojego imienia. Owszem, są w USA lotniska Kennedy'ego i Reagana, ale ani jeden, ani drugi nie przyjmowali tego honoru jako urzędujący prezydent. Dużo wskazuje też na to, że President Donald J. Trump International Airport może być dla prezydenta kolejną okazją do zarobienia pieniędzy. Choć pewnie nie tak atrakcyjną jak gra wojną i kryzysem paliwowym na giełdzie. Ale czy mu to zaszkodzi?

Bo przecież z drugiej strony Europa nie do końca potrafi na to odpowiedzieć – wciąż jak Tyler w „Holding Out for a Hero" rozgląda się za kimś silnym, za gestem odwagi. A nie ma bohatera, który mógłby być alternatywą dla Trumpa. „Przechodzimy w Europie kryzys przywództwa" – wyrokuje polski biznesmen Rafał Brzoska w rozmowie z francuskim „L'Express". Sam twierdzi, że nie chce iść do polityki. Interesuje go to, żeby z InPostu zrobić w swojej dziedzinie globalną markę na wzór szwedzkiego Spotify. Czyli jednak przemysł rozrywkowy.

W kraju na największe zgromadzenie tego lata zapowiada się jak zwykle darmowy – i również rozrywkowy – festiwal Pol'and'Rock. A wielkie emocje po politycznej aferze wokół Szpitala Południowego widać raczej w sferze internetowej niż na manifestacjach. I pewnie tak zostanie, co premier Donald Tusk najwyraźniej próbuje wykorzystać. Po skandalu rząd przyjął, jak pisze Michał Danielewski (s. 10), kurs na przeczekanie. „To taktyka o tyle kusząca, że sondaże nie są nadzwyczajnie alarmujące, a potencjalny konflikt z lekarzami o wysokość ich zarobków będzie dla rządu wizerunkowym prezentem". Można by kryzys zamienić w reformatorski gest odwagi i przekuć w sukces, ale tego nie widać.

Sytuacja rządu przypomina jako żywo tę z kart komiksów innego zmarłego mistrza polskiego komiksu Tadeusza Baranowskiego (s. 79). W historii „Skąd się bierze woda sodowa" przez cały tom Kudłaczek i Bąbelek szukają szczęścia i sukcesu w pełnej absurdów egzystencjalnej podróży. Nagle odnajduje ich posłaniec z wiadomością o wygranej w loterii (ale zawartość telegramu zna tylko czytelnik). Bohaterowie przez chwilę spekulują, co kryje koperta i że na pewno coś złego. W końcu decydują: „Najlepiej nie czytać, wyrzucić i przeczekać".

Potrzebujemy bohaterów, ale czujnych i odpornych na wodę sodową.

eprasa.pl 742e21c9af

Albatros travel

Albatros 40 lat

Indonezja
– kalejdoskop wrażeń

Bogata w atrakcje podróż przez pełną kontrastów Indonezję – od tętniącej życiem stolicy Dżakarty i dziedzictwa kulturowego Jawy, przez wulkaniczne krajobrazy i Park Narodowy Komodo, aż po relaks na wyspie Bali. Program łączy spektakularną przyrodę, historyczne zabytki oraz komfortowe warunki podróży na całej trasie.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Dżakarty i kolacja powitalna. **Dz. 3** Zwiedzanie Dżakarty. **Dz. 4** Podróż pociągiem z Dżakarty do Yogyakarty. **Dz. 5** Tradycyjna wioska Candirejo, Yogyakarta i imponująca świątynia Borobudur. **Dz. 6** Świątynia Prambanan i przejazd do Malang. **Dz. 7** Wulkaniczny krajobraz wokół wulkanu Mount Bromo. **Dz. 8** Kolorowa wioska i dalsza podróż na Flores. **Dz. 9** Wycieczka po Parku Narodowym Komodo w poszukiwaniu waranów. **Dz. 10** Przelot na Bali. **Dz. 11** Pola ryżowe, Ubud i tradycje balijskie. **Dz. 12** Wizyta w wiosce i spotkanie z balijską rodziną. **Dz. 13** Ubud – dzień wolny lub wycieczka rowerowa (opcjonalnie). **Dz. 14** Ubud–Sanur. Wulkan Batur i świątynia Besakih. **Dz. 15** Dzień wolny w Sanur. **Dz. 16** Wylot z Bali. **Dz. 17** Powrót do domu.

17 dni | Wylot z Warszawy 17/03 2027 | od 13.998,-

NOWOŚĆ

5 obiadów i 6 kolacji w cenie

Afryka Mandeli

Trasa tej wycieczki do RPA prowadzi przez najpiękniejsze miejsca tego afrykańskiego kraju: od safari w Parku Krugera przez Przylądek Dobrej Nadziei do Kapsztadu.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga i przejazd do Hazyview. **Dz. 3** Trasa Panoramiczna i Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 4–5** Safari w rezerwacie Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 6** Rezerwat Dzikich Zwierząt Manyeleti - Zebra Nature Reserve. Wycieczka do Zebra Reptile Center. **Dz. 7** Wycieczka do Soweto i Pretorii. **Dz. 8** Zebra Nature Reserve – George – nadmorskie miasteczko Knysna. **Dz. 9** Rezerwat przyrody Featherbed, laguna Knysna i spacer po nadmorskim lesie. **Dz. 10** Knysna. Winnica w Robertson z degustacją wina. Kapsztad. **Dz. 11** Kapsztad - zwiedzanie miasta. Ogród Botaniczny Kirstenbosch. **Dz. 12** Kapsztad. Przylądek Dobrej Nadziei. Rejs na wyspę Duiker. Punkt widokowy Chapman's Peak. Kolonie pingwinów w Simon's Town. **Dz. 13** Kapsztad. Podróż powrotna. **Dz. 14** Przylot do Polski.

14 dni | Wyloty z Warszawy 22/11 2026, 12/03 2027 | od 15.498,-

2 posiłki dziennie

Peloponez – kolebka europejskiej kultury

Bogata historia, niezwykła gościnność i lazurowe morze. Dołącz do naszej wycieczki, pełnej greckiej kultury i odpocznij w urokliwej miejscowości Tolo.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa–Ateny. Krótkie zwiedzanie stolicy Grecji. Przejazd do Tolo. **Dz. 2** Tolo oraz historia wojny trojańskiej podczas wycieczki do Asini. Wprowadzenie do historii Grecji i języka greckiego. **Dz. 3** Pierwsza stolica nowożytnej Grecji – Nafplio. **Dz. 4** Podróż przez historię Grecji, teatr w Epidauros i produkcja oliwy z oliwek. **Dz. 5** Starożytne Mykeny i Lwia Brama. **Dz. 6** Dzień wolny, wieczorem nauka tradycyjnego tańca greckiego. **Dz. 7** Małe wioski Arkadii z obiadem w lokalnej restauracji. **Dz. 8** Powrót do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 03/11 2026 | od 4.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL25**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 742e21c9af

Obrachunki z Patriotami

Kilka przekazanych Ukrainie wiosną pocisków przechwytujących odpaliło w Polsce salwę politycznego krętactwa, hipokryzji i hejtu. Do zaognionej atmosfery między Warszawą a Kijowem dolano rakietowego paliwa. Opozycja zmusiła rząd do przyznania, że wbrew wcześniejszym zapewnieniom przekazał Ukrainie – na wyraźne życzenie USA i NATO – cenne pociski. To, że kosztują prawie 6 mln dol. za sztukę, to jedno, ważniejsze, że są naprawdę jedyną bronią o potwierdzonej skuteczności przeciwko rosyjskiej „balistyce", rakietom Iskander i Kindżał. Jednak decyzja władz była wynikiem strategii przyjętej przez poprzednią władzę: wspierania ukraińskiej walki zasobami własnymi i uczestniczenia w wielonarodowej pomocy, która od czasu do czasu przybiera postać „zrzutki". Choć fabryki Patriotów przyspieszają produkcję, nie są w stanie pokryć potrzeb USA, Bliskiego Wschodu, Europy i Ukrainy. Ten system to globalna marka z 20 użytkownikami na świecie, dziś na wyścigi kupującymi pociski. Ich produkcja to mniej niż dwie rakiety dziennie, wyłącznie w USA i Japonii, która nie ma praw do eksportu.

Powstająca fabryka w Niemczech wypuści pierwsze rakiety w przyszłym roku; uruchomienie obiecanej Ukrainie przez Donalda Trumpa licencji to kwestia kilku lat. Na razie trzeba więc sięgać do zapasów, dokładnie tak, jak robił to rząd PiS w pierwszych miesiącach wojny.

Zagoniony do narożnika MON pokazał dane: za rządów PiS na Ukrainę trafiła pomoc wojskowa warta 16 mld zł, podczas gdy obecna władza przekazała sprzęt wart 1,5 mld zł. Lista i wycena wciąż są ogólne; analitycy toczą spory o dokładną wartość. Były premier Mateusz Morawiecki mówi dziś o „pozbywaniu się złomu", choć za jego rządów ten „złom" miał być dla Ukrainy bezcenną bronią.

Czołgi, działa, transportery opancerzone, nawet liczone w setkach, to jednak historia, bo w ciągu kilku lat wojna tak bardzo się zmieniła, że dziś mało je widać. Nie zmieniło się – a nawet wzrosło – zagrożenie z powietrza. Gdy Rosja co kilka dni bombarduje Ukrainę setkami dronów i dziesiątkami rakiet, w kraju do niedawna dumnym z udzielanej pomocy trwa niezrozumiały dla świata spór o kilka procent polskiego zapasu rakiet. Polska to dla Ukrainy partner wciąż nieodzowny, ale na tle innych krajów nasza rola spada. Według raportu Atlantic Council pomoc z Polski jest dwukrotnie niższa od duńskiej i czterokrotnie – od niemieckiej. A „na głowę" mieszkańca wynosi niecałe 650 zł. (MŚ)

Edukacyjne rozwarstwienie

Józef Peruga, prawdopodobnie najstarszy maturzysta w Polsce, niestety nie zdał egzaminu. Wyników 87-latka z Kalisza, od trzech lat podchodzącego do matury, aby spełnić swoje marzenie z młodości, wypatrywali liczni sympatycy z całej Polski. Senior zapowiada, że skorzysta z możliwości odwołania i że być może w przyszłym roku znowu przystąpi do testów.

Tegoroczni absolwenci szkół branżowych II stopnia również kolejny rok masowo legną na maturach. Egzamin zdało tylko 15 proc. tych, którzy próbowali! 28 proc. nie zaliczyło tylko jednego przedmiotu obowiązkowego; mają więc prawo do poprawki w sierpniu. Ale 56 proc. nie zdało dwóch lub trzech przedmiotów. Przy czym do matury podeszło tylko 1,7 tys. osób, mniej więcej co czwarty tegoroczny absolwent szkoły branżowej II stopnia. A do zaliczenia przedmiotu obowiązkowego wystarcza przecież zdobycie 30 proc. punktów.

W ostatnich latach Centralna Komisja Egzaminacyjna nie podaje nawet wyników absolwentów branżówek w osobnej tabeli, tylko w łatwym do przeoczenia przypisie do ogólnej informacji.

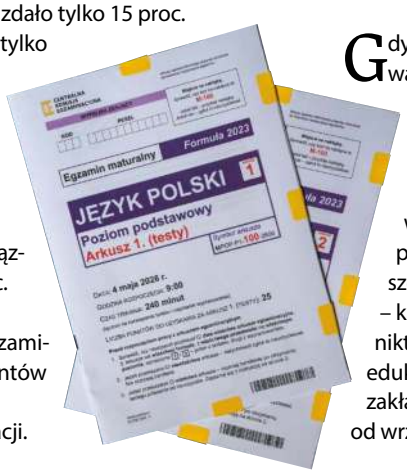

Ewidentnie w modelu tych szkół, wymyślonych w czasach rządów PiS (w pakiecie z likwidacją gimnazjów), coś dramatycznie nie działa.

220 tys. absolwentów liceów i 100 tys. absolwentów techników poradziło sobie z maturami podobnie jak w poprzednich latach. Zdało 86 proc. licealistów i ponad 70 proc. młodzieży z techników. Z obowiązkowych przedmiotów na poziomie rozszerzonym tradycyjnie najlepiej poszedł angielski (zaliczyło go 95 proc. zdających), a najsłabiej matematyka (86 proc.). I tu jednak utrzymują się niepokojące prawidłowości. Wyniki w technikach, tak na egzaminach podstawowych, jak i na rozszerzonych, pozostają znacznie słabsze niż w liceach.

Gdyby do egzaminów na poziomie rozszerzonym zastosować próg 30-proc. zdawalności, jak to planował Przemysław Czarnek jako minister edukacji, osoby po technikach po prostu masowo oblałyby maturę. Średni wynik matury z chemii w technikach to 15 proc., z fizyki – 19 proc., z biologii – 23 proc. Zdający, po pięciu latach w szkole, po prostu nie umieją nic albo prawie nic z tych przedmiotów. I naprawdę nie można się pocieszać, że rozszerzenia na maturach nastolatki wybierają przypadkowo – każdy przecież wie, że te przedmioty są wymagające, nikt ot tak się na nie nie porywa. Po prostu rozwarstwienie edukacyjne w Polsce ma się doskonale. I trudno uczciwie zakładać, że reforma Kompas Jutra, która wchodzi do szkół od września, szybko je wyhamuje. (J.CIEŚL)

© WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, OLIWIA DOMAŃSKA/EAST NEWS, JAKUB WŁODEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 742e21c9af

Gdy rozum śpi

Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka

Podczas gdy przez Polskę przetacza się brunatna fala antyukraińskich ekscesów, partie polityczne zamiast debatować nad jej powstrzymaniem, licytują się, która z nich mniej pomogła walczącej Ukrainie. Absurdalność tej sytuacji wymyka się logice, szczególnie w kontekście odtajnionych przez Władysława Kosiniaka-Kamysza donacji wojskowych z lat 2022–26. Decyzja szefa MON była reakcją na wpisy polityków opozycji, m.in. Krzysztofa Bosaka z Konfederacji i Mariusza Błaszczaka z PiS, którzy zasugerowali, że Polska w tajemnicy przekazała Ukrainie pociski do systemu Patriot PAC-3 MSE. Pomijając fakt, że właściwszą odpowiedzią rządu powinno być chyba przypomnienie, czym jest tajemnica wojskowa i jakie kary grożą za jej ujawnienie – publiczne informowanie, jaki sprzęt z zasobów polskiej armii został wysłany na wschód, było, delikatnie mówiąc, nierozsądne. I to na wielu poziomach.

Kosiniak-Kamysz podkreślił jednocześnie, że rząd nie ulegnie „populistycznym krzykom" i „spirali nienawiści" nakręcanej przez takich ludzi jak Grzegorz Braun, który na antyukraińskiej narracji próbuje budować „ulotne poparcie" swojej partii. Jednak wbrew własnym słowom rząd nie tylko uległ prawicy, która ściga się na antyukraińskość, ale też wpisał się w jej pokrętną narrację, według której pomoc Ukraińcom jest wielkodusznym aktem miłosierdzia, nie zaś realizacją polskiego interesu narodowego, który nakazuje trzymanie Rosjan jak najdalej od naszej granicy. Podając konkretną i robiącą wrażenie wartość donacji, szef MON nie tylko nie zamknął ust krytykom polskiej pomocy dla Ukrainy, ale też dał im dodatkowe argumenty – a dokładnie ponad 16 mld.

Decyzji tej nie można niestety rozpatrywać jedynie w kategoriach wpadki, wpisuje się bowiem w szereg innych sygnałów wysyłanych przez koalicję rządową do społeczeństwa. Ich wspólnym mianownikiem jest – przejęty od prawicy – przekaz, że taryfa ulgowa dla Ukrainy już się skończyła, a Polska będzie dbać przede wszystkim o interesy własnych obywateli. Pokazowe deportacje Ukraińców, którzy złamali prawo, mają być ilustracją twardego kursu rządu i odpowiedzią na narastające w naszym kraju antyukraińskie nastroje. Nie do końca tylko wiadomo, czy taka postawa polityków koalicji 15 października miałaby te nastroje wyhamować, czy raczej – jak się to dzieje obecnie – podsycić.

Trudno uwierzyć, że premier Tusk, polityk bardzo doświadczony, wpadłby na pomysł, że takie działania mogą przysporzyć KO dodatkowych głosów w nadchodzących wyborach parlamentarnych. Zarówno politologiczne analizy oparte na twardych badaniach, jak i bieżące sondaże wyborcze pokazują to samo: przejmując hasła prawicy, koalicja wzmacnia przede wszystkim Konfederację. Ubocznym, ale nie mniej ważnym efektem jest normalizacja poglądów dotąd uważanych za skrajne, a coraz częściej wyrażanych „odważnie" przez niektórych Polaków w stosunku do ukraińskich sprzedawczyń czy kierowców.

I tak oto wróciliśmy do miejsca startu, czyli lutego 2022 r. Wtedy pokazaliśmy, czym jest polska solidarność, i zrobiliśmy to w stylu pospolitego ruszenia. Teraz emocje społeczne są bliższe „ostatniego zajazdu".

Ban na aborcję

Pięć polskich organizacji, które działają na rzecz praw reprodukcyjnych, straciło na kilka dni swoje profile na Facebooku. Chodzi o Ogólnopolski Strajk Kobiet (500 tys. obserwujących), Aborcyjny Dream Team (156 tys.), a także inicjatywy: Women Help Women (43 tys. obserwujących), Legalna Aborcja (26 tys.) oraz o Przychodnię Abotak (6,4 tys.). Dla Polek szukających informacji o tym, jak przy restrykcyjnym prawie przerwać ciążę, to duży kłopot, bo przez ostatnie lata to właśnie platformy społecznościowe były źródłem tej wiedzy. Każdego dnia z aktywistkami kontaktuje się 200–300 osób. „Borykamy się z zaostrzeniami Mety (właściciel Facebooka – przyp. red.) od dwóch, trzech lat. Natomiast nigdy nie było tak, że w tym samym momencie straciłyśmy jednocześnie kilka kont. (…) Tu nie chodzi tylko o symboliczną widoczność, zasięgi czy nawet o cenzurę; dla nas są to przede wszystkim kanały udzielania pomocy" – mówiła w TOK FM Natalia Broniarczyk z Aborcyjnego Dream Teamu.
Czy na Facebooku wkrótce nie będzie wolno informować o tym, gdzie legalnie szukać pomocy? Meta systemowo blokuje informacje o zdrowiu kobiet, klasyfikując je jako treści „seksualne" lub „dla dorosłych". Problem nie dotyczy tylko Polski. Od października 2025 r. ponad 50 organizacji na świecie – poradnie aborcyjne, grupy dla osób LGBT+, organizacje zdrowia seksualnego – boryka się z blokadą, zawieszeniem lub usunięciem kont na FB, Instagramie i WhatsAppie (wszystkie należą do konglomeratu Meta).

Razem z blokadą konta pojawia się lakoniczny komunikat o zawieszeniu i informacja, jak można się od tej decyzji odwołać. Na terenie UE taką możliwość miała dawać implementacja Aktu o usługach cyfrowych (DSA), ale w Polsce po wecie prezydenta Nawrockiego nie powołano do życia instytucji, która zajmowałaby się zastosowaniem tego rozwiązania. Wiadomo też, że Meta zrezygnowała ze współpracy z zewnętrznymi organizacjami weryfikującymi informacje w mediach społecznościowych. Ten gest ze stycznia 2025 r. był pokłonem dla nowej władzy w Waszyngtonie, który uczynił koncern Marka Zuckerberga (jednocześnie przekazując 1 mln dol. na fundusz inauguracyjny Trumpa). Po tej decyzji to informacje o aborcji farmakologicznej są najczęściej usuwanymi treściami na platformach społecznościowych (za: Amnesty International). (AGSZCZ)

eprasa.pl 742e21c9af

Szczyt trudnej miłości

Donald Trump wyjechał z Ankary zadowolony – i to nie był główny, lecz jakże ważny sukces szczytu NATO, przed którym atmosfera między sojusznikami z Europy i Ameryki była napięta jak nigdy w ostatnich latach. Na kilkanaście godzin przed naradą z przywódcami państw NATO prezydent Stanów Zjednoczonych wypominał im brak wsparcia w wojnie z Iranem, narzekał, że „nie płacą" na Sojusz, a nawet groził wycofaniem wszystkich amerykańskich wojsk z Europy. Na szczęście następnego dnia przeszła mu złość. Już nie wspominał o Grenlandii, zawahanie w sprawie wykorzystania europejskich baz do ataków na Iran nazwał „słabszym momentem", a wielkie liczby pokazujące wzrost wydatków obronnych w Europie zrobiły na nim wrażenie poparcia dla idei samodzielnej obrony, w myśl jego wskazówek. Ukraińskiego prezydenta też potraktował jakby nie po swojemu – nie ustawiał do pionu, żartował z nim jak przyjaciel, a nawet zapowiedział udzielenie licencji na Patrioty. Ujęty przepychem pałacu **Recepa Tayyipa Erdoğana** i królewskim przyjęciem zgotowanym mu przez współczesnego sułtana Turcji, Trump przynajmniej na chwilę pojednał się z NATO.

Jednak w tle tego seansu wywoływania dobrych duchów były realia Ameryki coraz mniej zaangażowanej na rzecz Europy i coraz bardziej osobnej wobec Sojuszu, który sama założyła. Jak tuż przed szczytem donosił bliski Republikanom „Wall Street Journal", europejscy przywódcy od miesięcy spotykali się na tajnych naradach i wymieniali poufne wiadomości, planując przyszłość bezpieczeństwa bez USA. To, co Amerykanie zwą wersją NATO 3.0, narzucaną Europie metodą faktów dokonanych, ma być w oczach Starego Kontynentu wstępem do pełnego rozwodu.

Dziś chodzi o to, aby okres nieuchronnej separacji ucywilizować na tyle, by wspólny dorobek jak najmniej ucierpiał. Bo trudno utrzymać związek, gdy partner nagle wycofuje się z obowiązków, jakie spełniał przez dekady – w wyniku nierównego podziału, ale nie bez korzyści. Ciężko zaakceptować nowe warunki bez mediacji, a narzucone żądania są niemożliwe do spełnienia w krótkim czasie. Dokładnie w takiej sytuacji Trump postawił sojuszników z Europy, żądając zwiększenia wydatków obronnych do 5 proc. PKB nie w ciągu dziesięciu lat, lecz jak najszybciej, oraz pozbawiając planistów w NATO (wśród nich także amerykańskich generałów) większości gwarantowanych wcześniej zasobów, także tych trudnych do zastąpienia, jak bombowce strategiczne, okręty z pociskami manewrującymi czy największe wojskowe transportowce. Europejskie NATO, jak tylko może, stara się wypełnić luki po Amerykanach.

W Ankarze pokazano długą listę wspólnych projektów, opartych w większości na europejskim przemyśle, które jednak nie zmaterializują się przed końcem kadencji Trumpa, a on cierpliwości nie ma. Aby zmniejszyć ryzyko, amerykańskie firmy też skorzystają na zamówieniach z Europy, a sami Amerykanie jakby chętniej dzielą się technologią. Niemcom udostępnią pociski Tomahawk i prawa do produkcji rakiet ATACMS. Kilka państw Europy dostało zgodę na serwis, a później produkcję pocisków do Patriotów. W Polsce powstać ma fabryka niskokosztowych pocisków manewrujących. Nawet jeśli USA stopniowo się wycofują, amerykański przemysł z europejskiego rynku rezygnować nie zamierza, gdy możliwe do zarobienia miliardy mnożą się w oczach.

Sekretarz generalny NATO przekonuje, że Kanada i Europa zbliżają się średnio do 4 proc. PKB na wydatki obronne, choć jest tu maleńka Estonia chwaląca się prawie 7-procentowym poziomem, balansujące na granicy 2 proc. Belgia, Czechy, Słowacja, Hiszpania i Włochy, jak i dramatycznie obniżająca średnią Słowenia (1,6 proc). Ale prezydent USA lubi wielkie liczby, więc Mark Rutte wmawia mu, że jest coś takiego jak „bilion Trumpa", jeśli chodzi o sumę wzrostu wydatków w Europie i Kanadzie, nawet jeśli rzeczywistym „sponsorem" jest Władimir Putin, grożący NATO wojną.

Te obawy właśnie w czasie szczytu w Ankarze znowu wzrosły. Putin miałby otworzyć „drugi front", bo mu nie idzie w Ukrainie, bo gospodarka Rosji ledwo zipie, bo radykałowie go naciskają, a NATO wykazuje brak spójności i jeszcze nie wzmocniło się na tyle, by stanowić dla Rosji mur nie do pokonania. Komunikat po szczycie podkreślał solidarność, ale znając chwiejność Trumpa, Putin może zaryzykować podważenie obronnej jedności Zachodu jakąś akcją, na którą nie będzie oczywistej odpowiedzi. A więc raczej nie pełnoskalowy atak, lecz dywersja, terroryzm, niezidentyfikowane drony lub „zielone ludziki", które wcale nie będą forsować umocnionych w ostatnich latach granic NATO.

Na takie ryzyko wskazuje też Polska, która generalnie (poza zawstydzającym sporem o Patrioty dla Ukrainy) wyjechała z Ankary zadowolona. Poza formalnym utrzymaniem jedności USA z Europą Warszawa najbardziej cieszy się z decyzji o wydłużeniu na wschód rurociągów paliwowych NATO, choć pieniądze na ten cel należy dopiero znaleźć. Deklaracja rozciągnięcia trwałej infrastruktury Sojuszu na wschodnią flankę to jednak polityczny sukces, o który Polska zabiegała od dwóch dekad.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

eprasa.pl 742e21c9af

Brytyjska mijanka

Dwaj najpotężniejsi politycy na Wyspach właśnie się minęli w parlamencie. Pierwszy z nich, **Andy Burnham**, w poniedziałek w praktyce zapewnił sobie nominację na premiera Wielkiej Brytanii. Drugi, Nigel Farage, obciążony kolejnymi zarzutami finansowymi, zrezygnował z miejsca w parlamencie – jak twierdzi – tylko po to, aby wrócić jeszcze silniejszym.

Najpierw Burnham. Ten były burmistrz aglomeracji Manchesteru, najpopularniejszy dziś polityk lewicowej Partii Pracy, zostanie premierem prawdopodobnie już 20 lipca. To skutek kryzysu dotychczasowego gabinetu Keira Starmera, który mimo wyraźnego zwycięstwa wyborczego w 2024 r. jako lider zawiódł na całej linii. Aby go zastąpić, 56-letni Burhnam musiał najpierw wrócić do parlamentu, co udało mu się w czerwcu. Gdy zaraz potem Starmer zapowiedział swoją rezygnację, w Partii Pracy rozpoczął się proces wyboru nowego lidera i – siłą rzeczy – nowego premiera. Każdy chętny na to stanowisko musiał najpierw zdobyć poparcie 20 proc. posłów tego ugrupowania, czyli 81. Burnham w poniedziałek miał ich już ponad 323, co oznacza, że nikt inny nie mógł już zebrać 81 wymaganych głosów. Jako jedyny kandydat w czwartek zostanie automatycznie liderem Partii Pracy, a po audiencji u króla 20 lipca – również szefem rządu.

Jego następcą – w perspektywie kolejnych wyborów – chce zostać Nigel Farage, lider skrajnie prawicowej i antyimigranckiej partii Reform UK, która od roku prowadzi w brytyjskich sondażach. Jednak jej przewaga topnieje, a na dodatek sam Farage ma problemy. Najgłośniejsza sprawa dotyczy „podarunku" w wysokości 5 mln funtów (ponad 25 mln zł), jaki otrzymał od biznesmena z branży kryptowalut i nie zgłosił tej sumy w rejestrze korzyści polityków. Farage, wielki zwolennik liberalizacji rynku krypto, dziś bagatelizuje sprawę, twierdząc, że te pieniądze poszły na jego ochronę.

Sprawą zajęła się jednak specjalna komisja Izby Gmin, która może pozbawić go mandatu posła. Dlatego lider Reform UK postanowił wyprowadzić uderzenie wyprzedzające. Zrezygnował z posłowania, co oznacza przyspieszone wybory w jego okręgu Clacton (prawdopodobnie w połowie sierpnia), w których ponownie zamierza wystartować. W przeszłości politycy wykonywali takie ruchy, aby pod presją odnowić swój mandat. W przypadku Farage'a sytuacja jest podobna, tym bardziej że to okręg, w którym Reform UK zdecydowanie dominuje, a wielkie partie zapowiedziały, że nie wystawią tam kandydatów. W rezultacie Farage, gdy już pokona satyrycznego kontrkandydata, który występuje z koszem na śmieci na głowie, liczy na triumfalny powrót do parlamentu. ŁW

Prosimy nie regulować odbiorników

„Media publiczne nie mogą kłamać. Przepraszamy, że robiliśmy to przez tyle lat". Taki **komunikat 7 lipca** wyświetlał się przez prawie cztery godziny widzom M1, głównego kanału węgierskiej telewizji. Czarna plansza z białym napisem oraz muzyka klasyczna płynąca na częstotliwościach Kossuth Rádió były pierwszymi sygnałami, że urzędujący od początku maja rząd Pétera Magyara przystąpił do reformowania holdingu medialnego MTVA i anten należących do państwa, przez 16 lat podporządkowanych propagandowej obsłudze byłego premiera Viktora Orbána. Napis cieszył się na tyle wysoką oglądalnością, że nadaną bezpośrednio po przerwie komedię „Świadek" z 1969 r., klasyczne dzieło miejscowej kinematografii i wieloletniego „pułkownika", obejrzała widownia trzy razy większa niż poprzedniego dnia.

Równolegle zawieszono wydawanie serwisów informacyjnych. Od 11 lipca zaczęto przywracać je w stacjach radiowych, a w M1 z początku tylko na pasku u dołu ekranu. W kolejnym etapie (dat nie podano) mają wrócić dzienniki telewizyjne, programy publicystyczne i nadawanie na żywo. Magyar, uzbrojony w większość konstytucyjną, obiecywał w kampanii, że stworzy „obiektywną służbę informacyjną" i pójdzie medialną drogą wytyczoną w Polsce przez Donalda Tuska. Kierunek powinien być podobny, ale ingerencje głębsze. Obejmą przebudowę organu nadzorującego, w deklaracjach miałyby zapewnić też przejrzystość finansowania i niezależność redakcji. Na razie zmianom na wizji i w eterze towarzyszyła wymiana części redaktorów i menedżerów.

Poważnym wyzwaniem będzie odbudowa wiarygodności publicznych nadawców. W czasach Orbána prowadzonym przez organizację Reporterzy bez Granic w rankingu wolności prasy Węgry spadły z 23. miejsca na 74. (Polska w 2015 r. była na pozycji 18., po dwóch kadencjach PiS osunęła się do miejsca 66.). Dla Orbána dotychczasowe roszady są kolejnymi dowodami despotyzmu ekipy Magyara. Wezwał tych wszystkich, których „interesuje prawda", by oglądali HirTV. To telewizyjna szalupa obecnej opozycji, całodobowy kanał informacyjny kontrolowany przez stronników byłego premiera. Konserwatywny, z dużą ilością jednostronnej publicystyki, jest ideologicznym bliźniakiem amerykańskiego, protrumpowskiego Fox News czy polskiej Republiki. HirTV twierdzi (bo brak danych niezależnych firm badawczych), że 10 lipca, za sprawą relacji z antyrządowej manifestacji w Budapeszcie, osiągnął oglądalność na poziomie 4,26 proc., notując jeden z najlepszych wyników w swojej historii. JW

© CHRIS MCGRATH/GETTY IMAGES, JEFF J MITCHELL/GETTY IMAGES, ATTILA KISBENEDEK/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 742e21c9af

Stare recepty doktora Tuska

Niepodważalny lider, patriarcha, kierownik. Ale też coraz bardziej pasywny szef rządu bez pomysłu na polityczną ofensywę. Czy Donald Tusk ma jeszcze siłę, by poprowadzić koalicję 15 października do zwycięstwa?

MICHAŁ DANIELEWSKI

Są tacy lekarze, którzy nie lubią przepisywać leków. Boją się ryzyka błędnej diagnozy, skutków ubocznych, a i tak pacjent może za miesiąc przyjść z pretensjami, że czuje się gorzej, a nie lepiej. Bezpieczniej więc zalecić delikwentowi długie spacery po lesie, poradzić, żeby mniej się denerwował, zmienił dietę, a przy odrobinie szczęścia dolegliwości same przejdą.

Dziś taką terapię proponuje schorowanej koalicji 15 października premier Donald Tusk: obóz władzy osłabiony skandalem w Szpitalu Południowym przyjął kurs na przeczekanie. To taktyka o tyle kusząca, że sondaże nie są nadzwyczajnie alarmujące, a potencjalny konflikt z lekarzami o wysokość ich zarobków będzie dla rządu wizerunkowym prezentem: oto władza staje po stronie zwykłych obywateli w sporze z milionerami wykorzystującymi luki systemu.

Nie jest tak, że notowania KO, rządu i samego premiera są tragicznie złe. Mamy raczej małą stabilizację.

Diabelska alternatywa

Po eskalacji afery Donald Tusk w swoim stylu przyjął marsową minę, postawił ultimatum osobom odpowiedzialnym za ochronę zdrowia i zagroził radykalną operacją, z dymisjami włącznie, jeśli natychmiast nie dostanie na biurko satysfakcjonujących rozwiązań. Ostatecznie jednak skończyło się tylko na kuracji ziołowej. Zaproponowane przez Ministerstwo Zdrowia działania być może będą skuteczne, ale z całą pewnością nie można ich uznać za coś nowego i przełomowego. Premier stwierdził jednak, że jest zadowolony. Od początku zresztą było jasne, że Tusk nie pali się do gwałtownych ruchów – za dymisje w rządzie musiałby bowiem wziąć odpowiedzialność, angażując się bezpośrednio w rozwiązanie problemów w systemie ochrony zdrowia, bez żadnej gwarancji, że wymiana personalna przyniosłaby cokolwiek pozytywnego. Tusk demonstruje też często alergię na podpowiadaczy, zwłaszcza z własnego obozu – im więcej było więc głosów o potrzebie dymisji, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że dojdą do skutku.

– *Sytuacja jest bardzo poważna, bo ochrona zdrowia dotyka codzienności grupy wyborców, wśród których Koalicja Obywatelska jest potęgą, w tym Polek i Polaków w wieku 60+. Tusk stanął przed diabelską alternatywą: czy uruchomić polityczną gilotynę w rządzie*

eprasa.pl 742e21c9af

© RADEK PIETRUSZKA/PAP

i przebrać się w szaty szeryfa, który bierze odpowiedzialność, wyciągając najdalej idące konsekwencje; czy też odwrotnie – postąpić zachowawczo i potwierdzić przywództwo we własnej formacji. Manifestacyjnie wybrał to drugie, pokazując, że jeśli Donald Tusk chce, żeby minister zdrowia pełniła dalej swoją funkcję, to tak będzie, choćby nie wiadomo ilu polityków KO wypłakiwało się mediom, że reakcja na kryzys jest zbyt późna albo zbyt słaba. Przekaz do partii jest jasny: los każdego z was zależy wyłącznie ode mnie, ja decyduję i żaden dyskurs wewnętrzny w KO na tę decyzję nie wpłynie – wskazuje politolog Rafał Chwedoruk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego.

Ten rodzaj dominacji jest niezwykle poręcznym narzędziem do trzymania twardą ręką partyjnych mas, ale jednocześnie skazuje Tuska na samotność w wieży z kości słoniowej i potencjalnie zabójczą stagnację: jeśli on sam albo jego najbliższe otoczenie wpadną na jakiś genialny pomysł, to dobrze; ale – co bardziej prawdopodobne – mogą też na taki pomysł nie wpaść i wtedy jest kłopot. Bo przecież mało kto będzie miał śmiałość, żeby doradzać „kierownikowi", co ma robić. Kiedy spytać polityka KO o błędy Tuska albo – nie daj Boże – o możliwą zmianę na stanowisku premiera, atmosfera robi się tak niezręczna, jakby nagabywać biskupa w sprawie abdykacji papieża.

Ostatni taniec Tuska

Na zmierzającym właśnie do końca piłkarskim mundialu swoją karierę puentują dwie ikoniczne postaci, które wielką karierę międzynarodową zaczynały dokładnie wtedy, kiedy Donald Tusk zaczynał grać w polskiej polityce o najwyższe stawki: Lionel Messi i Cristiano Ronaldo pierwszy raz wystąpili na mistrzostwach świata w 2006 r., rok później Tusk po raz pierwszy został szefem rządu. Z dużą pewnością można założyć, że jako wielki fan futbolu premier uważnie śledzi losy Messiego i Ronaldo na tegorocznym turnieju. Argentyńczyk kończy jak wielki mistrz, strzelając gola za golem, niosąc całą reprezentację na swoich barkach z jednej rundy do drugiej; Portugalczyk odpadł w fatalnym stylu, w ogniu krytyki i przy akompaniamencie powtarzających się pytań, dlaczego mimo kiepskiej formy nie jest ściągany z boiska.

Od czasu głośnego serialu dokumentalnego o Michaelu Jordanie puentę kariery wielkiego mistrza określa się jako ostatni taniec. To finalna rywalizacja czempiona, z którą wiążą się ryzyko i wątpliwości: ile zostało z jego dawnej klasy, czy da radę w starciu z młodszymi, czy nie przecenia swoich możliwości na tym etapie kariery? Ostatni taniec Donalda Tuska jest w tym kontekście łatwy do zdefiniowania. To próba utrzymania władzy w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych i tym samym ostateczna realizacja celu, który pchnął go do powrotu do polskiej polityki: sprawienie, by Jarosław Kaczyński już nigdy nie rządził nad Wisłą. Pytanie tylko, jak to się skończy i czy Tusk jako premier na pewno jest w stanie poprowadzić koalicję 15 października do zwycięstwa. Czy swój ostatni taniec zatańczy finezyjnie i triumfalnie jak Messi, czy uparcie i na smutno jak Ronaldo.

– *Politycy często pozostają niewolnikami swoich złotych lat, próbując powtarzać ten sam scenariusz, który kiedyś przyniósł im sukces. Tymczasem głębia zmian w naszym systemie politycznym i w samym społeczeństwie powoduje, że stare lekarstwa przestają działać. I to może być przypadek Donalda Tuska. Wrócił do polityki partyjnej, przedstawiając siebie jako dzierżyciela monopolu na zwycięską walkę z PiS i rzeczywiście zrealizował tę obietnicę w 2023 r., a wybory do Parlamentu Europejskiego rok później potwierdziły słuszność jego diagnozy* – mówi prof. Chwedoruk. ▶

eprasa.pl 742e21c9af

▶Jednak spektakularna klęska Rafała Trzaskowskiego w drugiej turze wyborów prezydenckich zmieniła sytuację. – *Olbrzymia część analityków wskazała Tuska jako jednego z głównych winowajców, bo premier nie zauważył, że zmieniło się otoczenie – włączył się w kampanię, żeby ją ratować, ale skutek był odwrotny. Głosowanie stało się plebiscytem nad Tuskiem, a wynik tego plebiscytu znamy. To uderzyło w przywództwo premiera, ale też trzeba powiedzieć, że zrobił później bardzo wiele, aby skonsolidować partię i podtrzymać pozycję niepodważalnego lidera* – wskazuje prof. Chwedoruk.

Rzeczywiście, po zwycięstwie Karola Nawrockiego Tusk szybko otrząsnął się z traumy i spektakularnie skonsolidował swoją formację, zmieniając złożoną wcześniej z trzech podmiotów Koalicję Obywatelską w jedną partię. Nie pozwolił na defetyzm, zadekretował optymizm i walkę o swoje, a katastrofa Polski 2050 pozwoliła mu na częściowe skonsumowanie tej przystawki i utrzymanie sondaży KO na poziomie powyżej 30 proc. Dobre notowania z kolei mobilizowały elektorat, zwłaszcza że PiS wpadł w poważne turbulencje. Był to jednak zabieg wyłącznie socjotechniczny: cukru w tej herbacie było tyle, co wcześniej, ale intensywne mieszanie spowodowało, że zaczęła sprawiać wrażenie słodszej. Aż przyszedł nowy kryzys w postaci afery szpitalnej. Recepta doktora Tuska? Ta sama co wcześniej: konsolidacja, żeby nie dopuścić do rozprężenia i chaosu.

Rząd mdły i nijaki

Wbrew cytowanemu setki razy bon motowi Tuska, że człowiek, który ma wizje, powinien udać się do lekarza, pierwszy rząd koalicji PO-PSL miał wizję bardzo jasno skrystalizowaną. Cała para szła w szybką modernizację Polski po wejściu do UE. Rok po roku mieliśmy leczyć kompleksy i dobijać do europejskich standardów. Zwłaszcza pozbycie się odziedziczonego po PRL piętna wstydu w postaci tragicznej infrastruktury, szczególnie drogowej, było priorytetem realizowanym z prawdziwą polityczną pasją. To był generacyjny projekt 40-, 50-latków tworzących wówczas Platformę Obywatelską. Wiadomo było wtedy, o co rządowi Tuska chodzi i czym się różni od grzęznącego w glątwie teorii spiskowych i zapatrzonego w przeszłość PiS.

Dziś trudno byłoby wskazać podobny priorytet. Ba, ciężko byłoby nawet wskazać sprawę, w której premier jest liderem, gdzie narzuca kierunek i tempo marszu. Być może przez chwilę takim tematem była tzw. deregulacja, ale nawet najbardziej uczeni w piśmie nie potrafiliby obecnie wskazać, jaki ten proces ma głębszy sens i co zmienił w życiu przeciętnego obywatela. Tego samego obywatela, z którym rząd miał być w stałym i bliskim kontakcie, co było twardym zobowiązaniem premiera z pierwszego exposé. „Znajdę czas, aby wyspowiadać się w imieniu mojego rządu z tego, co zrobiliśmy, z tego, co się udało, gdzie jest kłopot – uczciwie i prawdziwie będziemy każdego miesiąca takie sprawozdawcze exposé Polakom składali" – mówił premier w grudniu 2023 r. A niespełna rok później wezwał swoich ministrów do „urzędowej spowiedzi powszechnej". Ani z jednego, ani z drugiego nic nie wyszło.

W innych istotnych dla wyborców obozu władzy sprawach powstaje z kolei wrażenie chaosu, gdy nie bardzo wiadomo, co premier właściwie myśli i za czym się opowiada. Po wyroku TSUE w sprawie transkrypcji małżeństw jednopłciowych Tusk najpierw grzmiał, że Unia Europejska nic nie może nam w tej sprawie narzucić, by kilka miesięcy później teatralnie wzywać ministrów do przyspieszenia prac nad odpowiednimi regulacjami. Podobnie w sprawie rozliczeń nadużyć władzy PiS – Tusk jednego dnia jest radykałem domagającym się zdecydowanych działań, a następnego gołębiem wskazującym na ograniczenia związane z przestrzeganiem zasad praworządności.

To wszystko wśród szerokiej publiczności coraz częściej sprawia wrażenie przywództwa mdłego i chaotycznego oraz rządu, który niczym istotnym się nie wyróżnia. Owszem – jest, ma większość, sprawuje władzę, ale właściwie po co? Czyje interesy reprezentuje, na podstawie jakich idei działa, co chce w Polsce zmienić – to wszystko pozostaje w sferze domysłów, nie konkretów. Tusk jest liderem reakcji, nie kreacji. W konsekwencji rząd nie ma żadnego rozpoznawalnego symbolu, który można byłoby ponieść na sztandarach do wyborów, bo hasło „jesteśmy odrobinę lepsi niż opozycja" raczej nie wzbudzi entuzjazmu elektoratu.

Pułapka plebiscytu

Jednocześnie nie jest tak, że notowania KO, rządu i samego premiera są tragicznie złe, wymuszając radykalną zmianę. Mamy raczej małą stabilizację.

KO zachowuje poparcie z wyborów 2023 r. Również notowania rządu są od drugiej połowy ubiegłego roku w miarę stabilne, choć dość niskie: liczba zwolenników waha się od 32 do 35 proc., a liczba przeciwników od 39 do 42 proc. Podobnie jest z oceną Tuska jako premiera: odsetek osób zadowolonych mieści się w przedziale od 35 do 37 proc., a niezadowolonych od 49 do 54 proc. Także w rankingu zaufania CBOS Tusk dziś wypada lepiej niż w momencie powrotu do polskiej polityki jesienią 2021 r.: w czerwcu 2026 r. szef rządu był 11 pkt proc. na minusie, w listopadzie 2021 negatywnych wskazań miał o 27 pkt proc. więcej niż pozytywnych.

Nie ma więc powodów do otwierania szampana, ale też do paniki. Tym bardziej że komunikacja rządu od momentu powołania rzecznika nieco się poprawiła, a sam Tusk ma dobrze zarządzane profile na platformach społecznościowych – być może nie wyznacza już nowych kierunków polityki, nie inspiruje, nie narzuca narracji, ale za to jest w ścisłej czołówce polityków na TikToku.

W tle jednak ciągle majaczy prześladujące premiera od dekad widmo plebiscytu, gdy większość wyborców jednoczy się przeciwko niemu. Tak było w wyborach prezydenckich w 2005 r.; to dlatego zrezygnował z kandydowania w 2020; logika plebiscytu i głosowania przeciwko Tuskowi dołożyła się też do ubiegłorocznej kiepskiej kampanii Rafała Trzaskowskiego. Również w 2027 r. to może być ważny czynnik mobilizacyjny dla wielu mniej zaangażowanych politycznie sympatyków opozycji: prawdopodobny jest scenariusz, że będą głosować głównie za tym, żeby „odwołać" Tuska ze stanowiska premiera.

Stąd coraz częściej szepcze się o możliwej aksamitnej zmianie na stanowisku szefa rządu jeszcze przed wyborami. – *W kontekście wyborczym Tusk jako premier niekoniecznie jest w tej chwili atutem dla obozu rządowego. Wciąż jest atutem dla KO jako partii; to jest poza jakąkolwiek dyskusją, ale druga tura wyborów prezydenckich pokazała dobitnie, jak duży jest potencjał mobilizacji przeciwko Tuskowi w roli lidera całej koalicji 15 października. Być może dlatego w kontekście działań rządu coraz częściej można dostrzec nową postać – Magdalenę Sobkowiak-Czarnecką. Nie sądzę, żeby to było przypadkowe. Można się raczej zastanawiać, czy nie jest to typowe dla Tuska testowanie opinii publicznej, a Sobkowiak-Czarnecka jest rozważana jako nowa twarz Rady Ministrów w przyszłości. Ma to sens: elektorat Koalicji Obywatelskiej i całej lewicy jest silnie sfeminizowany, a Sobkowiak jako 42-latka jest w takim wieku, w którym może łączyć różne pokolenia* – mówi prof. Chwedoruk.

eprasa.pl 742e21c9af

Czy Magdalena Sobkowiak-Czarnecka zostanie następczynią premiera?

– Gra przed wyborami będzie się toczyła o najmłodszych wyborców oraz istotną część generacji 30-latków, gdzie Konfederacja i w pewnym stopniu PiS mają swoje przyczółki. Chodzi o to, by nie powtórzyła się sytuacja z wyborów prezydenckich, czyli duża mobilizacja tych grup przeciwko postaci Donalda Tuska. Gdyby rząd kojarzył się z kobietą w średnim wieku, niełatwą do zaszufladkowania na osi ideologicznych podziałów, byłaby szansa na uniknięcie takiego scenariusza.

Według Chwedoruka obecnie trwa sprawdzanie takiego wariantu: jak reaguje otoczenie polityczne na perspektywę zmiany i co mówią na ten temat badania. Rzeczywiście, kariera rządowa Sobkowiak-Czarneckiej jest w ostatnich miesiącach imponująco szybka. Została dość niespodziewanie główną twarzą rządu, firmującą kolejne inwestycje z programu SAFE. Dziś jest już wiceministrą obrony i pełnomocniczką rządu ds. odporności państwa, czyli uwiarygadnia się w kompetencjach, które istotna część opinii publicznej postrzega jako deficyty kobiet w polityce.

Trauma z przeszłości

U nieco starszych wyborców sympatyzujących z Koalicją Obywatelską schemat zmiany premiera Tuska na kobietę z drugiego szeregu jest znany z przeszłości i wciąż u wielu wiąże się z traumą: objęcie teki szefowej rządu przez Ewę Kopacz w 2014 r. było przecież pierwszym klockiem domina, który w efekcie doprowadził do zawalenia się całego układu władzy i zaowocował podwójnym zwycięstwem wyborczym Prawa i Sprawiedliwości. Jest jednak jedna istotna różnica. Wtedy Tusk właściwie z dnia na dzień zniknął z polskiej polityki, obejmując stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej, dziś nadal byłby najpotężniejszą postacią obozu władzy i szefem Koalicji Obywatelskiej. Wymiana na stanowisku szefa rządu byłaby więc de facto implementacją modelu – dodajmy, że modelu bardzo efektywnego politycznie – wprowadzonego w 2015 r. przez Jarosława Kaczyńskiego: premier jest twarzą obozu i najważniejszym z urzędników, ale najważniejsze, strategiczne decyzje polityczne zapadają poza Radą Ministrów.

Tak czy inaczej, ryzyko, że część najwierniejszego elektoratu KO może uznać ewentualne ustąpienie Tuska jako kolejną rejteradę w trudnym momencie, wydaje się realne. Choć prof. Chwedoruk nie przywiązuje do niego większej wagi, uznając je za mało istotne z punktu widzenia interesu politycznego całej koalicji: *– Takie ryzyko istnieje, ale czy ktoś poza najbardziej zaangażowanym i twardym elektoratem pamięta jeszcze, kim była Ewa Kopacz? A to nie o twardych wyborców odbędzie się bitwa w 2027 r., bo oni i tak zagłosują na Koalicję Obywatelską, a jeśli będą bardzo z niej niezadowoleni, to na Nową Lewicę – to przecież od 2005 r. tradycyjna droga migracji w jedną lub drugą stronę antyprawicowych wyborców.*

Według Chwedoruka kluczowe są młodsze grupy, słabo zaangażowane w stare partyjne podziały, które wchodzą dziś na arenę wyborczą jako istotni aktorzy życia społecznego: *– Są to pokolenia wyjątkowo niechętne starszej generacji. Do tej pory rewolty pokoleń 30-, 40-latków w polskiej polityce kończyły się farsą w stylu Nowoczesnej, ale wyniki Konfederacji, a także transformacja elektoratu lewicy pokazują, że dziś klimat zmiany społecznej, idący od najmłodszych roczników i obejmujący także nieco starsze generacje, jest realnym fenomenem.*

Twarda władza czy soft power

Scenariusze zakładające zmianę szefa rządu wydają się dziś jeszcze opowieściami z gatunku *political fiction*, ale warto pamiętać, że odwaga do wywracania stolika i rekonstruowania na własnych warunkach całego ładu politycznego to jeden z największych atutów Donalda Tuska. Tak było, gdy zakładał Platformę Obywatelską, grzebiąc na zawsze Unię Wolności. Podobnie, gdy odrzucił uchodzącą za oczywistą w 2005 r. koalicję z PiS, ustawiając zarazem scenę polityczną pod nową polaryzację. Nie wahał się też porzucić stanowiska premiera i wyjechać do Brukseli, a później podjął się ryzykownej misji powrotu do polskiej polityki, gdy PO szorowała po sondażowym dnie, a na nowego lidera opozycji wyrastał Szymon Hołownia. Decyzja o zmianie generacyjnej na czele rządu byłaby podobnego kalibru.

– Pytanie, które stoi przed Tuskiem, brzmi następująco: czy będzie próbował za wszelką cenę trzymać się pełni władzy, czy też w imię interesu własnego obozu wejdzie na drogę prowadzącą do politycznego Sulejówka. Dodajmy, że ta droga jakiś czas trwa, Jarosław Kaczyński spaceruje nią już przecież kilkanaście lat. I per saldo lider PiS wychodzi na tym dobrze: bywał twarzą partii, kiedy było to potrzebne, a usuwał się w cień, gdy Prawo i Sprawiedliwość poszukiwało nowych wyborców. Ten sam dylemat ma Tusk: czy będzie potrafił zmienić twardą władzę na soft power – zostać kimś, kto uczestniczy, panuje, ale nie jest twarzą codziennych pojedynków – mówi Rafał Chwedoruk.

Pewne jest jedno: jeśli ostatni taniec Tuska ma bardziej przypominać finezję Leo Messiego, a nie mozół Cristiano Ronaldo, szef rządu musi wyjść z utartych kolein, według których porusza się niemal od początku objęcia władzy przez koalicję 15 października. Bo polityce wiecznego reagowania i mniej lub bardziej zręcznego obsługiwania rzeczywistości wraz ze zbliżającym się terminem wyborów kończy się jednocześnie termin ważności. Dziś niepodważalny jest fakt, że w uderzeniu jest prawicowy triumwirat, napędzany przez radykałów i nowe pokolenie liderów. A zwycięski wyborczy taniec prawicy nie będzie ostatnim, ale pierwszym z wielu.

MICHAŁ DANIELEWSKI

© DAREK GOLIK/FORUM

eprasa.pl 742e21c9af

Strategia Wołodymyra

W co gra Wołodymyr Zełenski? Polakom trudno zrozumieć politykę ukraińską, ale i sami Ukraińcy mają z nią potężny kłopot. Wojna zburzyła wszelką normalność.

PAWEŁ RESZKA, ZORIANA VARENIA

Wołodymyr Zełenski z otrzymanym właśnie Orderem Orła Białego, Warszawa, kwiecień 2023 r.

eprasa.pl 742e21c9af

Latem 2026 r. nareszcie zaczęły nadchodzić lepsze wiadomości. Przeciwnik ma problemy z logistyką, to za sprawą ataków ukraińskich dronów. Rosjanie ciągle szturmują, ale z marnym skutkiem. Co więcej, wojna przeniosła się w głąb Rosji – płonie rafineria za rafinerią, a przed stacjami benzynowymi ustawiają się kolejki. Żyjący piąty rok pod bombami Ukraińcy nareszcie mają trochę satysfakcji.

Na arenie międzynarodowej też nieźle. Ruszyły rozmowy akcesyjne z UE. Konflikt z Donaldem Trumpem przycichł. Amerykanie obiecują Kijowowi licencje na produkcję rakiet Patriot – potrzebnych, by ochronić duże miasta przed nalotami. Ewentualna produkcja to mglista przyszłość, ale każda taka informacja podnosi na duchu. Zwłaszcza że rosyjskie rakiety niemal codziennie spadają na Kijów, Dnipro i inne duże miasta.

Lepiej jest też w finansach – na szczycie NATO w Ankarze potwierdzono wsparcie w wysokości 160 mld dol. w latach 2026–27. To z wynegocjowaną wcześniej pożyczką z UE (90 mld euro) gwarantuje, że w budżecie nie zabraknie pieniędzy. Wszystko to działa na korzyść urzędującego prezydenta.

Biją naszego, trzeba go bronić

Jak podają źródła „Ukraińskiej Prawdy", wyniki najnowszych badań socjologicznych wskazują, że Wołodymyrowi Zełenskiemu udało się odwrócić długotrwałą tendencję spadku poparcia. Po wielu miesiącach powolnej utraty notowań sondaże po raz pierwszy odnotowały wprawdzie niewielki, ale stabilny wzrost. Prezydent postanowił wykorzystać dobrą koniunkturę i zapowiedział rewolucję kadrową. W jej centrum jest właśnie ogłoszona dymisja, po roku sprawowania urzędu, niezbyt lubianej szefowej rządu Julii Swyrydenko.

W odbudowie popularności pomoże na pewno spór historyczny z Polską. – *Zełenski nie jest specjalnie lubiany, szczególnie w wojsku* – mówi politolog Serhij, który od 2022 r. służy w Siłach Zbrojnych. – *Ale kiedy odebrano mu order, było oczywiste, że inni prezydenci (nawet jego przeciwnicy) i urzędnicy też odeślą swoje odznaczenia do Warszawy. Nikt nikogo nie musiał namawiać.* Zadziałał prosty mechanizm: jest wojna, biją naszego, trzeba go bronić. Nie powinno to być zresztą szczególnym zaskoczeniem dla ekspertów obserwujących Ukrainę. Dokładnie to samo stało się, gdy Zełenskiego postponowano w Białym Domu. Afront spotkał się ze sprzeciwem społecznym i wzrostem poparcia dla prezydenta.

Zełenski a sprawa polska

Polski polityk, członek koalicji rządowej: – *Z naszej perspektywy wyglądało to tak: Ukraińcy wiedzieli, że nadanie jednostce wojskowej imienia Bohaterów UPA wywoła w Polsce oburzenie. Uznali jednak, że wszystko jakoś, jak zwykle, rozejdzie się po kościach. Tym razem jednak sytuacja się zmieniła. Pierwszy raz mamy prezydenta, który jest endekiem, ma w nosie doktrynę Giedroycia i gotowy jest na eskalację.*

W naszych kołach rządowych panuje przekonanie, że Zełenski wygrał to starcie, ale tylko w perspektywie krótkoterminowej. – *Taktyczny sukces, ale Ukraina na tym straci. Coraz częściej będzie musiała się tłumaczyć z własnej historii. Nie da się obronić tego, że bohaterami mają być ludzie odpowiedzialni za zbrodnie, jak np. Roman Szuchewycz* – mówi polityk. Zdaniem naszego rozmówcy dowodem jest to, że w rezolucji Parlament Europejski wyraził ubolewanie „nad niepotrzebną i niesprowokowaną eskalacją spowodowaną przez prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego polegającą na nadaniu elitarnej jednostce Sił Zbrojnych Ukrainy imienia »Bohaterów UPA«". Zapis ten zaproponowała Europejska Partia Ludowa (EPL), do której należą KO i PSL.

Rezolucja PE jest ostrzeżeniem dla Zełenskiego. – *Oczywiście trudno nazwać to zwycięstwem* – podkreśla nasz rozmówca – *My uważamy Ukrainę za partnera strategicznego, chcemy pomagać. Jednak Zełenski nam tego nie ułatwia. A mówiąc wprost, podstawił Donaldowi Tuskowi nogę. Postawił go w trudnej sytuacji i wzmocnił pozycję Nawrockiego. Na dodatek po naszej stronie zaczęły się dziwne ruchy, jak np. inicjatywa, by odtajnić dokumenty dotyczące pomocy wojskowej dla Ukrainy. Nie tylko ujawniamy wrażliwe informacje, ale też bierzemy udział w idiotycznym wyścigu, „kto w czasie wojny pomagał Ukrainie mniej: my czy PiS".*

„Dziwne ruchy" to recenzja decyzji wicepremiera, ministra obrony Władysława Kosiniaka-Kamysza (PSL), który zapowiedział odtajnienie tych dokumentów. PSL sam o sobie pisze, że „jest prawdziwym strażnikiem prawdy i pamięci o ofiarach ludobójstwa na Wołyniu". Przypomina, że od lat nazywa mordy ukraińskich nacjonalistów na Polakach ludobójstwem i zabiegał o ustanowienie święta państwowego, by upamiętnić krwawą niedzielę 11 lipca.

Sam minister w rocznicę pojechał na Wołyń, by złożyć tam kwiaty. Towarzyszący mu Piotr Łukasiewicz, chargé d'affaires/faktyczny ambasador polskiej placówki w Kijowie, powiedział podczas tych uroczystości: „Pochylając głowę nad polskimi ofiarami przemocy ukraińskiej na Wołyniu, nie mogę nie wspomnieć o ukraińskich ofiarach przemocy państwa polskiego na terenach dawnej II Rzeczpospolitej, przed wojną i w jej trakcie. To wszystko, co działo się w trakcie drugiej wojny światowej, było straszne i niepotrzebne. Nie tworzę jednak symetrii ani nie stawiam znaku równości między liczbami i jakością cierpień. Mówię po prostu, że pamiętamy i musimy pamiętać o przeszłości i o tym, co w tej przeszłości było wstydliwe i niegodne. Nie wynosimy na sztandary sprawców tamtej przemocy". Te słowa wywołały lawinę krytyki z strony polityków PiS i obozu prezydenta RP.

Dyplomaty bronił Radosław Sikorski: „Płk Łukasiewicz w obliczu wspólnego zagrożenia pracuje na rzecz pojednania. A niektórzy nacjonalistyczni sekciarze szczują bratnie narody na siebie, służąc zupełnie innym interesom".

W rocznicę na temat zbrodni na Wołyniu wypowiedzieli się wszyscy ważni politycy. Prezydent Nawrocki przemawiał w Zespole Cerkiewnym w Radrużu: „My dziś nie oskarżamy całego narodu ukraińskiego. Nie oskarżamy całego narodu ukraińskiego, ale oskarżamy banderowską ideologię tych, którzy mordowali. Ale też tych, którzy przywołują czerwono-czarne barwy w XXI w. Na to po prostu nie można się zgodzić. Pochwała ludobójstwa albo odwracanie głowy przy ludobójstwie jest zachętą do kolejnego ludobójstwa".

Donald Tusk także nazywał Wołyń ludobójstwem i zapowiedział, że w Warszawie stanie Mur Pamięci z wiecznym ogniem i nazwiskami każdej odnalezionej i zidentyfikowanej ofiary wojen XX w. w Ukrainie.

Wiceprezes PiS Przemysław Czarnek zapowiedział złożenie projektu uchwały sejmowej w sprawie sprzeciwu wobec członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej w związku „z gloryfikacją sprawców zbrodni wołyńskiej, ludobójstwa wołyńskiego". ▶

© JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl 742e21c9af

▶Konfederacja Korony Polskiej organizowała Marsze Wołyńskie.

Zaniepokojenie wywołała fala hejtu, jaka zalała internet w Polsce i Ukrainie. Na wszelkie przejawy agresji fizycznej policja starała się reagować szybko i zdecydowanie. – *Zero tolerancji dla przestępstw popełnianych przez cudzoziemców i zero tolerancji dla przestępstw popełnianych na cudzoziemcach, taka jest zasada* – mówi urzędnik MSWiA. Na razie nie ma jednak pomysłu, jak obniżyć napięcie. – *Rozmowy prowadzone są na wielu płaszczyznach, ale chyba trzeba po prostu przeczekać. Za jakiś czas Ukraińcom przejdzie historyczne wzmożenie i będzie można się jakoś dogadać* – mówi polityk koalicji rządowej.

Intryga, której nie było?

Jak to wygląda z drugiej strony granicy? Ukraiński polityk opozycyjny twierdzi, że rozpatrywanie awantury w kategoriach misternej gry Zełenskiego jest sporą przesadą: – *W Warszawie lansowana jest taka narracja, że Zełenski sprytnie to ukartował. Wywołał burzę i poprawił sobie notowania. To piękny komplement dla otoczenia prezydenta, jednak zupełnie niezasłużony. Nie było żadnego planu.*

Zełenski już wcześniej podpisywał dekrety nadające jednostkom imiona kontrowersyjnych patronów. – *W jego otoczeniu nie było nikogo, kto by powiedział: „Stop, tym razem może się to skończyć potężną awanturą”.* A kiedy „awantura” wybuchła, było za późno. Skoro o nadanie nazwy prosili sami żołnierze, a Zełenski już popisał dokument, nie bardzo miał się jak wycofać. – *Trzeba dodać, że on, jako artysta sceniczny, ma genialne wyczucie publiczności. Szybko zorientował się, że ludziom podoba się taka asertywność, i poszedł w to: „Karol chce orderu? Super, wysyłamy!”. No i miał rację. Poparcie było gigantyczne. Niestety ceną jest pogorszenie relacji z Polską.*

Zełenski poszedł dalej. Przeprowadził przez Radę Najwyższą ustawę o panteonie bohaterów Ukrainy. Ma to być miejsce upamiętniające ważne dla historii kraju postaci. Należy się spodziewać, że będą wśród nich także osoby trudne do przełknięcia przez Warszawę, Kijów zabiega np. o sprowadzenie do kraju i uroczysty pochówek szczątków Stepana Bandery. – *Deputowani wszystkich frakcji dziękowali Zełenskiemu za tę inicjatywę. Ewidentnie na tym wszystkim wygrał* – przypomina deputowany do Rady Najwyższej.

Po stronie Zełenskiego stanęli nie tylko (nawet niechętni mu) politycy. W zasadzie nie było słychać głosów sceptycznych wśród ekspertów i komentatorów. Wszystko szło ku jeszcze większemu eskalowaniu napięcia. W internecie pisano, że w Polsce panuje przedpogromowa atmosfera i uchodźcy powinni rozważyć powrót do kraju.

To poważny problem, bo Ukraina będzie za chwilę potrzebowała rąk do pracy. Więc władzy zaczyna zależeć, by uchodźcy wracali. Problem w tym, że Polsce powinno zależeć na tym, by raczej zostali u nas: są doskonałymi pracownikami, integrują się, płacą podatki. Na razie w kręgach rządowych panuje przekonanie, że Ukraińcy zostaną. – *Według nas po wojnie przyjedzie ich jeszcze więcej, nie widzimy tu zagrożenia* – mówi minister rządu Donalda Tuska.

Większe zaniepokojenie budzi fakt, że z Polski będzie można łatwo zrobić kozła ofiarnego. Na przykład oskarżyć, że to przez intrygi Warszawy – a nie niechęć Europy, wojnę, ślimaczący się proces reform – Ukraina nie wejdzie do UE.

Scenariusz na jesień

W każdym razie dziś Wołodymyr Zełenski jest na fali. Najważniejszą przyczyną wzrostu jego poparcia są sukcesy ukraińskich Sił Zbrojnych, które odwróciły uwagę opinii publicznej od głośnych skandali korupcyjnych. – *Biorąc to pod uwagę, najlepszym scenariuszem dla prezydenta byłoby zdążyć z wyborami przed zimą* – mówi nam jeden z ukraińskich polityków, zbliżony do władzy. Taki rozwój wydarzeń zakładałby zakończenie, a przynajmniej zamrożenie konfliktu zbrojnego w najbliższym czasie, krótką kampanię i szybką elekcję.

„Wyborcza jesień” pojawiła się po niedawnej publikacji w „Ukraińskiej Prawdzie”. Opisano tam spotkanie prezydenta Zełenskiego z gen. Wałerijem Załużnym. Miało podczas niego dojść do następującej wymiany zdań. – Czy wystartuje pan, jeśli jesienią odbędą się wybory prezydenckie? – miał zapytać Zełenski. – Tak, wystartuję – usłyszał w odpowiedzi.

Załużny to były głównodowodzący ukraińskiej armii, który powstrzymał w 2022 r. rosyjską inwazję, przez większość Ukraińców uważany za bohatera. Dziś jest ambasadorem w Londynie. Zełenski zesłał go tam w 2024 r., zaczął bowiem traktować generała jako politycznego konkurenta i zazdrościł mu popularności. Problem w tym, że banicja wcale nie zaszkodziła Załużnemu. W rankingach zaufania ciągle jest na pierwszym miejscu. Także w nielicznych sondażach wyborczych wygrywa z Zełenskim (37 do 32 proc. w drugiej turze). – *Oczywiście sondaże przeprowadzane w czasie wojny mogą być mocno niedokładne. Jednak popularność Załużnego jest niezaprzeczalna* – mówi Sergij, wspomniany kijowski politolog, który od 2022 r. służy w armii.

Skąd biorą się dobre notowania generała? – *Załużny popełniał wiele błędów, ale o nich już nikt nie pamięta. Została*

GALERIA POLITYKI

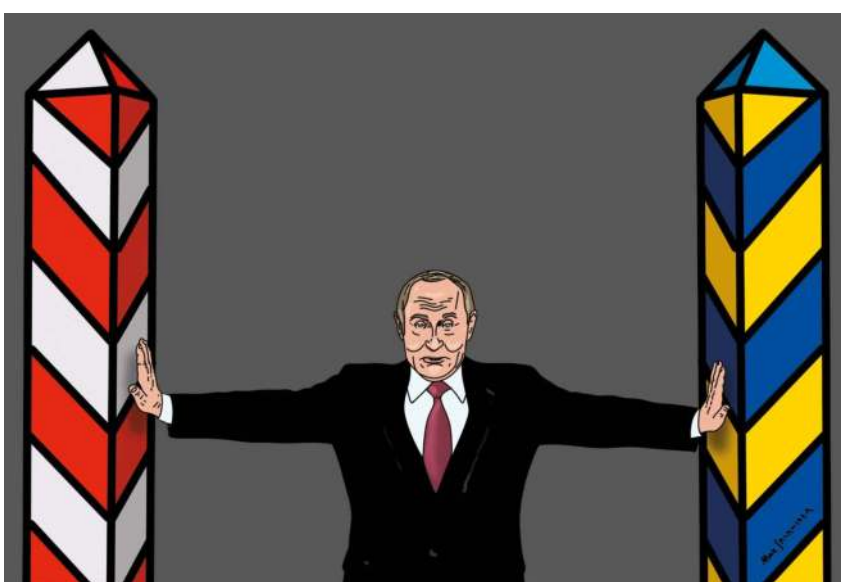

MAX SKORWIDER

eprasa.pl 742e21c9af

pozytywna legenda. Ludzie w niego wierzą, dlatego miałby potężne szanse, żeby pokonać prezydenta. Gdyby głosowali sami żołnierze, mógłby odnieść zwycięstwo w pierwszej turze – mówi nasz rozmówca. Oczywiście Załużny jest w polityce wielką niewiadomą. Nikt nie wie, jaki ma program, kto będzie w jego drużynie, nie wiadomo też, czy wystartuje. Ciągle bowiem obracamy się w sferze prasowych spekulacji i mówimy o wyborach, których jeszcze nikt nie ogłosił.

Niezależnie od tego wszystkiego prowadzący w rankingach zaufania Załużny jest dla Zełenskiego problemem. Tym bardziej że sam prezydent jest dopiero na trzecim miejscu. Przed nim jest Kyryło Budanow, także generał, do niedawna szef wywiadu. Dziś jest szefem Kancelarii Prezydenta, a więc najbliższym współpracownikiem Zełenskiego. Na razie nie przejawia ambicji wyborczych, ale kto wie, co będzie dalej...

Kto jeszcze mógłby stanąć w szranki? Nikt z politycznych dinozaurów, działacze tacy jak Petro Poroszenko mają fatalne notowania. Z nowego pokolenia wybija się Mychajło Fedorow, obecnie minister obrony, a wcześniej minister cyfryzacji. Wśród dobrze notowanych działaczy społecznych jest Serhij Prytuła, którego fundacja zajmuje się m.in. dostarczaniem wyposażenia na front. Jest też gen. Andrij Biłecki, twórca i dowódca 3. brygady szturmowej, znany z nacjonalistycznych poglądów i ambicji politycznych. Być może ktoś z polityków lokalnych, np. mer Charkowa Igor Terechow.

Wojna zamiast wyborów

Zełenski złapał dobry wiatr w żagle. Rzecz w tym, że w szybkie jesienne wybory nikt nie wierzy. Po pierwsze, musiałby zostać odwołany stan wojenny. A to wymaga pokoju albo przynajmniej stabilnego zawieszenia broni. – *Nawet jeśli teoretycznie założyć, że doszłoby do zawieszenia broni, trzy miesiące na przygotowanie wyborów nie byłyby wystarczające. Potrzeba pół roku. To moja osobista ocena* – uważa Mykyta Poturajew, deputowany Rady Najwyższej z prezydenckiej frakcji Sługa Narodu.

Problemów z organizacją elekcji byłoby co niemiara. Co z 5,5 mln uprawnionych do głosowania przebywających za granicą? Co z przebywającymi pod okupacją? Co z mieszkającymi na terenach przyfrontowych, gdzie zrujnowana jest infrastruktura. – *Jak zorganizować wybory w armii? Przecież jasne, że po ogłoszeniu zawieszenia broni nie będzie żadnej powszechnej demobilizacji. Ludzie zostaną w okopach, nikt z nas nie wierzy w to, że Rosja ma szczere intencje* – mówi oficer ZSU. Podobnie uważają deputowani innych frakcji – nie ma atmosfery wyborczej, trwa wojna.

Do sprawy odniósł się politolog Wołodymyr Fesenko. Jego zdaniem wyborów nie da się przeprowadzić, gdy trwa wojna. Nie chodzi o problem prawny, ale i społeczny. – *Próba ich przeprowadzenia z dużym prawdopodobieństwem wywoła szeroką krytykę zarówno w społeczeństwie, jak i w parlamencie.* Wybory są możliwe w czasie pokoju, a na ten się nie zanosi. Znaczy to, że Ukraińców może czekać kolejna wojenna zima.

Koszmarna zima

Już ta ostatnia była wyjątkowo trudna. W polityce wszystko przykrywała gigantyczna afera korupcyjna. Chodziło o defraudacje środków publicznych przez wysokich rangą urzędników, bliskich współpracowników Zełenskiego. Część była przeznaczona na budowę osiedla składającego się z drogich domów pod Kijowem. Jeden z nich podobno miał być dla prezydenta.

Na froncie panowała stagnacja. W okopach brakowało rekrutów, a na cmentarzach ciągle przybywało grobów wojskowych. – *Czas płynie, stopniowo gaśnie wiara, że to wszystko w ogóle się skończy. Nie widać końca koszmaru* – opowiadał wtedy Wiktor, wykładowca uniwersytecki. Do tego panowały arktyczne temperatury, a Rosjanie bez litości ostrzeliwali miasta. Obrona przeciwlotnicza nie dawała sobie rady z narastającą liczbą nadlatujących dronów i rakiet. Coraz więcej pocisków docierało do celu. – *Temperatura w mieszkaniu spadała do 10 stopni. Regularnie pękały kaloryfery. Wyłączano nam prąd, alarmy przeciwlotnicze były codziennością* – mówi Rimma, producentka telewizyjna mieszkająca w Kijowie.

Od rosyjskich ostrzałów cierpiała infrastruktura energetyczna, ale wiele pocisków trafiało w zwykłe domy mieszkalne. – *Nasze miasteczko Wysznewe po raz kolejny zostało ostrzelane na początku marca. Żona była w siódmym miesiącu ciąży. Nie zdążyliśmy dobiec do schronu* – opowiada Wiktor, wykładowca uniwersytecki. – *Wybuch. Ołena upadła, zaczęła rodzić. Przyjechała karetka. W szpitalu okazało się, że jest źle. Lekarz mówi, że mam być gotowy do podjęcia decyzji: ratować żonę czy syna? Uratowano oboje, ale to był koszmar.*

Początek roku był dla Zełenskiego jednym z najtrudniejszych w jego politycznym życiu. Teraz udało mu się nieco poprawić wizerunek, jednak dobra koniunktura może nie trwać długo.

– *Trzeba pamiętać, że Putinowi też kończy się czas. We wrześniu ma wybory do Dumy. Musi odnieść jakiś sukces. Dlatego spodziewamy się w kolejnych tygodniach nasilających się szturmów* – mówi jeden z oficerów. Najpewniej będą się powtarzały także ataki lotnicze na miasta. A to znaczy, że najważniejsze stanie się przeżycie. Polityka, wybory, historia – wszystko zejdzie na drugi plan. Pewnie do kolejnej wiosny.

PAWEŁ RESZKA, ZORIANA VARENIA

GALERIA POLITYKI

MAX SKORWIDER

eprasa.pl 742e21c9af

Burze nad Warszawą

To mogła być pogodna jesień prezydentury, a może w ogóle kariery politycznej **Rafała Trzaskowskiego**. Teraz wszystko stanęło pod znakiem zapytania.

eprasa.pl 742e21c9af

JOANNA SAWICKA, WOJCIECH SZACKI

Wyzbyty już z wielkich ambicji, osłabiony po porażkach z Andrzejem Dudą i Karolem Nawrockim, niepasujący do obecnego centroprawicowego kursu KO, prezydent Warszawy miał spokojnie dokończyć drugą kadencję, otworzyć kilka inwestycji, pokazać odnowione centrum miasta i ukończoną drugą linię metra. A potem – późną wiosną 2029 r. – wystartować w wyborach do Parlamentu Europejskiego, co byłoby domknięciem drogi, która właśnie w europarlamencie w 2009 r. się zaczęła.

Taki scenariusz wciąż nie jest wykluczony, Trzaskowski nadal należy do najpopularniejszych polityków Koalicji Obywatelskiej, ale na razie musi się uporać z trudną teraźniejszością – oskarżeniami o brak nadzoru nad Szpitalem Południowym, upartyjnienie miejskich spółek i niewystarczającą kontrolę nad tym, co się dzieje w Warszawie na styku polityki i zarządzania miastem. O to, że zlekceważył pierwszy sygnał o nieprawidłowościach w placówce, który wysłał mu ordynator oddziału chirurgii Emil Jędrzejewski. O to, że w szpitalu, którym chwalił się w kampanii prezydenckiej, nieprzyzwoite pieniądze zarabiał partyjny działacz, który bez kolejki przyjmował koleżanki i kolegów z KO.

To, o czym od lat mówili politycy KO – że prezydent miasta już dawno przegrał rywalizację o wpływy z szefem partyjnych struktur Marcinem Kierwińskim – teraz eksplodowało publicznie. Koordynator SOR w Szpitalu Południowym Dawid Kacprzyk, od którego zaczęła się afera szpitalna, był działaczem KO związanym z Kierwińskim, ale to Trzaskowski musiał się ze skandalu tłumaczyć. Prezydent Warszawy po wybuchu afery nie mógł zrzucić winy na Kierwińskiego. Zrazu próbował ograniczyć straty i nie dopuścić do przemeblowania w ratuszu. Zwrócił się do prokuratury, zlecił kontrolę, wymienił zarząd i radę nadzorczą szpitala. Zapowiedział też, że ze wszystkich zarządów i rad nadzorczych placówek medycznych znikną partyjni nominaci.

Niewygodne referendum

Pod koniec czerwca prezydent Warszawy dostał absolutorium od zdominowanej przez KO rady miejskiej, ale przeciw byli nie tylko radni PiS, lecz także Lewicy. Wtedy też pojawiła się zapowiedź akcji referendalnej w sprawie odwołania Trzaskowskiego, a afera szpitalna nie chciała dogasać. Dlatego na początku lipca Trzaskowski musiał pójść krok dalej – stanowiska straciły dwie wiceprezydentki: Renata Kaznowska (w ratuszu podlegały jej sprawy ochrony zdrowia) oraz Aldona Machnowska-Góra (zasiadała w radzie nadzorczej Szpitala Południowego), a odpartyjnienie zarządów i rad nadzorczych rozciągnęło się na wszystkie miejskie spółki.

Ten drugi ruch jest pozorny, bo nominaci mają po prostu zadeklarować, czy wolą zostać w partii, czy na dobrze płatnej posadzie; na wielkie zmiany w spółkach się raczej nie zanosi. Prezydentowi ma pomóc wizerunkowo, ale przy okazji wywołuje też duże niezadowolenie i frustrację w lokalnych strukturach. A także gniew Kierwińskiego, z którym decyzja nie została skonsultowana. – *Trzaskowski tym ruchem odebrał nam prawo do eksperckości* – można usłyszeć od warszawskich działaczy Koalicji.

Szczyt zainteresowania aferą szpitalną minął, ale pozostawiła po sobie blizny. Trzaskowski musi się zaś liczyć z tym, że pojawią się inne niewygodne fakty. Portal Zero – który ujawnił skandal – poinformował, że z Zarządu Dróg Miejskich został zwolniony sygnalista, mimo ochrony nadanej mu przez Trzaskowskiego. To ma utrwalić wizerunek prezydenta, którego nie słuchają się nawet podległe mu instytucje.

Wspomnianą akcję referendalną pod hasłem Stołeczna Operacja Referendalna (skrót nawiązuje do szpitalnego SOR) próbuje rozkręcić prezes fundacji Tak Dla CPK Maciej Wilk. Komitet referendalny ma 60 dni na zebranie ponad 130 tys. podpisów (jedna dziesiąta mieszkańców z czynnym prawem wyborczym), a zbiórka ma się zacząć pod koniec lipca. To czas podwyższonego ryzyka dla Trzaskowskiego – każda negatywna informacja, każda wpadka prezydenta lub jego współpracownika zostanie powiązana z referendum, a przy okazji przypominana będzie afera szpitalna. Równolegle toczyła się będzie zresztą kampania przed przedterminowymi wyborami prezydenta Krakowa po odwołaniu w referendum Aleksandra Miszalskiego, także polityka KO.

Referendum może się jednak okazać bronią obosieczną, dlatego nawet przeciwnicy Trzaskowskiego z PiS i Lewicy patrzą na nie z obawą. Lewica – choć ma liczne pretensje do prezydenta Warszawy – nie zamierza włączać się w akcję Wilka, bo jest z tym środowiskiem w konflikcie, a poza tym jest świadoma, że odwołanie Trzaskowskiego (czy choćby sukces zbiórki podpisów) oznaczałoby także osłabienie KO na poziomie krajowym, a więc i zmniejszenie szans na utrzymanie władzy.

Ciekawsze są kalkulacje PiS. Jego wyborcy będą się pewnie podpisywali pod wnioskiem o plebiscyt, ale partyjne sztandary będą schowane, a aktywność działaczy ograniczona. – *W partii przeważają głosy, że referendum jest dla nas niekorzystne i że nie powinniśmy się w nie angażować. Do odwołania Trzaskowskiego potrzeba ponad 460 tys. głosów, szanse na to są minimalne, a porażka inicjatywy referendalnej w stolicy osłabiłaby efekt Krakowa* – tłumaczy warszawski polityk PiS. Przeciwnikiem włączenia się PiS w akcję referendalną jest m.in. były wicepremier Piotr Gliński.

Zdaniem naszego rozmówcy najlepszą strategią PiS są ataki na Trzaskowskiego za aferę szpitalną, ale polem tej bitwy ma być nie Warszawa – gdzie KO jest potężna, a prezydent raczej bezpieczny – lecz reszta Polski. PiS chce zrobić z Trzaskowskiego figurę symbolizującą rządy KO: polityka nieudolnego, odpowiedzialnego za afery, niepanującego nad otoczeniem, leniwego, ponoszącego porażki. Klęska inicjatywy referendalnej – czy to na etapie zbiórki podpisów, czy w samym głosowaniu – mogłaby ułatwić KO przejście do kontrofensywy tuż przed startem prekampanii parlamentarnej. Przy niechęci Lewicy, braku zaangażowania PiS i słabości organizacyjnej Wilka nie jest więc pewne, że uda się te 132 tys. podpisów zebrać, zwłaszcza że doświadczenie uczy, że trzeba ich zebrać sporo więcej, bo część jest kwestionowana.

Czas próby dla ratusza

Dla władz Warszawy najbliższe tygodnie będą newralgiczne. Równolegle muszą radzić sobie ze skutkami afery i pojawiającymi się nowymi informacjami w tej sprawie, uważać na każdą, najmniejszą nawet wpadkę wizerunkową, która w czasie kampanii okołoreferendalnej może urosnąć poza kontrolą, a także szybko uzupełnić dwa kluczowe stanowiska po zdymisjonowanych wiceprezydentkach. A to wszystko dzieje się w atmosferze dużych napięć między władzami miasta a partią. ▶

© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 742e21c9af

▶Trzaskowski będzie chciał przy okazji pokazać swoje zasługi i osiągnięcia dla Warszawy oraz to, że – wbrew oskarżeniom – lubi swoją pracę i wykonuje ją skutecznie. – *Warszawa i zarządzanie nią to nie jest pasja Trzaskowskiego. Traktował ją jako trampolinę do prezydentury Polski. Skupił się na kilku sprawach i tu rzeczywiście można mówić o sukcesach: tramwaj na Wilanów, nowe centrum Warszawy, darmowe żłobki, kładka nad Wisłą. Dużą porażką okazała się polityka mieszkaniowa. Trzaskowski obiecywał budowę 1,5 tys. mieszkań rocznie, ale są lata, gdy nie oddaje nawet pięciuset. Dochodzi też kwestia upartyjnienia spółek* – mówi Jan Mencwel ze stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, radny miejski klubu Lewicy.

Nawet więc konkurenci polityczni Trzaskowskiego potrafią wskazać jego zasługi w mieście. I tak właściwie to – patrząc całościowo – prezydent w zarządzaniu Warszawą radzi sobie całkiem nieźle. Potwierdzają to wyniki corocznego badania Barometr Warszawski, w którym działalność prezydenta pozytywnie ocenia 67 proc. Warszawiaków (marzec 2026 r.). Badani najbardziej chwalą działania władz miasta za dobre funkcjonowanie komunikacji miejskiej, ofertę kulturalną oraz czystość i porządek w stolicy.

Konsekwencje dymisji

Trzaskowski długo się wdrażał. Ostatecznie jednak wygląda na to, że znalazł własny sposób na miasto, swoją wizję i kierunki, w które chce inwestować najmocniej. To przede wszystkim polityka kulturalna, inwestycje infrastrukturalne (np. Zielone Centrum Warszawy) i transportowe (tramwaje) oraz polityka środowiskowa. W walce o zazielenianie miasta i poprawę jakości życia mieszkańców wykazał się nawet ostatnio polityczną odwagą. Na zorganizowanym w czerwcu spotkaniu z mieszkańcami o polityce transportowej – niedługo po odwołaniu prezydenta Krakowa, którego zwalczali przede wszystkim przeciwnicy funkcjonującej tam strefy czystego transportu – Trzaskowski twardo, wbrew głośnym przeciwnikom, bronił polityki zwężania ulic, rozbudowy ścieżek rowerowych, likwidacji części naziemnych miejsc parkingowych, by sadzić tam drzewa, a także warszawskiej, mało restrykcyjnej strefy czystego transportu.

Bardzo długo zajęło mu też budowanie sprawnie działającego zarządu miasta, w skład którego wchodzą wiceprezydenci, dyrektorzy-koordynatorzy, sekretarz (Maciej Fijałkowski), skarbniczka (Marzanna Krajewska) i dyrektorka magistratu (Elżbieta Markowska). Od początku jego prezydentury na stanowiskach wiceprezydentów dochodziło do zmian niemal każdego roku. Do zarządu miasta wchodzili przedstawiciele koalicjantów KO (m.in. Paweł Rabiej z Nowoczesnej, Justyna Glusman z ruchów miejskich czy Adriana Porowska z Polski 2050), a także politycy wskazywani przez szefa warszawskich struktur Koalicji Marcina Kierwińskiego (m.in. Robert Soszyński, który odszedł w 2021 r., czy odwołany dwa lata temu Tomasz Bratek), z którymi prezydent nie zawsze dobrze się dogadywał. – *Dopiero w ostatnim czasie mieliśmy wrażenie, że zespół najbliższych współpracowników prezydenta ma już kształt docelowy. Składa się z ludzi, którzy dobrze się dogadują i dobrze współpracują. Tak było do 3 lipca* – słyszymy od naszego rozmówcy z ratusza. 3 lipca to data, kiedy prezydent Warszawy ogłosił dymisję dwóch wiceprezydentek: pracującej w ratuszu od 30 lat Renaty Kaznowskiej i blisko współpracującej z Trzaskowskim od 2018 r. Aldony Machnowskiej-Góry.

Jak słyszymy w ratuszu, wyrwa po nich jest ogromna. Wynika to nie tylko z ich doświadczenia i zaangażowania, ale też z modelu pracy, który Trzaskowski wprowadził w zarządzaniu miastem. – *Rafał pracuje z zarządem miasta i w takim gronie podejmuje decyzje. Nie spotyka się z dyrektorami, tylko od wiceprezydentów wymaga dogłębnej znajomości wszystkich spraw i tematów* – opowiada nasz rozmówca z ratusza. – *To sprawia, że konsekwencje dymisji dwóch członkiń kierownictwa są tym większe.* Pogłębia to też frustrację wśród urzędników, którym po raz kolejny zmieniają się przełożeni. To wpływa na pracę, szczególnie że nowe osoby będą potrzebować czasu, by się wdrożyć. Po odejściu Kaznowskiej i Machnowskiej-Góry ich zadaniami podzielili się m.in. sekretarz Fijałkowski (zdrowie), dyrektorka-koordynatorka ds. Zielonej Warszawy Magdalena Młochowska (sprawy społeczne), wiceprezydentka Karolina Bober (edukacja) i sam Trzaskowski, który przejął nadzór nad kulturą. Trwa jednak intensywne poszukiwanie następców zwolnionych wiceprezydentek – nazwiska mamy poznać w ciągu kilku dni.

Coraz dalej od KO

Afera w Szpitalu Południowym jeszcze bardziej oddaliła Trzaskowskiego od KO, w której prezydent Warszawy i tak czuł się ostatnio coraz bardziej samotny. Wcześniej był liderem frakcji tzw. młodych, którzy pomagali mu w kampaniach, współtworzyli organizowany przez Trzaskowskiego Campus Polska i tworzyli zwartą, wyróżniającą się grupę w KO. Po przegranej kampanii prezydenckiej w 2025 r. jeden z jej liderów Sławomir Nitras stracił stanowisko w rządzie, a cała grupa, choć wciąż się lubi, rozpierzchła się i skupiła na własnych obowiązkach, w resortach czy w Sejmie. Trzaskowski pozostaje wiceprzewodniczącym partii, ale ta funkcja w partii niewiele znaczy. Po ostatnich zmianach wiceszefów KO jest aż 15, a zarząd partii wciąż formalnie nie funkcjonuje (wybory wewnętrzne nie zostały dokończone). Owszem, Tusk się z nim liczy, a on sam ma wciąż silne poparcie społeczne (czwarty w rankingu zaufania CBOS) i silny mandat w liberalnej Warszawie. Nie ma jednak w partii wpływowych przyjaciół, a najważniejsi po Tusku politycy w KO, czyli Marcin Kierwiński i Radosław Sikorski, traktują go jak rywala. Sam nigdy zresztą nie miał serca do partii i nie potrafił zbudować sobie skutecznie relacji z szerszą grupą działaczy. Charakterystyczne, że również w ratuszu nie budował partyjnego zaplecza, do współpracy ściągając raczej urzędników lub ekspertów.

W tym roku pod koniec sierpnia w Olsztynie po raz kolejny zorganizuje Campus – kilkudniowe spotkanie blisko tysiąca młodych ambitnych ludzi z politykami, ekspertami i naukowcami. Przygotowania idą już pełną parą. Wcześniej inicjatywa była traktowana jako budowa politycznego zaplecza prezydenta Warszawy. Teraz już nie bardzo wiadomo, czemu Campus ma służyć, bo poza corocznym udanym i spektakularnym wydarzeniem nie widać dalszego ciągu; ludzie, którzy tam jeżdżą, w większości nie dostają oferty na dalsze zaangażowanie. Działacze KO wybierają się całkiem tłumnie, traktując Campus jako atrakcyjną okołopolityczną imprezę, gdzie można się pokazać, zintegrować, spotkać nowych ludzi, posłuchać ciekawych głosów. Zaproszeni będą też politycy PSL i Lewicy. Wstępnie swoją obecność w tym roku sygnalizował również Tusk (jak słyszymy, zabraknie natomiast Sikorskiego, który w kalendarzu na koniec sierpnia ma już ścisk). Jednak pomimo całej swojej atrakcyjności Campus nie dał Trzaskowskiemu dużo politycznego paliwa. Ale też nie wiadomo, do czego to paliwo prezydent Warszawy miałby wykorzystać.

JOANNA SAWICKA, WOJCIECH SZACKI

eprasa.pl 742e21c9af

Narodowiec prezydenta

Kariera Adama Andruszkiewicza to historia kolejnych patronów i zmienianych poglądów. Dziś ma on postawione zarzuty karne, a stanowisko wiceszefa Kancelarii Prezydenta ma mu pomóc w politycznej obronie.

ANNA DĄBROWSKA

Od lewej: **Adam Andruszkiewicz oraz ówczesny szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomir Cenckiewicz z prezydentem Karolem Nawrockim podczas spotkania z żołnierzami na granicy polsko-białoruskiej, 24 grudnia 2025 r.**

© MICHAŁ KOŚĆ/FORUM

Andruszkiewicz w telewizji wPolsce24 o prezydencie Nawrockim: „Jak widzimy, prezydent Karol Nawrocki jest na tyle twardym facetem, a jest, że był w stanie się po prostu pozbierać". Chodzi o zdarzenie z maja 2025 r., opisane właśnie w książce prof. Andrzeja Nowaka. Ujawniono, że w trakcie spotkań wyborczych miało dojść do gwałtownego pogorszenia stanu zdrowia i utraty przytomności kandydata na prezydenta. Politycy PiS twierdzą, że mogło to być skutkiem podania mu substancji zagrażających życiu lub zdrowiu. „Kopałem nogami, rzucało mną, kompulsywnie wymiotowałem. A gdy się obudziłem, to nie wiedziałem, co się wydarzyło przez te kilka minut" – opowiadał prezydent. Sprawa brzmi poważnie, ale sztab nie wezwał policji ani pogotowia. Dopiero teraz z urzędu prokuratura wszczęła postępowanie sprawdzające, dotyczące „podejrzenia narażenia obecnego Prezydenta RP Karola Nawrockiego na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub ciężkiego uszczerbku na zdrowiu w toku kampanii wyborczej w 2025 r.".

Ale Andruszkiewicz, który był świadkiem tej sytuacji, a dziś odpowiada za wizerunek Nawrockiego w mediach społecznościowych, mówi, że „może lepiej, żeby się za tę kwestię prokuratura Żurka nie zabierała dzisiaj". I dodaje, że nie wierzy tej prokuraturze, która działa stricte na zlecenie polityczne, i ma nadzieję, „że dożyjemy czasu, chociażby w przyszłym roku, kiedy zmieni się rząd, i wówczas odpowiedni fachowcy, niezależni eksperci, którzy mają Polskę w sercu, będą mogli tę kwestię zbadać".

Jeden z posłów PiS – zaznaczmy, że z frakcji PiS mniej przychylnej Andruszkiewiczowi – zauważa z półuśmiechem: – *Adam będzie mówił, że nie ufa tej prokuraturze, bo ma w tym osobisty interes.* Zastępca szefa Kancelarii Prezydenta w lutym tego roku usłyszał zarzuty kierowania fałszowaniem podpisów na listach poparcia dla kandydatów na radnych oraz bezprawnego przetwarzania danych osobowych podczas wyborów samorządowych do Sejmiku Województwa Podlaskiego w 2014 r. Osoby zaangażowane w proceder miały przepisywać dane ludzi, którzy podpisywali się na różnych listach poparcia, zbieranych np. w parafiach „w obronie życia", na blankiety list poparcia w wyborach. W komunikacie prokuratury podano, że jeden z podejrzanych w sprawie przez cały okres postępowania wskazywał na udział Andruszkiewicza w procederze. „Konsekwentnie, wielokrotnie przesłuchiwany, także podczas bezpośredniej konfrontacji z Adamem A. podtrzymywał swoje stanowisko w zakresie udziału i roli wymienionego w przestępczym procederze. Jego wyjaśnienia ▶

eprasa.pl 742e21c9af

▶ znajdują potwierdzenie w pozostałym materiale dowodowym – zeznaniach świadków i opiniach z zakresu badania pisma ręcznego" – podkreślała prok. Beata Syk-Jankowska, rzecznik prasowa Prokuratury Regionalnej w Lublinie.

Pod politycznym parasolem

W 2019 r. sprawę nagłośnił „Superwizjer". Po emisji przyszły wiceszef Kancelarii Prezydenta pozwał TVN za naruszenie dóbr osobistych. Domagał się m.in. przeprosin i usunięcia materiału. W 2022 r. sąd pierwszej instancji pozew jednak oddalił, uzasadniając, że powództwo stanowiło „przejaw cenzury i kneblowania prasy". Andruszkiewicz mówi w rozmowie z POLITYKĄ, że nie ma sobie nic do zarzucenia i to sprawa polityczna: – *Ponieważ prokuratura, także za czasów ministra Ziobry, bardzo długo szukała dowodów na moje rzekome fałszowanie podpisów, ale po latach badań grafologicznych względem mnie oraz setkach świadków finalnie ich nie znalazła. Skoro nie udowodniono mi osobistego fałszowania, to żeby przykleić cokolwiek, postanowiono postawić mi zarzut rzekomego „kierowania" tym procederem (na co brak dowodów poza ustną relacją jednej osoby).* Przypomina też, że sąd w Białymstoku odesłał ten akt do poprawy, co jego zdaniem pokazuje, jak mocno naciągana jest ta historia i ma wyłącznie cel polityczny.

Prok. Tadeusz Marek, obecnie szef Prokuratury Regionalnej w Białymstoku, który był w zespole śledczym badającym tę sprawę, mówi, że zarzuty postawione byłyby szybciej, gdyby nie blokowanie śledztwa przez wyższe jednostki prokuratury, którą kierował Ziobro. W kluczowych momentach śledztwa interweniowała Elżbieta Pieniążek, przełożona prokuratorów okręgówki. – *Dwukrotnie uniemożliwiono nam przeprowadzenie przeszukań w miejscu zamieszkania oraz w biurze poselskim Adama Andruszkiewicza. Był już wyznaczony termin przeprowadzenia tych czynności, ale nie doszły do skutku. Co więcej, sprawę zabrano do analizy w Prokuraturze Krajowej* – opowiada prok. Marek. I dodaje, że kiedy śledczy opracowywali wniosek o uchylenie immunitetu ówczesnemu posłowi PiS Andruszkiewiczowi, sprawa została im odebrana i trafiła do Prokuratury Regionalnej w Lublinie.

Kierował nią wówczas Jerzy Ziarkiewicz, zaufany człowiek Zbigniewa Ziobry, wobec którego dziś toczy się postępowanie dyscyplinarne i śledztwo. Jak informowała „Gazeta Wyborcza", Ziarkiewicz miał przez lata blokować sprawy dotyczące polityków PiS. Część akt w jego prokuraturze była przechowywana w garażu. Wobec czterech z pięciu członków zespołu śledczego, którzy w Białymstoku prowadzili sprawę Andruszkiewicza, wszczęto postępowania dyscyplinarne, w których zarzucano im przewlekłość jej prowadzenia. – *Postępowania te, także wobec mnie, trwały do 2024 r. i zakończyły się umorzeniem. To jedyne postępowanie dyscyplinarne, jakie było wobec mnie prowadzone* – zaznacza prok. Tadeusz Marek.

Andruszkiewicz znajduje patrona, który zagwarantuje mu polityczne korzyści. Kiedy ten słabnie, znajduje nowego.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że nad Andruszkiewiczem był rozłożony polityczny parasol ochronny. Minister jako argument na upolitycznienie jego sprawy wskazuje, że sąd w Białymstoku odesłał akt oskarżenia do poprawy. To się czasami zdarza, a chodziło o braki formalne. Dwa miesiące temu akt oskarżenia wrócił do sądu, ale do dziś nie wyznaczono terminu pierwszej rozprawy.

Ważny polityk PiS uważa, że kiedy Ziobro zorientował się, że Andruszkiewicz wybrał na patrona Morawieckiego, nie blokował zbierania dowodów: – *Fakt, że blokowali prokuratorów, aby nie doszło do postawienia oskarżenia, ale wiadomo, że Ziobro dał zielone światło, aby zbierali mocne dowody na człowieka, którego wspierał Morawiecki. Nowa prokuratura dostała gotowca i mogła postawić zarzuty Andruszkiewiczowi* – twierdzi nasz rozmówca. Dodaje, że wiceszef Kancelarii mocno przeżywa tę sytuację, nawet mniej pojawiał się w związku z tym w maju w mediach. Inny ważny polityk PiS twierdzi, że gdyby partia wygrała w 2023 r. wybory, to Andruszkiewicz zostałby w ławach poselskich. Po wygranej KO wiadomo było, że i tak straci immunitet, więc poszedł do Kancelarii Prezydenta. – *Andruszkiewicz czuje chemię z Nawrockim, widać to było w czasie kampanii. To typy mocno narodowe, więc Karol wziął go do Kancelarii, ale z błogosławieństwem Jarosława* – opowiada polityk PiS. W sztabie wyborczym Nawrockiego Andruszkiewicz odpowiadał za kampanię w internecie i robił to całkiem skutecznie. Zebrał w sieci sporo sympatyków kandydata i połączył ich hashtagiem #DruzynaNawrockiego. Nasz rozmówca dodaje, że stanowisko wiceszefa Kancelarii to też forma ochrony przed zarzutami, za które Andruszkiewiczowi grozi do trzech lat pozbawienia wolności. – *Adam buduje narrację, że tej prokuraturze nie można ufać, jak w sprawie badania otrucia Karola w kampanii, że działania prokuratury w sprawie fałszowania podpisów nie są wymierzone bezpośrednio w niego, lecz stanowią atak na prezydenta. Klasyk!* – śmieje się ważna osoba w PiS.

Karuzela z patronami

Rozmówcy z prawej strony zgodnie opisują sposób funkcjonowania Andruszkiewicza w polityce. Znajduje sobie znaczących w danym środowisku patronów, którzy zagwarantują mu polityczne korzyści. Kiedy ktoś słabnie albo nie jest w stanie mu więcej zaoferować, młody polityk go porzuca i znajduje nowego patrona. Tak było z Robertem Winnickim, potem z Pawłem Kukizem, następnie z Mateuszem Morawieckim, a teraz korzysta z zasobów Karola Nawrockiego. Gdy w 2014 r. startował do Parlamentu Europejskiego z listy narodowców w Olsztynie, zdobył zaledwie 50 głosów. Zaraz potem były wybory samorządowe i to od tamtej pory ciągnie się za nim sprawa z podrabianiem podpisów.

Po wyborczych porażkach w 2015 r. został szefem Młodzieży Wszechpolskiej i startował z list Kukiz'15 z pierwszego miejsca na liście podlaskiej. Ta pozycja dawała mu gwarancję mandatu. Po wejściu do Sejmu jego związki z Młodzieżą Wszechpolską i Ruchem Narodowym się rozluźniły. Doprowadziły do tego tzw. taśmy Kukiza, czyli nagrania, na których lider Kukiz'15 określał kolegów narodowców mianem psychopatów. Robert Winnicki opuścił klub, ale nie pociągnął za sobą kolegów. W maju 2016 r. Andruszkiewicz opuścił formalnie Ruch Narodowy, co oficjalnie tłumaczył trudnościami z łączeniem tej aktywności z pracą poselską. Wtedy też razem z Rafałem Ziemkiewiczem założył alternatywny ruch narodowy Stowarzyszenie Endecja i został

eprasa.pl 742e21c9af

jego prezesem. Stowarzyszenie miało zawalczyć o wyborców o poglądach narodowych. Dwa lata później Andruszkiewicz odszedł z Endecji, a wcześniej w 2017 r. dołączył do Kornela Morawieckiego i jego klubu Wolni i Solidarni. W 2019 r. wszedł do rządu Mateusza Morawieckiego jako wiceminister cyfryzacji i formalnie został członkiem PiS.

Najbardziej za tę woltę oberwał od kolegów z Młodzieży Wszechpolskiej. Witold Tumanowicz, członek Ruchu Narodowego, dziś poseł Konfederacji, mówił, że „zestawianie Andruszkiewicza i lojalności w jednym akapicie to totalne nieporozumienie". A Robert Winnicki w rozmowie z „Rzeczpospolitą" sprzed kilku lat stwierdził, że Andruszkiewicz „ma opinię karierowicza", któremu „uderzyła sodówka".

Jego nominacja na wiceministra budziła też kontrowersje w samym PiS. Wielu uważało, że wizerunek radykalnego narodowca zaszkodzi rządowi tuż przed wyborami parlamentarnymi. Że Morawiecki zrobił z Andruszkiewicza wiceministra, by pokazać się jako człowiek, który potrafi przyciągnąć tych na prawo od PiS. – *Andruszkiewicz trafił do środowiska Morawieckiego z polecenia Jarosława Kaczyńskiego, aby pomóc ówczesnemu premierowi utrzymać się na powierzchni, gdy ten politycznie zaczął słabnąć. Być może dziś prezes tego żałuje* – śmieje się ważny polityk PiS. Oddaje koledze z partii, że w resorcie napracował się nad aplikacją mObywatel, zajmując się legislacyjnym dopinaniem szczegółów tego projektu.

Kiedy on był wiceministrem, jego żona, 26-letnia wówczas Kamila Andruszkiewicz, została prezeską Fundacji Agencji Rozwoju Przemysłu z – jak donosiły media – 15 tys. zł pensji. Po kilku dniach zrezygnowała – według niektórych polityków PiS – na wyraźną prośbę prezesa Kaczyńskiego. – *Gdy pozycja Morawieckiego zaczęła słabnąć, Andruszkiewicz zmienił patrona i miał postawić na relacje z Nawrockim oraz szefem jego gabinetu Pawłem Szefernakerem, uznając, że dalsze trzymanie się wyłącznie byłego premiera jest politycznie i bytowo ryzykowne* – twierdzi ważny polityk PiS.

Autorska kreacja ministra

To Adam Andruszkiewicz jako zastępca szefa Kancelarii Prezydenta sprawuje nadzór nad 17 radami przy prezydencie Karolu Nawrockim. Zgromadziło się w nich 600 doradców, z czego wielu wzbudziło niemałe kontrowersje. Andruszkiewicz często pojawia się na ich spotkaniach, a wielu osobiście odbierało od niego oficjalną nominację. Przypomnijmy choćby postać Pawła Swinarskiego, który znalazł się w Radzie Nowych Mediów. To prawicowy influencer znany m.in. z rozpowszechniania rosyjskiej dezinformacji. W ubiegłym roku publikował materiały sugerujące, że atak rosyjskich dronów na Polskę był „ukraińską prowokacją", która miała nas wciągnąć w wojnę. W 2015 r. Swinarski został zatrzymany w związku z prowadzeniem plantacji marihuany w swoim mieszkaniu. Prezydent z tej nominacji tłumaczył się w Kanale Zero, że to „autorska kreacja ministra (Andruszkiewicza – przyp. red.), który odpowiada za tę radę". Do rady Andruszkiewicz zaprosił też Rafała Ziemkiewicza, który wobec przedstawicieli Izraela użył sformułowania „chciwe parchy", ma też na koncie niewybredne wypowiedzi na temat osób LGBT.

Pod koniec maja, co nie zostało zauważone, Andruszkiewicz wręczał nominację do Rady Nowych Technologii Ziemowitowi Przebitkowskiemu. Zasiada we władzach Ruchu Narodowego, na którego czele stoi Krzysztof Bosak. To były prezes Młodzieży Wszechpolskiej. Przebitkowski zasłynął tym, że w 2018 r. publicznie wziął na siebie odpowiedzialność za spalenie flagi Unii Europejskiej podczas Marszu Niepodległości. Dwa lata później podczas demonstracji pod hasłem „Stop Agresji LGBT", zorganizowanej pod bramą Uniwersytetu Warszawskiego, wykrzykiwał ze sceny „szmata pali się", nawołując zebrany tłum do skandowania tych słów. Pytamy Andruszkiewicza, dlaczego zaprosił go do Pałacu? – *Zdecydowały o tym kompetencje i znajomość obszaru cyfryzacji oraz nowych technologii. Fakt, że podobnie jak ja był prezesem Młodzieży Wszechpolskiej, nie miał tu znaczenia* – odpowiada. Dziś wiceszef Kancelarii zdaje się też nie przywiązywać większego znaczenia do swoich poglądów sprzed nie tak znowu wielu lat. Gdy tylko został posłem, zaangażował się w kontakty z reżimem Aleksandra Łukaszenki. Studia skończył pracą magisterską na temat relacji polsko-białoruskich. Reaktywował w Sejmie polsko-białoruską grupę parlamentarną, choć w 2005 r., czyli od momentu delegalizacji związku Polaków na Białorusi, Sejm zaprzestał oficjalnych relacji z tamtejszym parlamentem. W 2015 r., startując do Sejmu, mówił o ruchu bezwizowym między Polską a Białorusią, który byłby „olbrzymią szansą przede wszystkim dla Podlasia". Także dlatego węgierski think tank Political Capital Institute uznał wówczas, że Andruszkiewicz może się znajdować pod wpływem kremlowskiej propagandy.

> Dziś wiceszef Kancelarii zdaje się nie przywiązywać większego znaczenia do swoich poglądów sprzed nie tak znowu wielu lat.

Dziś tłumaczy się, że był to etap pewnej odwilży w relacjach z administracją Łukaszenki: – *Nie było wówczas polskich więźniów politycznych ani ataków na naszą granicę. Mieliśmy sygnał o chęci rozmowy z Polską i Zachodem, z którego chcieliśmy skorzystać, bo każdy, kto ma pojęcie o geopolityce, rozumie, że osłabienie wpływów Rosji na Białorusi jest dla Polski strategicznie ważne. Taką próbę wówczas podjęliśmy.* Zapewnia, że dziś po tym, co się wydarzyło wobec Andrzeja Poczobuta czy po atakach hybrydowych na naszą granicę takich rozmów nie ma.

Kiedy awansował, wypominano mu też inne wypowiedzi – jak gromił „lewactwo" i „gejostwo". Także tę z Marszu Żołnierzy Wyklętych w Białymstoku w 2015 r., gdy sprzeciwiał się stacjonowaniu wojsk amerykańskich w Polsce. „Jakie wojska mają w Polsce stacjonować? Niedawno wyzbyliśmy się wojsk sowieckich i ja odpowiadam: żadne wojska, ponieważ żadne wojska nas nie obronią". I tę z wiecu w Białymstoku, że „najzdrowsza tkanka jest w Polsce wschodniej. Nie w żadnej warszawce. Nie w żadnych pedalskich knajpach przy tęczy". Tłumaczył, że to wypowiedzi 20-latka, że nie był wtedy politykiem, ale chłopakiem z podwórka z Grajewa. To tak jak Karol Nawrocki, który doszedł do prezydentury. 30 czerwca Andruszkiewicz obchodził urodziny. Na Facebooku opublikował swoje zdjęcie z tortem w gabinecie Kancelarii Prezydenta z komentarzem: „30 czerwca – Święto Narodowe w Paragwaju po zwycięstwie nad Niemcami oraz moje 36. urodziny. Jest co świętować".

ANNA DĄBROWSKA

eprasa.pl 742e21c9af

O tym, jak Polacy pokochali klimatyzację i co z tego wynika, opowiada Jerzy Bierówka, współprowadzący firmę zajmującą się chłodnictwem.

eprasa.pl 742e21c9af

Zimne żniwa

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Przyjść 20 lat temu do branży klimatyzatorów, której właściwie nie było, wymagało chyba bycia wizjonerem.**

JERZY BIERÓWKA: – Nie byłem wizjonerem, tylko debiutującym inżynierem. A dalej to jak w życiu, resztę zrobił przypadek. Spotkałem moją żonę, zakochałem się. Okazało się, że jej ojciec ma firmę zajmującą się chłodnictwem, i można powiedzieć, że w branżę się wżeniłem.

Czyli to teść był wizjonerem.

Też pana rozczaruję. Teść był specjalistą od zamówień w dużej państwowej firmie zajmującej się chłodnictwem. Firma w okresie transformacji padła w zasadzie z dnia na dzień. Uciekając przed bezrobociem, założył własną działalność. Znał się tylko na tym, więc został w tej branży. Klientów na początku mu nie brakowało, bo jego koledzy mechanicy z dawnej pracy też pozakładali firmy i w ten sposób on znalazł się w branży. Powiedziałbym: też z przypadku.

No, ale dziś macie żniwa.

Ja już na studiach wiedziałem, że chłodnictwo ma przed sobą przyszłość, bo rósł obrót towarami przetworzonymi, rosła produkcja mleczarska, ogólnie rósł przemysł. A przemysł potrzebuje chłodnictwa. Dlatego na trzecim roku studiów na politechnice wybrałem taką specjalizację.

A ja myślałem, że pan mi powie, że Polacy się bogacili i pan miał wizję, że w każdym domu będzie klimatyzator.

Bardzo długo musiałem czekać, zanim dostałem zlecenie montażu pierwszego klimatyzatora w prywatnym mieszkaniu. Takie rzeczy oglądało się w filmach, a nie w realu. Zresztą kino i klimatyzatory mają ze sobą wiele wspólnego. Bez kina bardzo ciężko byłoby przekonać ludzi, że taki wynalazek jak klimatyzacja w ogóle ma sens. W Stanach Zjednoczonych, gdzie klimatyzacja się narodziła i rozwinęła, to właśnie kina i teatry były pierwszymi instytucjami, które przekonały ludzi do tego wynalazku.

Kiniarzy przekonały pieniądze. Zamiast wietrzyć salę przez pół godziny po każdym seansie, mogli grać film za filmem i więcej zarabiać.

To jedno. Latem z kolei nie trzeba było wietrzyć, bo na salach panowały pustki. Ludzie nie chcieli chodzić do kina, bo na sali było im po prostu za gorąco. Kiedy pierwsze kina zaczęły zakładać klimatyzację, sale się zapełniły. Konkurencja nie miała innego wyjścia, też musiała zakładać klimatyzację, choć wtedy było to drogie i ciągle mocno niedoskonałe urządzenie. Z czasem inżynierowie doszli jednak do perfekcji.

W Polsce to też kina dały wam wiatr w żagle?

Też. Ale nie tylko kina i teatry. Później przyszedł czas na sklepy spożywcze i to nie ze względu na ludzi, lecz na roztopione słodycze. Potem internet bardzo nam pomógł. Firmy szybko się informatyzowały, zapotrzebowanie na magazynowanie danych cyfrowych rosło w postępie geometrycznym, a dane nie lubią ciepła. Serwery się przegrzewały, padały, firmy traciły nie tylko dane, ale też pieniądze. Dlatego nie trzeba było nikogo przekonywać, żeby inwestować w klimatyzację.

Pamiętam radość w mojej pierwszej redakcji, kiedy przywieźli nam klimatyzator. Trwała dwa dni. Urządzenie zamontowano właśnie w serwerowni.

Sam byłem świadkiem takich scen. Rzeczywiście pracownicy musieli czekać dłużej na chłodzenie niż urządzenia, które wspomagały ich pracę.

To dlatego, że usługa była za droga, czy to było związane z mentalnością pracodawców?

Rozmawia pan z inżynierem, a nie psychologiem. W motywację pracodawców ciężko mi się wczuć. Obiektywnie patrząc, ceny klimatyzatorów jeszcze 20 lat temu były dosyć wysokie, ale z pewnością nie zaporowe. Dobrej klasy urządzenie do schładzania 30–40-metrowego pomieszczenia kosztowało ok. 8 tys. zł.

Tyle że wtedy za takie pieniądze można było kupić używane auto w niezłym stanie.

Mam wrażenie, że przed laty klimatyzacja wydawała się swego rodzaju zbytkiem.

Luksusem?

Nie była czymś nieosiągalnym, więc nie tyle luksusem, ile właśnie zbytkiem. Pracodawcom wydawało się, że jak jest gorąco, to wystarczy zrobić przeciąg. Dopiero później zaczęli liczyć i okazywało się, że kiedy w pracy działa klimatyzacja, ludzie chętniej do niej przychodzą. Latem są bardziej wydajni. To jak z kinami.

Pamiętam awanturę, jaka lata temu wybuchła o to, że policja kupiła pierwsze radiowozy z klimatyzacją. Komentarze były takie, że policjantom się w głowach poprzewracało.

Dziś klimatyzacja samochodowa jest w zasadzie standardem. Tak samo zresztą jak klimatyzowana galeria handlowa. Ceny urządzeń są mniej więcej takie same, ale siła nabywcza portfeli Polaków poszybowała. Masowa dostępność klimatyzowanych samochodów przekłada się na oczekiwania. Ludzie jadą takim dobrze schłodzonym autem i myślą sobie, że czemu nie mogą tak mieć w domu.

A jednak nie jesteśmy rynkiem numer jeden.

Nie, bo nie jesteśmy narażeni na takie upały jak kraje, w których sprzedaje się znacznie więcej klimatyzatorów niż w Polsce. Ale branża rozwija się stabilnie i bardzo dynamicznie. Po naszej firmie widać, że to w zasadzie wzrost o 10 proc. rok do roku. Proszę wskazać jakąś inną branżę, która tak rośnie.

Może to efekt redukcji zapóźnień. Przez lata ludzie nie używali takich urządzeń, więc jak zaczęli, to nagle kilka tysięcy sprzedanych klimatyzatorów robi wielkie procenty.

To pewnie też. Ale te wzrosty nie są wirtualne. Zmienia się klimat. Zarówno ten wokół tych urządzeń, jak i ten za oknem. Można się spierać, co powoduje efekt cieplarniany, czy to działalność człowieka, czy cykl w ekosystemie pogodowym, ale nie można się spierać, że sam efekt istnieje. A jego najbardziej odczuwalnym przejawem są skrajne temperatury i ich ▶

© ZOFIA I MAREK BAZAK/EAST NEWS

eprasa.pl 742e21c9af

▶ wahania. W dniu, w którym rozmawiamy, temperatura w Krakowie o poranku wynosiła 15 st. C. Tydzień wcześniej było to 25 st.

Według przewidywań meteorologów, kiedy czytelnicy dostaną gazetę do ręki rano znowu będzie 25 st. C, a w ciągu dnia słupek rtęci przekroczy 35 st. Znowu będziecie mieli żniwa.

Pogoda jest nieprzewidywalna, zmienna, no i dochodzą te ekstremalne temperatury. Ale z perspektywy branży to nie jest korzystne.

Jak to nie jest? Ludzie umierają z gorąca w przenośni, a nawet dosłownie. Telefony muszą się u was urywać.

No i się urywają. Ale przecież mamy tylko dwie ręce. Jak jedną odbieram, to drugą nie za wiele już zrobię. A tak serio, to nie jest urodzaj, ale klęska urodzaju. Wąskim gardłem każdej firmy są pracownicy. Nie da się założyć dwa razy więcej klimatyzatorów, kiedy jest dwa razy więcej zamówień. Jak jest dwa razy więcej zamówień, to trzeba czekać dwa razy dłużej na usługę.

Albo dwa razy więcej za nią zapłacić.

Takie sytuacje również mają miejsce. Ale to głównie związane jest z niedoborem samych urządzeń albo części zamiennych. Zamówienia trzeba robić odpowiednio wcześniej. Kto miał nosa i zamówił więcej, ten więcej zarobił. Z drugiej strony każdy się pilnuje, żeby nie przeszarżować, jak to było z pompami ciepła. Kiedy zaczęły się dopłaty z programu Czyste Powietrze, ludzie rzucili się na te pompy. Popyt był tak duży, że ceny urządzeń zostały wywindowane do 20 tys. za zestaw. Importerzy ściągali pompy na wyścigi. Tyle że w 2022 r. wybuchła wojna w Ukrainie, ceny energii oszalały i popyt na pompy spadł niemal do zera. I tak w jednym roku ludzie prosili się o pompy za 20 tys., a rok później tych samych pomp nie chcieli kupować za 6 tys. zł. Trudno się dziwić, że w branży panuje sceptyczny optymizm.

Klimatyzatory są bardzo prądożerne?

Te najnowocześniejsze już nie. Układy są bardzo efektywne energetycznie nawet przy dużych skokach temperatur. Oczywiście, że to zauważalna pozycja na letnim rachunku za prąd, ale nieskutkująca zabójczymi kwotami. Więc to nie jest bariera dla klientów. Tym bardziej że przez 90 proc. roku urządzenie pracuje mało albo wcale.

I to jest główna bariera, przez którą Polacy nie mogą się zdecydować, czy mieć klimatyzację, czy nie mieć.

Zimą my, monterzy, siedzimy i gapimy się w sufity. Latem nie wiadomo, w co ręce włożyć. Wystarczyłoby, żeby osoba planująca taki zakup zadzwoniła poza sezonem. Miałaby i dobrą cenę, i szybki termin montażu. Niestety co roku powtarza się ten sam scenariusz. Przychodzi fala upałów, a u nas telefony rozgrzewają się do czerwoności. Już nawet bardzo na to nie narzekam.

Taki mamy klimat… społeczny. Sam chciałem kupić klimatyzator przenośny i okazało się, że nie było w żadnej hurtowni w okolicy Warszawy.

Urbanistyczna betonoza w dużych miastach jak Warszawa powoduje, że szybciej przyjmują i dłużej akumulują ciepło. Beton działa jak magazyn energii. Po nagrzaniu trudno go schłodzić.

Jerzy Bierówka, rocznik 1980. W branży zaczynał jako instalator, serwisant, a następnie ekspert i projektant w dziedzinie chłodnictwa. Obecnie przedstawia się jako początkujący przedsiębiorca.

Na Zachodzie w miastach maluje się dachy na biało, żeby odbijały promienie słoneczne, robi nasadzenia na dachach. U nas to ciągle jeszcze pieśń przyszłości, dlatego ludzie ratują się sami i kupują klimatyzatory. O ile oczywiście da się je kupić.

Podejrzewam, że urządzeń przenośnych, o których pan mówi, mogło nie być w całej Polsce. U nas wyprzedały się w zasadzie w dwa dni.

To czemu nie zamówiliście więcej?

Bo to nie jest produkt, który rekomendujemy naszym klientom. W zasadzie polecamy go tylko w wyjątkowych sytuacjach. Na małym metrażu, tam, gdzie obostrzenia konserwatorskie wykluczają klimatyzatory typu split, w których gorący i głośny agregat skraplający montowany jest na zewnątrz budynku, a powietrze w pomieszczeniu jest ochładzane przez cicho pracującą jednostkę umieszczoną wewnątrz. Efektywność urządzeń przenośnych jest mniej więcej o połowę niższa niż tych konwencjonalnych. Ponadto zajmują dużo miejsca, wymagają odprowadzenia gorącego powietrza rurą o znacznej średnicy oraz ręcznego opróżniania pojemnika na skropliny, ale ich największą wadą jest duży hałas, który generują bezpośrednio w pomieszczeniu.

Ale są tańsze i nie trzeba wzywać monterów.

Na dłuższą metę klienci bardziej są rozczarowani niż zadowoleni. Branża to już zresztą ćwiczyła. Pierwsze klimatyzatory indywidualne, które pamiętam, potocznie nazywane „okiennymi", były konstrukcyjnie podobne do urządzeń przenośnych. Tyle że nie posiadały rury odprowadzającej ciepło, tylko montowało się je na przykład w oknie lub pod parapetem. Pamiętam, że na początku był na nie spory popyt szczególnie w sklepach spożywczych. Ale ze względu na podobne wady, jakie występują w urządzeniach przenośnych, skończył się wraz z tym, jak spadła cena urządzeń typu split.

A dlaczego spadła?

Cena z reguły spada z tego samego powodu. Konkurencja, rosnąca podaż, powtarzalność produkcji i jakości. Swego czasu największymi graczami na rynku klimatyzatorów indywidualnych byli Japończycy. Takie marki jak Mitsubishi, Panasonic, Toshiba dalej są ważnymi graczami. Ale niemal połowę światowej produkcji kontrolują dziś chińskie marki Midea i Gree. I ich klony. Klony w tym sensie, że Midea oraz Gree produkują urządzenia i komponenty nie tylko pod własną marką, ale też dla setek innych marek, często jedynie brandujących.

Czyli takich, które przyklejają własne naklejki.

W zasadzie tak. Trzeba tylko zamówić odpowiednią ilość towaru. Myślę, że gdybym kupił ze dwa kontenery klimatyzatorów, to mógłbym sprzedawać urządzenia pod marką Jerzy Bierówka. Nie wiem tylko, czy odniósłbym odpowiedni sukces.

Gdyby pan zainwestował w reklamę.

Kiedyś kina się reklamowały, że są klimatyzowane, a dziś już tego nie robią. Nie robią, bo nie muszą. Jeśli ktoś się reklamuje, to głównie poprzez pozycjonowanie na stronie, żeby przekierować na siebie strumień pierwszych klientów. Ale to broń obosieczna. W czasie szczytu upałów takie firmy mają tyle telefonów, że aż im współczuję.

Klimat się ociepla. To fakt. Podobno ociepla się również przez klimatyzatory.

eprasa.pl 742e21c9af

To skomplikowany temat. Za moich czasów w branży były już dwa znaczące przełomy technologiczne wynikające z obostrzeń ekologicznych w kwestii stosowania czynników chłodniczych (potocznie nazywanych freonami) i ich wpływu na środowisko. Można obrazowo powiedzieć, że UE zaciska pętle na tego typu urządzeniach. Pierwsze duże trzęsienie ziemi w chłodziwach miało miejsce ok. 2000 r., kiedy wycofano popularne wówczas czynniki mające negatywny wpływ na warstwę ozonową. Do drugiej rewolucji doszło w 2015 r., kiedy z rynku wypadły kolejne bardzo popularne czynniki robocze, których emisja znacznie przyczyniała się do tworzenia efektu cieplarnianego (jak emisja CO_2). W styczniu 2025 r. wprowadzono ich kolejną redukcję. Obecnie najpopularniejszy w układach klimatyzacyjnych jest czynnik o rynkowym oznaczeniu R32. Jeśli ktoś zdecyduje się na zakup klimatyzatora, warto się upewnić, że kupuje urządzenie właśnie z takim czynnikiem.

A jeśli nie, to przyjdą i mu zabiorą?

Nie, bo sprzedaż i montaż urządzeń o małej wydajności nie jest nigdzie oficjalnie rejestrowana. Stąd nawet sama branża tak naprawdę nie wie, ile tego typu urządzeń jest sprzedawanych i montowanych. Szacunki mówią o 200–300 tys. rocznie, ale nie przywiązywałbym się do tych danych. Unijne przepisy nakładają obowiązek rejestrowania urządzeń o wysokiej wydajności i, co za tym idzie, dużej zawartości czynnika roboczego. Dużej, czyli dla wspomnianego czynnika R32 powyżej 7,4 kg w układzie.

A niedużo to ile?

W instalacji samochodowej jest ok. 500 g. W klimatyzatorze domowym o wydajności chłodniczej 3,5 kW mniej więcej 800–900 g. Przy czym przelicznik wpływu substancji na klimat dla czynników ziębniczych jest bardzo wysoki. Szacuje się, że emisja 1 kg czynnika R32 przekłada się na 675 kg emisji CO_2. Dla przeciętnego Kowalskiego to jednak wiedza bezużyteczna, bo jak powiedziałem, takiego urządzenia nie musi nigdzie rejestrować ani zgłaszać. Ludzie najczęściej kupują urządzenia o wydajności 3,5 kW.

A tak po ludzku?

Takie, które pozwalają schłodzić temperaturę w ok. 40-metrowym pomieszczeniu do 24 st. C i utrzymać ją na takim poziomie. W polskich warunkach to urządzenia absolutnie wystarczające. Tym bardziej że fale upałów są coraz dłuższe, ale jednak przeplatane ochłodzeniami, co powoduje, że budynki mają czas, żeby oddać ciepło zgromadzone w murach.

Czy fale upałów to największy sprzymierzeniec branży?

Dużo zawdzięczamy deweloperom. Mieszkania w Polsce są małe, ciasne, niskie, nieprzewiewne, bo budowane tak, żeby wycisnąć jak najwięcej metrów. W efekcie zdarza się, że wszystkie okna wychodzą na tę samą stronę, co powoduje gwałtowne nagrzewanie się pomieszczeń. Nie jestem architektem, więc trudno mi to komentować, ale wielu ludzi jest wręcz skazanych na klimatyzację, bo kupują mieszkania, w których nie da się bez niej funkcjonować latem. Obawiam się, że w PRL budowano z większym rozmysłem. Te wszystkie mankamenty współczesnych mieszkań najbardziej uwypukliły się w czasie pandemii. Ludzie przestali chodzić do pracy, zaczęli spędzać sporo czasu we własnych mieszkaniach i zorientowali się, że ciężko w nich wytrzymać.

Kolejna branża, która jest beneficjentem Covid-19?

Nigdy nie mieliśmy tylu zamówień jak w czasie pandemii. A i po pandemii nieźle się nam wiodło, bo wielu ludzi już nie wróciło do pracy, tylko przeszło na pracę zdalną. W biurze mieli klimatyzację, a w domu nie. Przywykli do wygody, więc zaczęli montować klimatyzatory również w domu. Pandemia przełamała ostatnie opory przed klimatyzacją.

A ja myślałem, że waszymi klientami są głównie osoby starsze, które upały znoszą najgorzej.

Ludzie ze starszych roczników wiele już w życiu przeszli i przywykli do niewygody. No i mam wrażenie, że są dużo twardsi niż młodsze roczniki. Nie mieli wygód za młodu, więc nie oczekują ich również na starość. Jak przychodzi upał, to po prostu ograniczają aktywność, dobrze się nawadniają i próbują przetrwać. Tak się kiedyś wszyscy zachowywali. Ale przyszedł dobrobyt i mamy ręce pełne roboty.

To nie brzmi jak ciepłe słowa dla klientów.

Ja jestem od chłodzenia, a nie od ciepłych słów.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

© MP

REKLAMA

www.podtezniami.pl

KLINIKA UZDROWISKOWA „POD TĘŻNIAMI" – SANATORIUM W CIECHOCINKU

Zadbaj o zdrowie. Odzyskaj energię.

KLINIKA UZDROWISKOWA „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

LECZENIE I REHABILITACJA
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
17.07–27.09 oraz 27.09 - 25.10.2026
W ramach pobytu:
• 15 lub 20 zabiegów leczniczych
• diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
• basen solankowy
• basen wewnętrzny i zewnętrzny—do 90 minut dziennie

TURNUSY SPECJALISTYCZNE: ZDROWY KRĘGOSŁUP • NEUROLOGICZNY • DLA AKTYWNYCH BIODRA • KOLANA • BARK • ANTYSTRESOWY • KARDIOLOGICZNY Z DIAGNOSTYKĄ
* możliwa dopłata

NOWOŚĆ!
ONKO REHAB
26.07 ORAZ 30.08
ZADZWOŃ I SPRAWDŹ

PAKIET DIETETYCZNY ODCHUDZAJĄCY
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
17.07–27.09 oraz 27.09 - 25.10.2026
W pakiecie:
• opieka dietetyka i analiza składu ciała
• indywidualny plan żywienia oraz jadłospis do domu
• 15 zabiegów wspierających redukcję masy ciała
• ćwiczenia grupowe, FIT Park
• basen, sauny, łaźnie, grota solna
• konsultacje i badania lekarskie

Zeskanuj mnie

54 416 70 00
rezerwacja@podtezniami.pl
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 742e21c9af

Zaradny radny

Wystarczyła chwila na scenie ze szwedzką gwiazdą Zarą Larsson, by 25-letni radny Piotr Czerniejewski stał się bohaterem mediów – filmików, memów i internetowych komentarzy.

ZBIGNIEW BOREK

Jego występ z idolką błyskawicznie stał się wiralem o zasięgu globalnym, generując milionowe liczby wyświetleń. Partyjne profile z dumą podawały nagranie dalej. Zdjęciem z Piotrkiem i jego koncertowym plakatem pochwalił się nawet marszałek Czarzasty (fotka pochodzi z kampanii wyborczej, plakat wmontowano). Czerniejewski ma już za sobą siedem wywiadów, był zaproszony do telewizji śniadaniowej i szykował się do prowadzenia lekcji tańca à la Zara dla liderów Nowej Lewicy i wszystkich chętnych na plaży w Gdańsku. Nagle okazało się, że najkrótsza droga do politycznej rozpoznawalności prowadzi nie przez programową pracę, udział w debatach czy konferencje prasowe, lecz

eprasa.pl 742e21c9af

przez choreografię szwedzkiej gwiazdy pop. Błądzi jednak ten, kto sądzi, że to był spontan, a radny miał fart. Nic tu nie było dziełem przypadku.

Euforia z innej półki

Gdy on przychodził na świat w roku 2000, ona miała trzy lata. Kiedy raczkował w podstawówce, 11-letnia Zara wschodziła na popowym firmamencie: w 2008 r. wygrała „Talang", szwedzką edycję telewizyjnej franczyzy „Got Talent" (u nas znanej jako „Mam talent!"). Jej finałowy występ w serwisie YouTube przyniósł 15 mln wyświetleń. Przeboje z debiutanckiej płyty okupowały szwedzkie listy przebojów, a w 2015 r. singiel „Lush life" wyniósł Zarę na światową scenę. Trafił na czołówki sprzedaży także w Norwegii, Danii, Wielkiej Brytanii, Niemczech i Nowej Zelandii. W polskim radiu usłyszał go Piotrek z Konina, już jako gimnazjalista. I stał się fanem – hitu, twórczości i artystki. A zaistnieć z Zarą na scenie zamarzył, gdy zaczęła zapraszać kogoś z widowni do wspólnego tańca.

Perfekcyjnie się do tego przygotował. Obejrzał dziesiątki filmików, żeby poznać preferencje Zary i dziewczyn z jej chórków (ewidentnie pomagają jej wybierać). Liczą się kolory: żywe, letnie, wakacyjne, jak sam przebój – stąd u Piotrka różowa koszulka, choć na co dzień takiej nie nosi. Znakiem rozpoznawczym jej koncertów są breloczki (do kupienia w oficjalnym sklepie Zary Larsson), Piotrek zrobił więc z nich naszyjnik, a we włosy wpiął żółty kwiat. – *No i trzeba dać się zauważyć* – mówi. To było najtrudniejsze, bo koncert na głównej scenie w pierwszym dniu Open'er Festival w Gdyni oglądało na żywo kilkadziesiąt tysięcy osób.

Zara miała wystąpić o godz. 20, on z dwiema koleżankami kolejkował, jak to nazywa, pod festiwalową bramą od godz. 13 (rekordzistka czekała od godz. 4 na koncert, który miał się zacząć o północy). Po otwarciu bramy o 15.30 trzeba było wygrać wyścig do barierek ogradzających scenę. A później godzinami pilnować miejsca. Gdy zaczęło się show, mnóstwo fanów z pierwszych rzędów wyciągnęło transparenty z napisami po angielsku: wybierz mnie! – *Wyglądało to obsesyjnie. Ja na miejscu Zary trochę bym się bał zapraszać na scenę kogoś, dla kogo to jest jedyny cel obecności na koncercie* – opowiada Piotr.

Sam starał się bawić jak najlepiej, aż nadeszła godzina zero. Dopiero wtedy wyjął karton z napisem: „Broke my knee in March, but worked hard to be able to dance today – and I am" (złamałem w marcu kolano, ale pracowałem ciężko, żeby móc dziś zatańczyć – i jestem). – *To szczera prawda. Złapałem potężną kontuzję na nartach, a bilet na Open'er już miałem w kieszeni i bardzo się starałem do tego czasu stanąć na nogi.*

Zadziałało: Zara wskazała na Piotra, zaprosiła go na scenę, chwilę porozmawiali i zatańczyli. – *Aranżację ćwiczyłem wielokrotnie, żeby nie było siary* – uśmiecha się Piotr. Występ porównuje do chwili, kiedy zdobył mandat radnego. – *Euforia podobna, choć wydarzenie z innej półki.* W wyborach samorządowych zdobył 545 głosów. Transmisję koncertu Larsson w Telewizji Polskiej (TVP1, TVP Kultura, online) śledziło przed ekranami 660 tys. widzów (okazał się telewizyjnym hitem całego festiwalu, większym nawet niż koncert brytyjskiej legendy rocka The Cure). Na miejscu przez cztery dni bawiło się łącznie 230 tys. fanów. Wielu rozpoznawało potem Piotra: prosili o wspólną fotkę, chcieli pogadać, przybić piątkę. – *W trakcie Open'era wyskoczyłem do Gdańska. Tam też mnie rozpoznawali.* ▶

© STOPKLATKA Z TRANSMISJI TVP1

REKLAMA

Aplikacja POLITYKA

Czytaj, słuchaj, oglądaj

Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Słuchaj w biegu: podkasty i artykuły

Codzienne nowe treści

POBIERZ W Google play

POBIERZ W App Store

eprasa.pl 742e21c9af

© ZBIGNIEW BOREK

Radny Czerniejewski pod biurem Nowej Lewicy w Koninie

▶ Politolodzy powiedzą, że taniec skraca dystans między politykiem a wyborcą. Marketingowcy dodadzą, że świetnie sprzedaje wizerunek. Politycy rwą się więc do tańca od dawna, a platformy społecznościowe jeszcze ten trend wzmocniły, bo wystarczy porównać zasięgi konferencji prasowej z filmikiem, na którym polityk usiłuje nadążyć za choreografią.

Inspirująca lewaczka

Na liście klasyków politycznego tańca znajduje się Borys Jelcyn, który jako prezydent Rosji podczas wieców spontanicznie tańczył z artystami ludowymi. Jego podrygi bardziej przypominały próbę utrzymania równowagi, ale w epoce sprzed TikToka był to wiral analogowy – kasety VHS i telewizja robiły swoje. Prezydent USA George W. Bush zaliczył pląsy z portorykańską gwiazdą Rickym Martinem. Kanadyjski premier Justin Trudeau tańczył regularnie: bhangra w Indiach, inne tradycyjne tańce podczas wizyt zagranicznych, występy z lokalnymi artystami – wszystko trafiało do internetu.

W Polsce Aleksander Kwaśniewski tańczył z zespołem Top One, gdy z głośników rozbrzmiewało „Ole, Olek!", a on kandydował na prezydenta w 1995 r. Inni szli w jego ślady (albo niezdarnie usiłowali). Na Spotkaniu Młodych w Lednicy tańczyli prezydenci: najpierw Bronisław Komorowski, potem Andrzej Duda. Premier Beata Szydło tańcowała z kołami gospodyń wiejskich, a w „Tańcu z gwiazdami" występował Krzysztof Bosak. Dla części wyborców był to szok poznawczy – narodowiec w cekinach wykonujący sambę.

Czerniejewski różni się od nich tym, że dopiero buduje polityczną rozpoznawalność. „Zary słucham nieprzerwanie od 2015 r., niezależnie od tego, czy płyty, które wydawała, podbijały listy przebojów, czy też nie. Ona jest świetną inspiracją, żeby się nie poddawać! No i nie ma co ukrywać, laska jest woke lewaczką, więc wiedziała, kogo wybiera – i w tym aspekcie to, że ona mówi, co myśli na tematy polityczne, mnie osobiście też zachęca, żeby walczyć o sprawy, które po prostu są ważne" – napisał na Instagramie.

– *Nie ja ustalam reguły. Polityka musi być nieszablonowa, inaczej nikt się nią nie zainteresuje* – mówi. Wolałby, żeby tak ogromne zasięgi jak jego występ z Zarą miały relacje z sesji rady miasta, informacje o sprawach komunalnych czy o jego aktywności jako radnego. – *Zabiegam o rozwój budownictwa społecznego i preferencje dla młodych w najmie mieszkań czy o tworzenie dla nich miejsc spędzania wolnego czasu, bo nasze miasto się wyludnia* – dodaje. Z paczką przyjaciół z lat szkolnych spotyka się w Poznaniu. Wyjechali tam razem na studia, wrócił tylko on.

Za PiS współorganizował protesty w obronie praworządności i przeciw zaostrzeniu prawa aborcyjnego. Od pięciu lat prowadzi stowarzyszenie Młodzi Lokalsi, które uczy, jak się odnaleźć na rynku pracy, bo wskutek odchodzenia od węgla bezrobocie w Koninie sięga 9 proc. (ponad dwa razy więcej niż w całej Wielkopolsce), zaś aktywność gospodarcza mieszkańców lokuje miasto na końcu regionalnej stawki.

W 2023 r. startował w wyborach parlamentarnych (3649 głosów nie wystarczyło, żeby zostać posłem), na część etatu pracuje dla jednej z posłanek, otworzył przewód doktorski (bada efektywność wydatków na transformację energetyczną). Jest szefem Nowej Lewicy w Koninie. – *Politykiem będę tak długo, jak będzie mi się udawać dowozić sprawy do końca* – deklaruje.

Nagłą popularność zamierza wykorzystać do promocji działalności swojej i partii: – *Zdaję sobie sprawę, że za miesiąc mało kto będzie o tym pamiętał. Skoro jednak w ciągu ośmiu lat obecności na Instagramie zgromadziłem 2,5 tys. followersów, a po występie z Zarą przybyło ich 5 tys., to może przynajmniej do niektórych dotrę z tym, czym zajmuję się na co dzień* – mówi.

Sława czy folklor

– *Radny zwrócił na siebie uwagę szerokiej publiki, ale w charakterze clikbaitu, czyli przynęty pozbawionej istotnych treści, które mogliby docenić potencjalni wyborcy* – komentuje dr Krzysztof Grzegorzewski, medioznawca z Katedry Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Łódzkiego. Jego zdaniem politycznych korzyści na dłuższą metę z tego nie będzie. – *Wiedzą o tym tacy internetowi wyjadacze jak Sławomir Mentzen, który do budowania rozpoznawalności wykorzystał hulajnogę i piwo, ale ugruntował ją wyrazistymi – nie wnikając w meritum – poglądami w kluczowych społecznie sprawach* – mówi dr Grzegorzewski.

Radzi więc radnemu, żeby zadbał o wzmocnienie politycznego, a nie rozrywkowego przekazu. – *Od tego będzie zależało, czy jego doraźna popularność przełoży się na wynik wyborczy czy też zepchnie go do kategorii politycznego folkloru.* Z rozpoznawalnością też na dwoje babka wróżyła: w sieci jest większa niż w realu. Spośród 30 osób, które przez godzinę przepytał reporter, pięć wiedziało, kim jest Piotr Czerniejewski. Młody polityk, radny Lewicy, ten polityk z Open'era – mówili zdawkowo. Tylko Anna, trenerka umiejętności społecznych, wiedziała, czym zajmuje się jako radny. Siedmiu osobom coś dzwoniło, ale nie w tym kościele. Poseł, biznesmen, ktoś znany – odpowiadali. – *Ten z PiS od wałków na kilometrówkach* – jegomość z wąsem mylił z Ryszardem Czarneckim. 18 osób nie miało pojęcia, kto zacz, choć sonda reporterska POLITYKI odbywała się przed biurem Lewicy w Koninie, gdzie na witrynie jest wielkie zdjęcie Czerniejewskiego.

Trochę to współgra z przebojem Zary Larsson. Gdyby potraktować „Lush Life" (z angielskiego: życie bujne, na bogato) jak poradnik życiowy, miałby kilka banalnych punktów. Po pierwsze: nie oglądaj się za siebie. Po drugie: tańcz, póki starczy sił. Po trzecie: jeśli zauroczenie się skończyło, nie roztrząsaj tego – znajdzie się następne.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 742e21c9af

Pornobajki i patolajki

Rozmowa z dr. Konradem Ciesiołkiewiczem z Państwowej Komisji do spraw Przeciwdziałania Pedofilii o tym, co nasze dzieci oglądają w sieci i jak je przed tym chronić.

JOANNA CIEŚLA: **– Czy pan jako tata cieszy się, że od września dzieci nie będą mogły korzystać ze smartfonów w szkołach? Sejm kilka dni temu przyjął przepisy w tej sprawie, prezydent pewnie je podpisze.**

KONRAD CIESIOŁKIEWICZ: – Tak, ten rodzaj porządkowania wychodzi naprzeciw postulatom środowiska oświatowego. Wolę mówić o porządkowaniu niż o zakazach, bo przecież nie one są istotą, tylko walką o rozwój kompetencji społeczno-emocjonalnych w szkole, o większą uważność i relacje. Według wielu raportów, m.in. z międzynarodowego badania PISA, młodzi ludzie w Polsce dobrze opanowują wiedzę, ale znajdują się na ostatnich miejscach pod względem radzenia sobie ze stresem, wytrwałości, odporności, motywacji wewnętrznej itd. W mojej ocenie ten projekt to właściwa odpowiedź Ministerstwa Edukacji na wyzwania czasu. Szczególnie że wchodzą też nowe programy profilaktyczne i nowe podstawy programowe nastawione na wzmacnianie tych kompetencji, także w środowisku informacyjno-cyfrowym.

Kiedy internet stanie się bezpieczniejszy dla dzieci?

Mamy rozpędzone prace nad ustawą o ochronie karnej przed patostreamingiem. W czerwcu 419 posłów poparło ten projekt, autorstwa Moniki Rosy, więc liczę, że szybko przejdzie też przez Senat i że prezydent również nie będzie miał co do niego wątpliwości. Za tworzenie i rozpowszechnianie np. filmów przedstawiających znęcanie się nad kimś lub poniżanie będzie grozić kara do pięciu lat więzienia. Także w ostatnich dniach trafił z rządu do Sejmu projekt o ochronie dzieci przed dostępem do treści pornograficznych w internecie. Te przepisy mają utrudnić wchodzenie na serwisy dla dorosłych. Obecnie jeden z takich serwisów jest drugą najczęściej odwiedzaną domeną przez polskie dzieci w wieku 7–14 lat. Częściej wchodzą tylko na wyszukiwarkę Google.

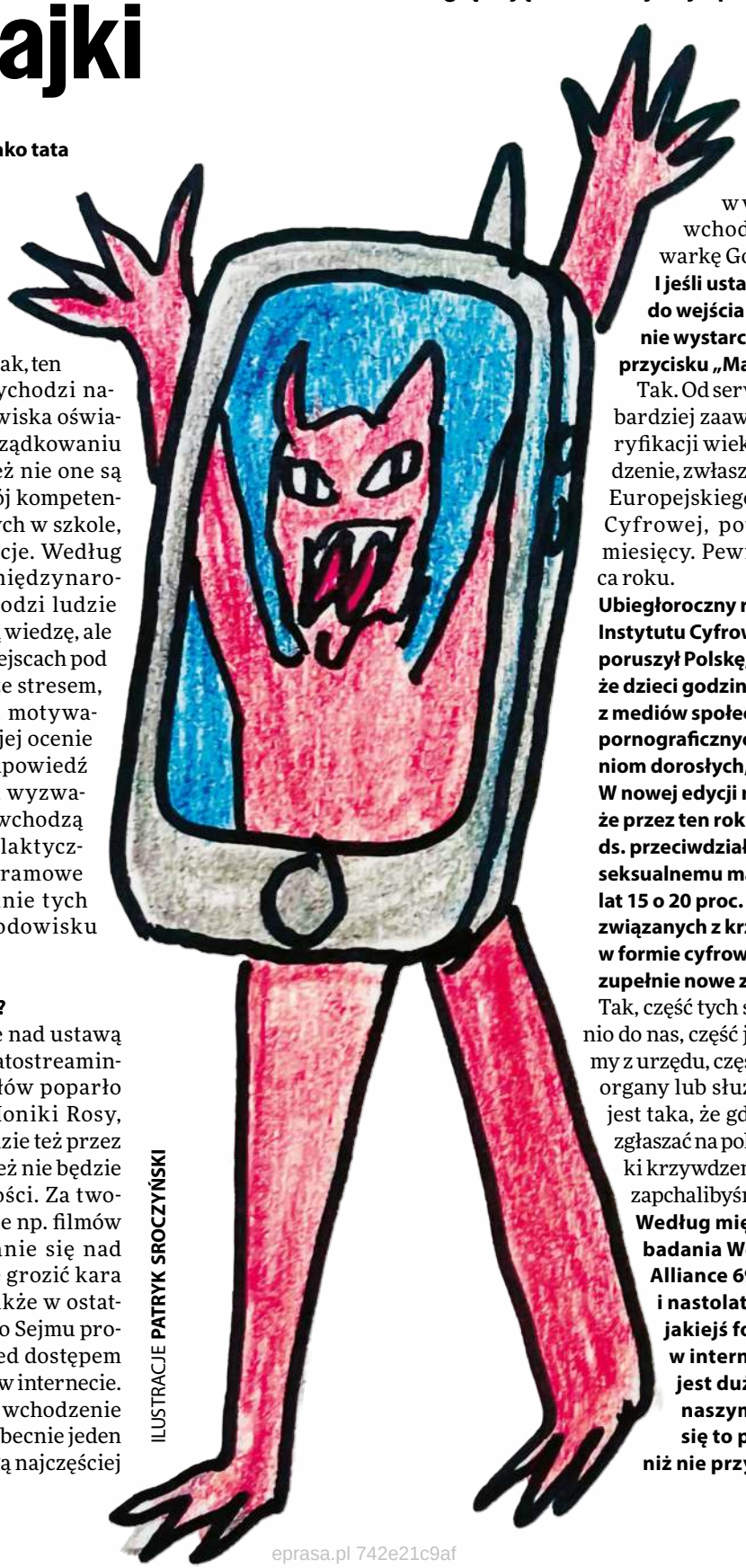

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

I jeśli ustawa zacznie działać, do wejścia na stronę porno nie wystarczy już kliknąć przycisku „Mam 18 lat"?

Tak. Od serwisów będą wymagane bardziej zaawansowane metody weryfikacji wieku. Ale na ich wprowadzenie, zwłaszcza rekomendowanego Europejskiego Portfela Tożsamości Cyfrowej, potrzeba jeszcze kilku miesięcy. Pewnie potrwa to do końca roku.

Ubiegłoroczny raport „Internet dzieci" Instytutu Cyfrowego Obywatelstwa poruszył Polskę, bo dowiódł, że dzieci godzinami korzystają z mediów społecznościowych i stron pornograficznych, wbrew twierdzeniom dorosłych, że ich tam nie ma. W nowej edycji raportu pisze pan, że przez ten rok w Państwowej Komisji ds. przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich poniżej lat 15 o 20 proc. przybyło spraw związanych z krzywdzeniem w formie cyfrowej. I że pojawiają się zupełnie nowe zagrożenia.

Tak, część tych spraw trafia bezpośrednio do nas, część jako komisja wszczynamy z urzędu, część przekazują nam inne organy lub służby. Natomiast prawda jest taka, że gdybyśmy dzisiaj chcieli zgłaszać na policję wszystkie przypadki krzywdzenia seksualnego w sieci, zapchalibyśmy cały aparat państwa.

Według międzynarodowego badania WeProtect Global Alliance 69 proc. dzieci i nastolatków doświadczyło jakiejś formy krzywdzenia w internecie. Statystycznie jest duża szansa, że również naszym dzieciom raczej się to przydarzyło, niż nie przydarzyło. ▶

eprasa.pl 742e21c9af

▶ Należy założyć, że to miało miejsce. Przy czym formy krzywdzenia nie dla wszystkich są oczywiste. Część osób nie uznaje za krzywdzenie udostępniania pornografii albo zdjęć genitaliów, zwłaszcza gdy przesyła je np. kolega z klasy. Ale jeśli odbiorca takiego zdjęcia ma mniej niż 15 lat, mówimy o przestępstwie ściganym z art. 200 kk. Sprawa się komplikuje, jeśli taką treść podsyła algorytm. I to rodzi ogromne poczucie niesprawiedliwości wśród tych, którzy doświadczają krzywdzenia. Niedawno na konferencji organizowanej m.in. przez brytyjskie służby organizacja Protect Children przedstawiała badania z udziałem pokrzywdzonych na temat krótko- i długookresowych konsekwencji krzywdzenia seksualnego online, offline i hybrydowego.

I co się okazało?

Że krzywdzenie w sieci nie różni się ciężarem konsekwencji od krzywdzenia tzw. kontaktowego. M.in. dlatego, że to wirtualne wbrew pozorom często ma także charakter fizyczny – w najcięższej formie dotyczy zmuszania do wykorzystania zwierząt, używania niebezpiecznych przedmiotów itd. Od lat na błąd lekceważenia w podejściu do tych przestępstw zwraca uwagę w swoich ekspertyzach Katarzyna Staciwa. Wkrótce, w dużej mierze dzięki jej zaangażowaniu, będziemy publikować w Polsce te badania – rewolucyjne, bo pokazują, że musimy zmienić diametralnie podejście do cyberprzemocy seksualnej. To cel nowej strategii Państwowej Komisji i wielu wystąpień jej przewodniczącej Joanny Napierały. Dla przykładu podam też, że według niedawnych raportów nawet 44 proc. dzieci oglądało w internecie sceny gwałtu.

To dane polskie?

Brytyjskie. Ale nie ma powodów, dla których w naszym kraju ten odsetek miałby się znacząco różnić. Dzisiejsi dorośli myślą o porno przez pryzmat wspomnień z własnej młodości, świerszczyków, Playboya. To, co oglądają dzieci teraz, może się skończyć latami funkcjonowania w kryzysie zdrowia psychicznego, łącznie z zespołem stresu pourazowego.

W raporcie „Internet dzieci" pisze pan też o przemocy nihilistycznej. Wstrząsający jest ten opis.

To zjawisko, które według ABW także już pojawia się w Polsce. Chodzi o środowiska nazywane przez instytucje bezpieczeństwa *Com* lub *The Com*, od *community*. To luźno powiązane podgrupy, które działają w trzech głównych wymiarach. Jeden to cyberprzestępstwa, szeroko pojęte, np. uruchamianie fałszywych alarmów, informowanie instytucji o podłożonej bombie. Drugi związany jest z uwodzeniem. Członkowie takich społeczności wyszukują w serwisach społecznościowych, komunikatorach i poprzez gry multiplayer, jak Minecraft albo Roblox, dzieci, które wykazują oznaki depresji, izolacji społecznej czy neuroróżnorodności, co też często wiąże się z samotnością. I manipulują nimi tak, by tworzyły treści CSAM – przedstawiające treści seksualne.

Przez lata tworzenie takich treści i ich monetyzacja były celem działania grup przestępczych.

A teraz jest tylko etapem pośrednim, umożliwiającym szantaż, przejęcie pełnej kontroli nad życiem człowieka. Trzeci komponent działalności tych środowisk jest właśnie nihilistyczny. Te sieci radykalizują swoje ofiary w bardzo zindywidualizowany sposób, daleki od topornych, jednak spójnych ideologii, jak np. neonazistowska. Działają w sposób odpowiadający totalnej fragmentaryzacji współczesnych przekazów. Wszystko jest personalizowane, rwane i robi chaotyczne wrażenie.

W jaki sposób można kogoś zradykalizować, jeśli nie ma ideologii do zaproponowania?

Poprzez relacje. Element ideologiczny pojawia się, ale wyłącznie w roli narzędzia, instrumentu. Jednego dnia podrzuca się komuś hasła nazistowskie, a drugiego – z obszaru ekoterroryzmu. Częścią tego są też tzw. *gore communities*, publikujące i wymieniające się materiałami przedstawiającymi ekstremalną przemoc, skutki makabrycznych wypadków, okaleczenia, egzekucje.

Czyli chodzi o stworzenie wrażenia rozpadu świata?

Tak, o sianie destabilizacji. Te grupy przyciągają dzieci, młodzież, a także młodych dorosłych, do celebrowania zła, w skrócie mówiąc. Żeby budować swój status, te osoby muszą przekraczać kolejne granice. Najpierw torturują zwierzęta, później je zabijają, biją kolegów, atakują nożem. To się dzieje w Europie.

W Polsce także. Kilka miesięcy temu dziewczynka zabiła dziewczynkę.

Nie wiem, jak było w tej sprawie, i nie chcę się wypowiadać. Ale w ramach tych zadań pojawiają się różne misje, także podkładanie bomb. Przestępstwa mają być dokumentowane, nagrywane, bardzo często streamowane. Na przykład grupa ogląda kogoś, kto krzywdzi zwierzę albo człowieka. Dziecko jest zadaniowane do ataku na starszą osobę w parku, ta sytuacja jest streamowana, a grupa przed ekranami kibicuje, żeby dobić ofiarę. Mówię tu o konkretnych sytuacjach opisywanych przez Europol.

eprasa.pl 742e21c9af

Dr **Konrad Ciesiołkiewicz** – kierownik Centrum Analiz Społeczeństwa Informacyjnego Uczelni Korczaka, wiceprzewodniczący Państwowej Komisji ds. przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich poniżej lat 15 (PKDP).

Opisywane niedawno umieszczanie w serwisach upokarzających „ogłoszeń o sprzedaży" kolegi, z wulgarnymi opisami i zdjęciami, też może być przejawem działania Com-ów?

Może. Kategoria jest otwarta. Założyciel grupy 764, działającej na skalę bezprecedensową, angażującą tysiące ludzi na całym świecie, i uznanej za organizację terrorystyczną, stworzył ją, gdy miał 15 lat. Charakterystyczne dla tych środowisk bywają też praktyki znakowania ofiar.

Tatuaże? To brzmi jak film SF.

Ale to rzeczywistość. Najczęściej takiej osobie nakazuje się coś sobie wyciąć na skórze. Ktoś krzywdzi kogoś w sieci, a potem nakazuje ofierze, żeby wydrapała sobie jakiś symbol na znak, że np. „ona jest moja".

Jakie to mogą być symbole?

To brzmi groteskowo, ale czasem satanistyczne. Czasem nazistowskie, czasem numeryczne, których nie można rozszyfrować, bo one też bywają tworzone ad hoc, zrozumiałe tylko dla danej grupy. Dlatego wciąż ważne jest, żeby zwracać uwagę, czy nasze dziecko albo młody człowiek chodzi np. ciągle w ubraniach z długimi rękawami. Może pod nimi skrywać ślady po samookaleczeniach albo takie właśnie oznaczenie. W ogóle trzeba też zwracać uwagę na dziwną symbolikę, która pojawia się np. na ścianach w pokoju dziecka, na rysunkach. Środowiska Com są w tej chwili uznawane za jedno z największych niebezpieczeństw i wyzwań dla służb i bezpieczeństwa publicznego w zachodnim świecie. Dobrym sygnałem jest, że Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego przygotowała raport w tej sprawie, że dostrzega to zjawisko też w Polsce.

Komu przydatne są takie grupy?

Czasami innym grupom przestępczym. Czasami państwom trzecim. Na koniec te wszystkie grupy tworzą rodzaj „brudnej wspólnoty", bardzo łatwo podatnej na manipulację także przez zewnętrzne siły. Z Ukrainy znamy przypadki nakłaniania do zemsty dziecka, które doświadcza bullyingu w szkole. Przez wiadomości na komunikatorach podsyca się złe emocje tego dziecka. Gdy służby wychwytują coś niepokojącego i dochodzi do zatrzymania, okazuje się, że 15–16-latek ma w domu zgromadzoną broń ostrą, karabiny itd. Ktoś mu to dostarczył, a wcześniej przez tygodnie utwierdzał go w przekonaniu, że musi dokonać zemsty. I okazuje się, że te osoby są powiązane z Rosją. Finałowe działania dziecka w tamtej sytuacji miały być spektakularne, żeby wywoływać szok społeczny, niszczyć morale. I podobnie działa to w innych krajach Europy, z tą różnicą, że częściej chodzi o nakłanianie do ataków nożowniczych. Oczywiście nie ma pewności, kto stoi po drugiej stronie we wszystkich tych przypadkach. Natomiast Europol stanowczo ocenia, że skala tej formy przestępczości wzrosła po rozpoczęciu wojny w Ukrainie i że jest to część wojny hybrydowej.

Czy w walce z tym mógłby pomóc Akt o Usługach Cyfrowych (DSA), do którego przepisy wykonawcze w styczniu zawetował prezydent?

DSA wzmacnia możliwości państwa i obywateli w egzekwowaniu prawa wobec dużych platform cyfrowych. Daje regulatorowi, w polskim przypadku Urzędowi Komunikacji Elektronicznej, narzędzia do ochrony przed przemocą, a użytkownikom – mechanizmy zgłaszania nielegalnych treści i występowania o ich blokowanie oraz odwoływania się od decyzji platform. Przepisy wprowadzające Akt o Usługach Cyfrowych wkrótce powinny przejść przez Sejm i Senat i po raz drugi trafić na biurko prezydenta.

Według nowego pomysłu ministra cyfryzacji akty prawne mają być rozdzielone na dwie ustawy. Taki wybieg przekona Karola Nawrockiego do regulacji?

Wydaje mi się, że prezydent wykorzystał ostatnie miesiące na refleksję. Myślę, że nie popełni drugi raz tego samego błędu, odrzucając przepisy, które prowadzą do skuteczniejszej walki z dezinformacją i nielegalnymi treściami i przez to umożliwiają lepszą ochronę nas wszystkich, w tym także dzieci i młodzieży w internecie.

Pan wie, że to nie rozwiąże wszystkich problemów.

Nie ulega wątpliwości, że działamy na zasadzie łatania dziur. Ustawa o patostreamingu też wszystkich problemów nie rozwiąże, dlatego że głównie odnosi się akurat do indywidualnych „twórców" patologicznych treści, nie do platform, które je dystrybuują. Ustawa o ograniczeniu dostępu do pornografii też będzie działać tylko w pewnym zakresie. Wprowadza jednak obowiązek skutecznej weryfikacji wieku, co oznacza, że docelowo będzie można wprowadzać tego rodzaju mechanizmy do platform społecznościowych. Państwo będzie prowadzić rejestr stron i blokować te, które nie sprawdzają skutecznie wieku użytkowników.

Na zakaz korzystania z mediów społecznościowych poniżej 15 lat na razie pan nie liczy?

Liczę bardzo na ten kierunek prac, ale to akurat będzie bardzo trudne. Doświadczenia Australii pokazują też, że wprowadzone tam ponad pół roku temu regulacje nie zawsze są skuteczne. Uważam natomiast, że warto docenić to, co się dzieje w polskiej oświacie. Działania Ministerstwa Edukacji budzą zróżnicowane opinie, ale moim zdaniem wielkie znaczenie ma, że edukacja zdrowotna od września staje się powszechna i obowiązkowa.

Ale przecież w części obowiązkowej będzie pozbawiona bardzo istotnych wątków dotyczących zdrowia seksualnego.

To wielka szkoda. Jednak w podstawie wciąż pozostał duży komponent dotyczący przeciwdziałania przemocy w cyberprzestrzeni, a także dezinformacji, szczególnie medycznej. Podstawowe informacje o prewencji krzywdzenia seksualnego też są tam zawarte. Od września wchodzi również do szkół postulowana od lat edukacja medialna. To nie będzie osobny przedmiot, tylko pakiet realizowany na języku polskim oraz na innych przedmiotach. Ona także ma za cel przeciwdziałanie zagrożeniom, o których rozmawiamy. Podobnie jak higiena cyfrowa, która weszła już do polityki oświatowej. Zgoda, że nie ma co otwierać szampanów, zwłaszcza przyglądając się każdej z tych regulacji oddzielnie. Ale kiedy się spojrzy na to łącznie, widać, że ruszyły działania, których przez lata nie było.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

© ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl 742e21c9af

W kąpielisku pływa wszystko

Czym grozi kąpiel w basenie – nie tylko w krakowskim Zakrzówku, lecz i w całej Polsce – ostrzega prof. Mariusz Czop, hydrogeolog z AGH.

Rewitalizacja Zakrzówka, słynnego zalanego wodą kamieniołomu, niemal w centrum Krakowa, 5 km od Wawelu, zwanego ze względu na krystalicznie czystą, turkusową wodę i białe skały „polskimi Malediwami" i „małą Chorwacją", budzi w mieście kontrowersje. Miejsce, które przyciągało nurków z całej Europy i znajdowało się w czołówce najlepszych spotów na świecie, zamieniono na basenowe kąpielisko i park rekreacyjny. Obrońcy przyrody, ruchy miejskie i stowarzyszenia na rzecz obrony Zakrzówka, w których prym wiodą krakowscy nurkowie, oskarżają władze miasta o dewastację unikalnego akwenu i spowodowanie katastrofy ekologicznej. A sama inwestycja, choć kosztowała fortunę (łącznie z wykupieniem gruntów niemal 90 mln zł), nie hula.

Przez prawie cały czerwiec kąpielisko było zamknięte, bo w wodzie pojawiła się dziwna czarna substancja. Gdy zdecydowano się na otwarcie basenów, zmniejszono o połowę – do zaledwie 300 – liczbę ludzi mogących przebywać jednocześnie na pomostach. W ostatni, upalny weekend czerwca do wejścia stała gigantyczna kolejka na kilka godzin oczekiwania. Po trzech latach ciągle nie powstało Centrum Sportów Wodnych, które miało być sercem zrewitalizowanego Zakrzówka. Dziesięć dni przed odwołaniem prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego jego zastępca Łukasz Sęk w roli przewodniczącego komisji konkursowej rozstrzygnął kolejny konkurs na prowadzenie CSW.

Coraz więcej jest wątpliwości nie tylko co do procedury konkursowej i kryteriów, na podstawie których wyłoniono operatora (interpelację do prezydenta w tej sprawie złożyła przewodnicząca Komisji Środowiska prof. Joanna Hańderek z Lewicy), lecz także co do sensu całej inwestycji. Nic dziwnego, że do Zakrzówka pielgrzymują licznie kandydaci na urząd prezydenta miasta: Aleksandra Owca, radna, współprzewodnicząca Partii Razem; Daria Gosek-Popiołek, posłanka Nowej Lewicy; Michał Klimek z Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna.

Zakrzówek i upały sprawiły, że temat otwartych basenów stał się jednym z najgorętszych wątków prekampanii prezydenckiej w Krakowie. O baseny pokłóciły się dwie kandydatki: Monika Piątkowska reprezentująca Koalicję Obywatelską zapowiedziała pozew przeciw Aleksandrze Owcy, bo ta przypomniała, że Piątkowska była dyrektorką Wydziału Strategii i Rozwoju UM, gdy Kraków zamykał otwarte baseny. Inni prześcigają się w obietnicach: zbudują dziesięć basenów albo jeden, ale za to przy Rynku Głównym. Obywatelski kandydat Jan Hoffman obiecuje przywrócić letni basen w Parku Jordana. Piątkowska – trzy, ale przebiła ją Marta Ratuszyńska, kandydatka organizacji Dobry Radom, rzucając pomysł dziesięciu basenów składanych z betonowych prefabrykatów (jeden z nich przy Sukiennicach).

Jest gorąco, w pogodzie i w polityce. Może lepiej posłuchać, co o Zakrzówku mają do powiedzenia naukowcy. Dr hab. inż. prof. AGH Mariusz Czop jest specjalistą z zakresu hydrogeologii, gospodarki wodnej i ochrony środowiska i wód oraz inżynierii środowiska. Zakrzówkiem zajmuje się od ponad 10 lat. (AS)

Dr hab. inż. **Mariusz Czop**, profesor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, specjalizuje się w tematyce modelowania, przenoszenia i transformacji zanieczyszczeń w środowisku. Autor lub współautor ok. 120 publikacji naukowych i ok. 350 opracowań naukowo-badawczych i badawczo-rozwojowych dla przemysłu i jednostek samorządowych.

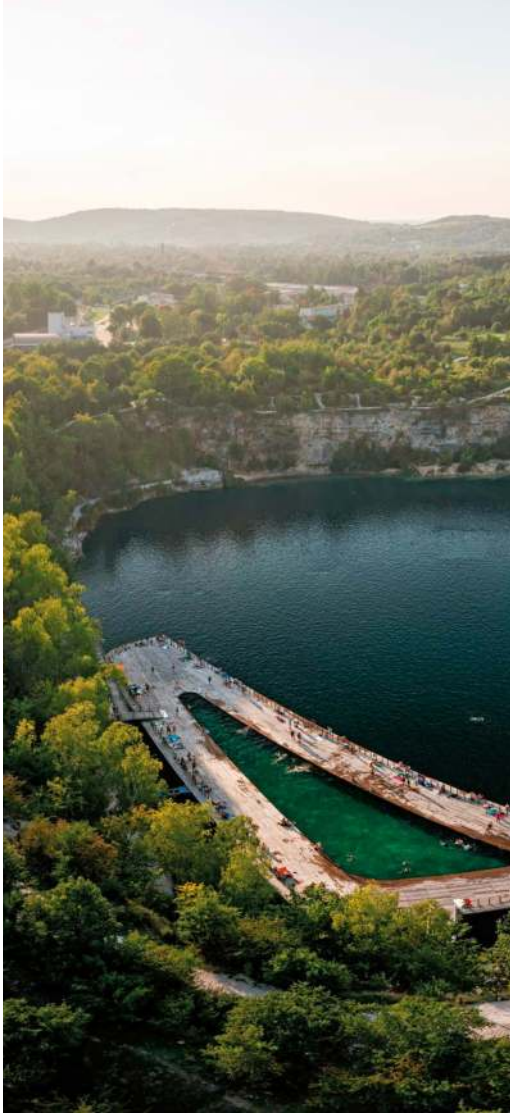

Park Zakrzówek w Krakowie. W wodach Coraz głośniej mówi się o katastrofie

AGNIESZKA SOWA: **– Podobno rewitalizacja Zakrzówka to pański pomysł?**

MARIUSZ CZOP: – Absolutnie nie! Byłem przeciwny od samego początku. Ale obawiam się, że mogłem mimo woli się do tego przyczynić. Zrobiłem w urzędzie miasta prezentację dotyczącą Seulu, chcąc pozyskać sprzymierzeńców dla idei rewitalizacji środowiska wodnego czy renaturyzacji. Otóż w Seulu w latach 50. XX w. skierowano rzekę poza miasto, bo zalewała okoliczne budynki, i w jej korycie zbudowano autostradę. Oczywiście spowodowało to katastrofę, zrobiła się wyspa ciepła. Prezydent miasta postanowił przywrócić pierwotny bieg rzeki. Odniósł spektakularny sukces, temperatura się obniżyła, wzrosła wartość nieruchomości nad rzeką i na fali tego zadowolenia wygrał wybory na prezydenta Korei. Słyszałem, że po tej mojej prezentacji ówczesny dyrektor Zarządu Zieleni Miejskiej Piotr Kempf opowiadał, że udostępni

© DANIEL TURBASA/SHUTTERSTOCK, ALEX KUHN/ARTSERVICE/FORUM

eprasa.pl 742e21c9af

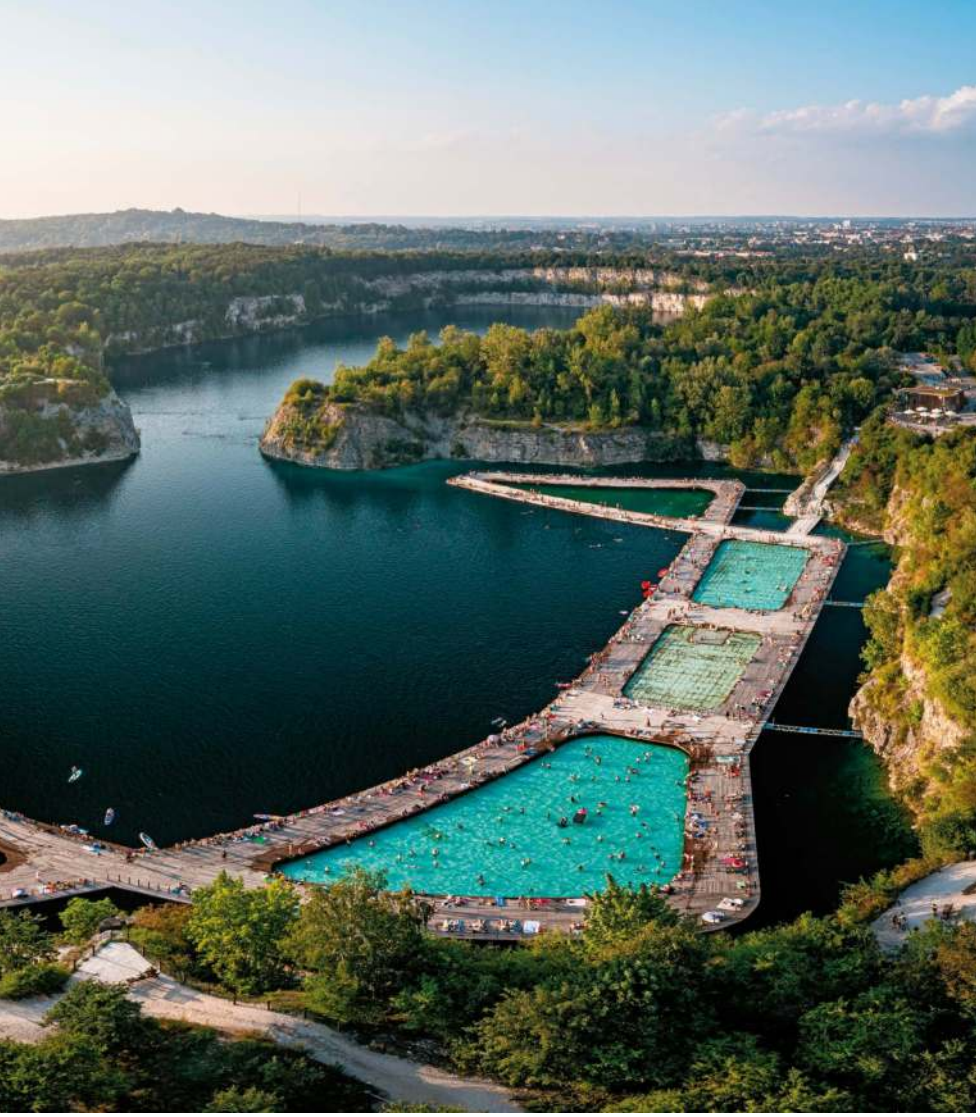

rewitalizowanego akwenu pojawiła się tajemnicza substancja. Wybuchł skandal. ekologicznej. Na brzegu meldują się kolejni kandydaci na prezydenta miasta.

Zakrzówek ludziom, bo kto to zrobi, ten zostanie prezydentem Krakowa.

To już na poważnie. O co chodzi z tym Zakrzówkiem? Najpierw w zeszłym roku i dwa lata temu woda robiła się zielona, widziałam pęki glonów na ściankach i dnie basenów, teraz nagle jakaś czarna zawiesina….

Zrobili tam de facto fabrykę glonów. Na etapie projektu, bo zajmowaliśmy się tym od samego początku jako Komisja Dialogu Obywatelskiego ds. Środowiska przy Prezydencie Miasta, sądziłem, że powstaną pomosty i z nich będzie zejście do wody. Tymczasem zrobiono coś najgorszego: baseny ze sztywnym dnem z gęstej siatki, bardzo słabo przepuszczalne, więc nie ma tam cyrkulacji wody, tylko stoi w tych nieckach i się nagrzewa. Latem dochodziła do 25–26 stopni. Kiedy podczas pierwszego sezonu pojawił się problem z glonami, mówiłem, że trzeba zmienić konstrukcję basenów na bardziej ażurową, żeby woda tam nie stagnowała, albo włożyć pompy zapewniające odpowiednią cyrkulację wody. Nie chcieli zmienić konstrukcji ani filtrować wody i wtedy po raz pierwszy ograniczyli liczbę ludzi, którzy mogą przebywać na kąpielisku, z 1000 do 600. To też było związane z tym, że zaczęły pękać pomosty. Jednak samo zmniejszenie liczby kąpiących nie zahamuje wzrostu glonów. Gdyby woda nie stała w basenach, glony nie mogłyby się rozwijać. A tak rosną. Gdyby nie dno i ściany basenu, nie miałyby się też do czego przyczepić.

I nie przeszkadza im, że to plastik?

Zupełnie nie. Bakterie świetnie się namnażają na mikroplastiku, który jest czasami porównywany do internetu bakterii. Taka platforma dla bakterii, które kiedyś nie miały na czym podróżować przez ocean, a teraz na mikroplastiku się świetnie transportują. Glony w tych basenach też mają idealne warunki. Jak w laboratorium, kiedy hodujemy jakieś mikroorganizmy, to robimy to w takich płaskich naczyniach, w szalkach laboratoryjnych, które podgrzewamy. Wrzucamy tam pożywkę i bakterie się pięknie rozwijają. W Zakrzówku pożywką są kąpiący, ich pot, olejki, kremy do ciała. I przede wszystkim mocz.

Ludzie sikają do basenów?

Zawsze. W amerykańskich komediach straszą, że w basenie jest specjalny barwnik, który powoduje reakcję z moczem na niebiesko, ktoś nie wierzy, sika i wtedy wszyscy uciekają z wody. Jak jest daleko do ubikacji, a ludzie pływają, to sikają do wody. Z tym sobie nie są w stanie poradzić kraje w żadnym kręgu cywilizacyjnym. Im dalej do ubikacji, im trudniej są dostępne albo nie daj Boże płatne, tym więcej moczu w basenie. A w Zakrzówku za darmo, ale trzeba się wspiąć po stromych schodach, to naprawdę jest daleko. Dyrektor Zarządu Infrastruktury Sportowej (ZIS) twierdzi, że nie ma takiego wysięgnika, który by tam postawił przenośne toalety. Bo to urwisko, samochód nie zjedzie.

Zakrzówek to dwa połączone ze sobą wąskim przesmykiem zbiorniki, mały i duży. Dlaczego wybrano mały, do którego nie ma żadnego zejścia?

Dziesięć lat temu Komisja Dialogu Obywatelskiego ds. Środowiska, która skupia największe organizacje ekologiczne z Krakowa i jest ciałem doradczym prezydenta i rady miasta, bardzo mocno krytykowała ten projekt i postulowała, żeby zostawić Zakrzówek jako takie miejsce dzikie, nieskażone przyrodniczo. Ale dyrektor Kempf i cała familia prezydenta Majchrowskiego (my ich w Krakowie nazywamy żartobliwie Majchrosoftem) nie chcieli o tym słyszeć. Nie dało się już tego zatrzymać, więc staraliśmy się to zracjonalizować i spróbować uratować, co się da. Próbowaliśmy przekonać, żeby inwestycję zlokalizować na dużym zbiorniku, nie na małym, do którego nawet karetka nie podjedzie. Za to do dużego zbiornika prowadzi szeroka droga i naszym pomysłem było zrobienie tam bardzo szerokiego molo, z którego schodziłoby się do wody. Nie udało się.

No dobrze, ale teraz zrobiono badania i kąpielisko zostało otwarte. Według laboratorium Wodociągów Miasta Krakowa zawiesina to mikroorganizmy naturalnie występujące w środowisku wodnym – orzęski. Miasto cytuje opinię prof. dr. hab. Mirosława ▶

eprasa.pl 742e21c9af

▶ Żelaznego, kierownika Zakładu Hydrologii i Laboratorium Hydrologiczno-Chemicznego w Instytucie Geografii i Gospodarki Przestrzennej UJ: masowe występowanie orzęsków, które są bardzo wrażliwymi na niekorzystne warunki środowiskowe bioindykatorami, wskazuje na brak zanieczyszczeń groźnych dla życia biologicznego.

Orzęski zawsze występują w wodzie i nie są automatycznie wskaźnikiem czystości. Bo są takie gatunki orzęsków, które występują w wodzie bardzo silnie zanieczyszczonej. O czystości wody decydują więc specyficzne gatunki albo specyficzny skład gatunkowy całej populacji. A my nie mamy tych danych, zatem nie możemy stwierdzić, że nagły wzrost ich ilości świadczy o czystości wody. A nagły przyrost, eksplozja, świadczy o tym, że pojawiło się dużo materii do zjedzenia, dużo glonów, być może martwych. Zazwyczaj orzęski żyją w symbiozie z glonami, trochę je podjadają i mają zielony kolor jak glony. Gdy zaś orzęski robią się czarne, to znaczy, że nie ma glonów, które dają im ten kolor. Skoro mieliśmy czarną zawiesinę, to oznacza, że coś zabiło glony. Bo baseny w ciągu doby zrobiły się z zielonych czarne, co świadczy o zaburzeniu równowagi ekologicznej zbiornika.

Stąd hipoteza nurków, że ktoś coś wlał do basenów?

To nie hipoteza, widziano ludzi ze zbiornikami na pomostach, ZIS zgłosił incydent na policji. Potem podali informację, że to był odrdzewiacz, ale zaczęli się z tego wycofywać. Według mnie ktoś próbował zabić glony i w tym celu wlał jakąś ciecz do basenów. I nie poinformował o tym zarządcy obiektu.

ZIS publikuje też wyniki badań dotyczących siarkowodoru, o którym informowali nurkowie. Podobno go nie ma.

Siarkowodór zawsze był w Zakrzówku przy dnie, problemem jest to, że jego poziom zaczął się podnosić, odkąd wybudowano kąpielisko, o czym informowali nurkowie, bo oni to czują, szczypie ich w twarz. I nic dziwnego, że się poziom podnosi, skoro czyszczenie basenów polega na wyrzucaniu tych glonów z powrotem do zbiornika. Naprawdę duże ilości biomasy spadają na dno, zaczynają się rozkładać, zabierają tlen z wody i wtedy z siarczanów, które tam naturalnie występują, produkowany jest siarkowodór. Na kilku metrach od dna nie ma żadnego życia.

To dlaczego nie wykryto tego siarkowodoru?

Badania robiła firma z Dąbrowy Górniczej, ta sama co w 2025 r., a były zapowiedzi, że będą profesjonalne badania naukowców z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Żeby wykryć siarkowodór, trzeba próbki odpowiednio zakonserwować, a w zeszłym roku, kiedy też nie wykryto siarkowodoru, nie zrobiono tego. Nie zeszli też na dno, teraz twierdzą, że dno jest na głębokości 27 m, a według mojej wiedzy jest tam na pewno ponad 30 m.

Jako Komisja od początku postulowaliśmy, że Zakrzówek musi być monitorowany. Przed rozpoczęciem sezonu, w trakcie i kilka miesięcy po jego zakończeniu powinno się robić szczegółowe badania w całym słupie wody. Są takie boje pomiarowe, można kilka zamontować na różnych głębokościach, to kosztuje 30–40 tys. zł, grosze w porównaniu z tym, ile kosztowało zagospodarowanie Zakrzówka i ile się wydaje na różne miejskie projekty. I to powinny być szczegółowe badania, wieloma parametrami.

Przepisy dotyczące kąpielisk w Polsce nakładają tylko obowiązek badania bakterii *E. coli*, czyli kałowych. Woda może być kwaśna, może być skażona, może być zanieczyszczona, a jeżeli robi się nie kąpielisko, tylko miejsce czasowo przeznaczone do kąpieli, to nawet tej bakterii nie trzeba badać. Można ludzi wpuścić do wody, która stanowi zagrożenie dla zdrowia, i nikt za to nie poniesie konsekwencji. Takie przepisy są w Polsce uchwalane i jeszcze wmawia się ludziom, że to jest transpozycja przepisów Unii Europejskiej. A Unia daje dyrektywy ogólne, wyznacza pewne kierunki.

Co może być groźnego dla ludzi w takiej wodzie?

Przede wszystkim substancje chemiczne, bo wody powierzchniowe w Polsce są bardzo złej jakości. Tylko ok. 1,5 proc. cieków powierzchniowych, czyli rzek, nad którymi są najczęściej kąpieliska, jest bezpieczne do użytkowania. Trochę lepiej jest ze zbiornikami, ok. 50 proc. to wody, w których można się kąpać, ale mamy w Polsce bardzo złą jakość wód powierzchniowych, w większości przypadków woda się nie nadaje do żadnych celów, nawet do nawodnień rolniczych czy podlewania trawnika.

Trzeba to mieć na uwadze i zanim się wpuści ludzi do wody, niezbędne są szczegółowe, szerokie badania. Kiedyś obawialiśmy się głównie zanieczyszczeń odchodami, dziś są to chemikalia, leki, jakieś substancje stosowane w gospodarstwie domowym. Dlatego w kąpieliskach, zwłaszcza naturalnych, nie wystarczy badać bakterie, trzeba szczegółowo oznaczać skład chemiczny wody.

Zakrzówek chyba ma czystą wodę?

Tam jest bardzo czysta woda, która spełnia wymagania wody pitnej. Filtruje się, przesiąkając pomału przez wapienne skały. To był kolejny argument za tym, żeby zostawić ten akwen w spokoju. Kraków w przypadku awarii wodociągów nie ma skąd brać wody. Mówi się o blackoucie energetycznym, ale ten przecież oznacza, że nie działają także wodociągi. Zakrzówek powinien być rezerwuarem wody pitnej dla całej metropolii. To zbiornik unikalny, nieskażony biogenami, bo niewiele osób do niego wchodziło. Ale ma ograniczone zasilanie.

Obecnie ograniczono liczbę kąpiących się do 300.

To kabaret: podali powód, że zmniejszają obłożenie basenów, bo obniżył się poziom wody. Nigdy nie był stały, podnosi się i obniża, w zależności od tego, czy jest susza, czy padają deszcze, te wahania są na poziomie poniżej metra, więc dla całego zbiornika, w którym jest 1 mln m sześc. wody, takie wahania to nic, nie stanowią absolutnie podstawy ograniczania liczby ludzi. I to także nic nie da.

A co można zrobić poza zamknięciem kąpieliska?

Nasza komisja jeszcze na etapie budowy opracowała postulaty, które są aktualne do dziś. Poza tymi, o których już mówiliśmy, trzeba zrobić na dole toalety, wprowadzić obowiązek mycia się pod prysznicem przed wejściem do wody i zakaz używania olejków i kremów do opalania. Można zamówić jakąś najbardziej ekologiczną linię kosmetyków i sprzedawać je bez marży. Tak się robi na świecie tam, gdzie są źródła krasowe, np. w meksykańskich cenotach. Ale przede wszystkim, jeżeli mamy ratować to miejsce, trzeba zrobić szczegółowe badania naukowe wrażliwości i zdolności buforowych zbiornika, czyli tzw. pojemności ekologicznej ekosystemu. Wtedy będzie wiadomo, ile osób może tam wejść, żeby to było bezpieczne dla akwenu. A potem prowadzić szczegółowy monitoring wody.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA SOWA

eprasa.pl 742e21c9af

Czego *uni* tu chcą?

Kogo i za co ściga Prokuratura Europejska w Polsce? Jaka jest jej siła i uprawnienia? Kim jest szefowa jej polskiego oddziału i dlaczego sama jest obiektem śledztwa?

© GRZEGORZ CELEJEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Śledztwo w sprawie sprzeniewierzenia unijnej dotacji przy modernizacji linii tramwajowej na Śląsku doprowadziło do zatrzymania m.in. Romana R., dyrektora ds. inwestycji w spółce Tramwaje Śląskie. To znajomy posła Króla, który go w spółce umieścił, za co zresztą poseł miał zażądać pieniędzy.

VIOLETTA KRASNOWSKA

O Prokuraturze Europejskiej zrobiło się o głośno, gdy do Sejmu złożyła wniosek o zgodę na zatrzymanie i aresztowanie posła Wojciecha Króla. To ważny polityk partii rządzącej, wiceprzewodniczący Klubu, szef Rady Mediów Narodowych. Do tego wiceprzewodniczący zarządu regionu partii w woj. śląskim. Wniosek o zabranie mu immunitetu jest efektem śledztwa dotyczącego projektu „Modernizacja i rozwój infrastruktury tramwajowej w Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii". Unia przeznaczyła na to 1,9 mld zł do wykorzystania w latach 2021–27. Śledztwo wykazało, że przynajmniej jeden z kontraktów, wart ponad 1 mln euro, firma dostała za łapówki.

Prokuratura Europejska przejęła to śledztwo od krajowej prokuratury. Tak to działa. Gdy pojawia się podejrzenie sprzeniewierzenia unijnych funduszy, to wszyscy – prokuratury krajowe, służby, urzędy państwowe czy samorządowe – mają obowiązek zgłaszać do niej wszelkie działania przestępcze mające wpływ na budżet UE. Po to powstała – do zwalczania przestępstw na szkodę finansowych interesów Unii. Wcześniej był tylko OLAF – Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych – ale przy wykryciu przestępstwa jedyne, co mógł, to powiadomić krajową prokuraturę. Ale nie miał już wpływu na to, czy ona nie wrzuci tego do szuflady.

Teraz prokuratorzy Prokuratury Europejskiej, w tym także, od 2024 r., polscy, mogą prowadzić śledztwa, zlecać ściganie, przeszukania, zatrzymania, stawiać zarzuty i oskarżać przed sądem krajowym – tak samo jak wszyscy inni prokuratorzy. Tyle że nie podlegają krajowym szefom. Pracują w Polsce, prowadzą śledztwa w oparciu o polskie prawo, ale nadzór nad nimi prowadzony jest ▶

eprasa.pl 742e21c9af

▶ z Luksemburga. Tam działa 15 Stałych Izb, w każdej jest trzech prokuratorów europejskich, każdy z innego państwa, co ważne, niezwiązanych z krajem, którego śledztwa mają w nadzorze. Na tej podstawie Izba podejmuje kluczowe decyzje, np. czy wszcząć śledztwo, czy skierować akt oskarżenia itp.

Tramwaje i poseł

Polska pod rządami PiS nie przystąpiła do Prokuratury Europejskiej, gdy ta powstała w 2021 r. Stało się to dopiero po zmianie władzy w 2024 r. Adam Bodnar jako minister sprawiedliwości ogłosił konkurs na stanowisko polskiego prokuratora europejskiego i powołał specjalny zespół, by go wyłonił. Jego przewodniczącą mianował prokurator Iwonę Palkę z zarządu Stowarzyszenia Prokuratorów Lex Super Omnia, a po zmianie władzy społeczną doradczynię Bodnara. Był proces wysłuchania kandydatów, analiza ich dorobku, rozmowy kwalifikacyjne. W efekcie komisja wskazała Europejskiej Komisji Selekcyjnej troje z czterech kandydatów, którzy się zgłosili. Ta z kolei, po swoich analizach i rozmowach kwalifikacyjnych, wydała o nich opinię Radzie UE. I to Rada w kwietniu 2024 r. wybrała na prokuratora europejskiego z ramienia Polski dr Grażynę Stronikowską. To prokurator z doświadczeniem w zwalczaniu przestępczości zorganizowanej. Zajmowała się tym od lat 90., w latach 2016–22 pracowała w OLAF. O Prokuraturze Europejskiej mówi: – *To jest spełnienie marzeń prokuratora w sensie sprawczości, niezależności, efektywności działania*.

Podobnie w drodze konkursów organizowanych przez ministerstwo wybiera się prokuratorów delegowanych do Prokuratury Europejskiej. Obecnie unijnych prokuratorów jest w kraju 16. Pensje płaci im Unia. Pracują w biurach w Warszawie, Gdańsku, Lublinie i Katowicach.

I to właśnie prokurator z biura w Katowicach prowadzi śledztwo w sprawie unijnej dotacji przy modernizacji linii tramwajowej na Śląsku, które doprowadziło do posła Króla. W grudniu 2025 r. zatrzymano m.in. Romana R., dyrektora ds. inwestycji w spółce Tramwaje Śląskie, która prowadziła projekt. Według prokuratury miał on przekazywać za łapówki poufne informacji firmie, by zdobyła kontrakt. Brał też za zatwierdzenie zawyżonych kosztów lub rozliczenie fikcyjnych prac. Trafił do aresztu i miał pójść na współpracę z prokuraturą. Zatrzymano kolejne osoby, w tym dwóch dyrektorów Tramwajów Śląskich. Wtedy też zrobiono przeszukania u posła Króla.

A 5 maja tego roku generalna prokurator europejska Laura Kovesi podpisała wniosek do Sejmu o zgodę na jego zatrzymanie i areszt.

„Gazeta Wyborcza" dotarła do tego, wciąż niejawnego, wniosku. Wynika z niego, że w trakcie kampanii wyborczej w 2023 r. poseł Król zaproponował Romanowi M., by jako „swój człowiek" objął funkcję członka zarządu Tramwajów Śląskich. „Jednocześnie poprosił M. o pieniądze, co miało stanowić ekwiwalent za pośrednictwo w załatwieniu posady". Miał także obiecywać załatwienie pracy innym osobom – jednemu stanowisko dyrektora w państwowej spółce, drugiemu zlecenia z samorządu, za co brał pieniądze.

Jest jeszcze inny wątek. Chodzi o firmę, która starała się o unijną dotację w wysokości 27,3 mln zł. Nie otrzymała jej. Według śledczych pośrednik zaproponował prezesowi tej firmy „pozytywne załatwienie sprawy związane z przyznaniem dofinansowania". Gazeta cytuje wniosek: „Sprawę miał załatwić poseł Wojciech Król. Miało to nastąpić za 5 proc. wartości wniosku, a więc za około 1,366 mln zł". Prezes miał się zgodzić i przekazać pośrednikowi co najmniej 350 tys. euro. Pośrednik, odejmując sobie 20 tys. euro, wszystko to miał dać posłowi. We wniosku napisano, że zachodzi duże prawdopodobieństwo, że Wojciech Król dopuścił się popełnienia przedstawionych przestępstw. Prokuratorzy argumentowali, że poseł próbował już wpływać na zeznania aresztowanego, a areszt uniemożliwi mu wpływanie na zeznania innych świadków.

Sprawa hamuje

Ale marszałek Czarzasty zwlekał z procedowaniem wniosku. Po czym oświadczył, że zwraca go do poprawy. Powołał się m.in. na ocenę służb prawnych, że musi on być przekazany przez krajowego prokuratora generalnego. Choć, jak zauważa prokurator Stronikowska, która zasadom działania Prokuratury Europejskiej poświęciła doktorat – z art. 29 ust. 1 rozporządzenia, na podstawie którego ona działa, jasno wynika, że generalna prokurator europejska

może bezpośrednio wnioskować o uchylenie immunitetu. I tak się też dzieje w innych krajach.

Tymczasem zatrzymano prezesa Tramwajów Śląskich i wiceprezesa Marcina M., będącego jednocześnie skarbnikiem zarządu regionu KO na Śląsku. Sprawa zatrzęsła śląskimi strukturami partii. By chronić wiarygodność naszej formacji – jak stwierdził jej przewodniczący na Śląsku – 15 czerwca odwołano Marcina M. ze stanowiska skarbnika i Króla ze stanowiska wiceprzewodniczącego. Po czym politycznie sprawa nagle wyhamowała.

Choć ostatecznie Czarzasty skierował wniosek do komisji regulaminowej, to ten tam utknął. Jej przewodniczący Jarosław Urbaniak z KO stwierdził, że nie będzie procedowany. Powtórzył, że nie został wniesiony przez krajowego prokuratora, a do tego jest podpisany elektronicznie, czego nie ma w polskiej procedurze. Głos zabrał też adwokat Ryszard Kalisz, pełnomocnik Króla. Stwierdził, że wniosek „jest całkowicie bezpodstawny i nie wskazuje na prawdopodobieństwo, że mój Klient popełnił wskazane czyny zabronione". Z dalszymi działaniami wobec swojego posła wstrzymała się też sama partia. Trwa pat.

© ROBERT KOWALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 742e21c9af

Ówczesny minister sprawiedliwości i prokurator generalny Adam Bodnar oraz prokurator europejska Grażyna Stronikowska podczas otwarcia Biura Krajowego Prokuratury Europejskiej w Warszawie, 31 marca 2025 r.

Choć trzeba przyznać, że to nie tylko u nas Prokuratura Europejska ma tego typu problemy. W Grecji w związku ze śledztwem w sprawie malwersacji milionów euro unijnych dotacji rolnych Prokuratura Europejska zwróciła się do tamtejszego parlamentu o uchylenie immunitetów 13 parlamentarzystom powiązanym z rządzącą partią. I co prawda parlament uchylił im immunitety, ale rząd podjął kroki legislacyjne, by zablokować prokuratorom UE prawo do ścigania polityków. W Chorwacji po zatrzymaniu przez Prokuraturę Europejską m.in. ministra zdrowia pod zarzutem korupcji trwają próby odebrania jej uprawnień do śledztw lub ich blokowanie.

Miliardy dotacji

Do czasu wniosku o uchylenie immunitetu posła Króla żadne śledztwo polskiej Prokuratury Europejskiej nie wzbudziło tylu emocji, choć też dotyczyły ważnych spraw. Choćby wyłudzenia funduszy unijnych przez „grupę religijną". Chodzi o nielegalną sprzedaż żywności przekazanej przez Unię dla potrzebujących o wartości 3,7 mln euro. Tyle że żywność była sprzedawana, a podpisy rzekomych odbiorców fałszowano.

– *W zeszłym roku przyszły do nas 254 zawiadomienia od organów krajowych, w sumie otrzymujemy ich kilkanaście w tygodniu. Niektóre przychodzą bezpośrednio od organów ścigania, OLAF i innych organów i instytucji unijnych. Są też sprawy, które wszczynamy na podstawie informacji od obywateli. Mamy dla nich dedykowany formularz na naszej stronie internetowej www.eppo.europa.eu, by zgłaszali zauważone nieprawidłowości* – mówi prokurator Stronikowska. Wszczęto 17 śledztw właśnie „z zawiadomień osób prywatnych". Wśród nich to, które zmiotło władze Nowego Sącza.

Chodziło o przetarg na organizację kursów i warsztatów w ramach projektu Rozwój Centrum Kompetencji Zawodowych w Nowym Sączu. Unia dała na to 1 mln euro. Ze śledztwa wynika, że wysocy rangą urzędnicy miejscy przekazali jednej organizacji poufne informacje na temat planowanego budżetu, dzięki czemu wygrała przetarg. Burmistrz i jeden z jego zastępców zostali zawieszeni.

Minister Waldemar Żurek przekazał Stronikowskiej sprawę wydatków z KPO na wsparcie gospodarki po covidzie. Rok temu wywołała ona polityczną burzę, gdy okazało się, że pieniądze poszły na jachty, solaria itp. Prokuratura Europejska prowadzi też śledztwo dotyczące Narodowego Centrum Badań i Rozwoju (NCBiR). Wykryto tam malwersacje finansowe, korupcję i nadużycie stanowiska w konkursie „Szybka ścieżka – innowacje cyfrowe".

Ściganie złodziei kasy z funduszy unijnych to jedno z zadań, drugie to pilnowanie wpływów do budżetu Unii. Czyli walka z przestępstwami celnymi i wyłudzeniami VAT. We wszystkich biurach w 24 krajach, gdzie działa Prokuratura Europejska, jest jeden system informatyczny, do którego wpływają dane ze wszystkich śledztw, nazwiska, nazwy firm.

Prowadzone są wspólne śledztwa. Jak przy dochodzeniu o kryptonimie Admirał dotyczącym wyłudzeń VAT na 2,2 mld euro, w którym udział wzięła Polska (obok 12 innych państw), realizując u nas przeszukania. Na koniec 2025 r. polska Prokuratura Europejska prowadziła 92 postępowania, w których wartość szkód wyniosła 2,91 mld zł. Zabezpieczono 4,69 mln euro. – *My dopiero zaczynamy* – mówi Grażyna Stronikowska.

Tyle że prokuratorów jest u nas ciągle za mało. Według ustaleń z 2024 r. miało ich być 24. Winą za to Laura Kovesi obarcza Polskę, która nie ogłasza konkursów na stanowiska. Zapytaliśmy Ministerstwo Sprawiedliwości o powód.

Kto się kogo boi

Jak nam przekazał Jacek Bilewicz, zastępca prokuratora generalnego, po prostu nie ma na to pieniędzy. Stwierdził, że Prokuratura Europejska pokrywa wyłącznie wynagrodzenia prokuratorów, zaś koszty związane z funkcjonowaniem ich biur, ich wyposażeniem i obsługą asystencką i urzędniczą są finansowane z budżetu polskiej prokuratury. Wychodzi na to, że 20. gospodarka świata nie ma na 8 urzędników i 16 asystentów do pomocy w Prokuraturze Europejskiej. Ale jest też inna środowiskowa interpretacja. Chodzi o to, że część prokuratorów nie jest lojalna wobec nowego kierownictwa i gra już „pod następną władzę". A nietykalność unijnych prokuratorów czyni z nich potencjalnie niebezpieczne polityczne narzędzie.

Ostatnio „GW" i OKO.press podały, że sama prokurator Grażyna Stronikowska znalazła się na celowniku Prokuratury Krajowej. Chodzi o śledztwo dotyczące ryczałtów mieszkaniowych przyznawanych przez Bogdana Święczkowskiego, gdy był szefem Prokuratury Krajowej. Miał je przyznawać, choć nie było na to przepisów. Śledztwo od 2024 r. toczyło się w prokuraturze w Koninie, ale zostało przejęte 25 listopada 2025 r. przez Prokuraturę Krajową. Nikomu dotąd nie postawiono zarzutów. Jak podali dziennikarze, Stronikowska miała pobierać ryczałt mieszkaniowy, gdyż wskazała jako miejsce zamieszkania Gdańsk, gdzie była zameldowana. Wystąpiła też o zwrot kosztów zamieszkania w Warszawie, podając, że ma tu swoje mieszkanie, i zgodę dostała. W sumie, piszą dziennikarze, w latach pobrała 72,9 tys. zł. „Śledczy wyjaśniają teraz, czy było to legalne" – napisali. I dodali: „Słyszymy też, że wobec Stronikowskiej można rozważyć postępowanie o charakterze dyscyplinarnym".

Pojawienie się tych informacji zaraz po tym, gdy Prokuratura Europejska uderzyła w ważnego polityka władzy, można uznać za zbieg okoliczności. Ale, by zacytować słowa Pablo Escobara z serialu „Narcos": „Podobno przypadki istnieją, ale ja się z nimi nie spotkałem".

VIOLETTA KRASNOWSKA

eprasa.pl 742e21c9af

Ścieżki zdrowia

O dzikiej prywatyzacji szpitali i pomysłach uzdrowienia służby zdrowia opowiada osoba od lat związana z publicznym systemem lecznictwa, która swoje dane pozostawia do wiadomości redakcji.

JOANNA SOLSKA: **– Jak dostać się do szpitala, mając już skierowanie?**

X: – Normalnie czy na skróty? Procedura jest taka, że najpierw pacjent zagląda na strony NFZ, żeby zorientować się, jakie są terminy w różnych placówkach. Kiedy wybierze tę, w której termin jest w stanie zaakceptować, dzwoni tam i zapisuje się do kolejki. Wtedy NFZ widzi, że trafił do systemu i został *zakolejkowany*; może śledzić, co się z nim dzieje.

Nic się nie dzieje, czeka. Prawie wszędzie kolejki są długie, nawet kilka lat.

Dlatego wielu pacjentów szuka szybkich ścieżek. Rozgląda się, gdzie prywatnie przyjmuje lekarz ze szpitala, w nadziei, że pomoże. Często się sprawdza. Doktor radzi np., aby pacjent udał się na SOR, w czasie kiedy on będzie miał dyżur na górze. Przyjmie go jako nagły przypadek.

Na SOR jest triaż – selekcja – i tam naprawdę nagłe przypadki, wymagające natychmiastowej interwencji, są traktowane priorytetowo. To powinno eliminować takie osoby, o których mówimy.

© SHUTTERSTOCK AI/LEL

eprasa.pl 742e21c9af

Teoretycznie. Jeśli jednak lekarze współpracują ze sobą, to system nadal jest nieszczelny. Ratownik czy lekarz, który ma dyżur na SOR, jest wcześniej informowany przez kolegę z oddziału, najczęściej ordynatora, że zgłosi się pacjent Kowalski, i prosi, żeby go wtedy z góry ściągnąć. Pacjent unika triażu, bo jako nagły przypadek jest od razu kierowany na oddział znajomego lekarza.

W Szpitalu Południowym był konflikt. Sygnalista dr Emil Jędrzejowski, ordynator, pisał skargi do zarządu szpitala na koordynatora Dawida Kacprzyka, że jest niesamodzielny, nie potrafi podjąć decyzji i ciągle ściąga go z oddziału.

I dlatego mleko się wylało. Chirurg ordynator mógł w tym czasie wykonywać dobrze wycenione operacje planowe, ciągłe bieganie na SOR (do nie jego chorych) utrudniało mu pracę i pozbawiało zarobku. Dostaje przecież część wynagrodzenia, które za zabieg szpitalowi płaci NFZ. Już nie jako ordynator na etacie, ale jako lekarz biznesmen na kontrakcie – w tym samym czasie.

Przy okazji wydało się, że dr Emil też miał listę własnych pacjentów, którzy zgłaszali się na SOR, gdy on miał dyżur.

Szybkie ścieżki są wszędzie, żaden salonik nie jest potrzebny.

Premier Tusk zażądał, aby e-rejestracja pacjentów wreszcie stała się powszechna. Na razie pilotażowo obowiązuje tylko w kardiologii. To zlikwiduje szybkie ścieżki.

Może je bardzo ograniczyć, bo dane pacjenta pojawią się w systemie od razu, NFZ jest w stanie je śledzić. Obawiam się jednak, że metoda „na zeszyt" nie zniknie. Żeby z niej skorzystać, również trzeba się udać prywatnie do lekarza.

Co pomoże prywatna wizyta, jak w systemie będzie widać, że on ma termin dopiero za pół roku?

Obok danych w systemie szpitale miewają własny system kolejkowy w zeszycie. Często się zdarza, że pacjenci z oficjalnej kolejki odwołują zabiegi i na ich miejsce powinni wskoczyć następni. Ale jak szpital do nikogo nie może się dodzwonić, tylko do tego, który został jako ważny zapisany w zeszycie? Ale przyznaję, będzie trudniej. Warszawa chciała wydać miejskie pieniądze na własny system e-skierowań, żeby pacjenci nie musieli dzwonić do każdego szpitala osobno, ale Ministerstwo Zdrowia odradziło, system centralny miał być lada moment, nie ma go do tej pory. Może teraz pójdzie szybciej.

System się usprawni, jeśli lekarze będą musieli wybierać, czy pracują w systemie publicznym, czy prywatnie?

Dzika prywatyzacja zaszła za daleko. Doprowadziły do niej rządy, które głosiły, że są najbardziej przeciwne prywatyzacji publicznego lecznictwa. Pierwszy był premier Leszek Miller, który stworzył lekarzom możliwość przechodzenia na kontrakty. Gdyby pozostawali na etatach, nie mogliby pracować po kilkanaście godzin na dobę, unijne regulacje tego zabraniały. W tym czasie lekarzy brakowało, wtedy skorzystali głównie specjaliści. Premier chciał ten problem rozwiązać, nie pomyślał, że tworzy większy.

Na początku medycy nie kwapili się do zakładania jednoosobowych firm, zarabiali na szybkich ścieżkach.

Nie mieli motywacji. Zachęta pojawiła się dopiero, gdy rząd Millera wprowadził podatek liniowy, z którego mogli skorzystać także samozatrudnieni. Ale dzika prywatyzacja rozpleniła się dopiero od czasu, gdy premier Mateusz Morawiecki wprowadził Polski Ład, teraz mamy jego skutki. Składki na zdrowie zostały podniesione do 9 proc., i choć podatek dla lepiej zarabiających (dochody roczne powyżej 120 tys. zł) wynosił 32 proc., to podatek dla lekarzy biznesmenów na ryczałtach obniżono do 14 proc., a składkę na zdrowie płacą symboliczną. Dzisiaj ponad 70 proc. lekarzy specjalistów pracuje na kontraktach, ciągle ich przybywa. To w tym gronie znajdują się ci zarabiający rocznie po kilka milionów. Rząd Morawieckiego podzielił lekarzy na tych, którzy zarabiają mniej i płacą wysokie podatki na etatach, i podatkowo uprzywilejowanych „kominiarzy".

Tamy przyzwoitości puściły po covidzie.

Lekarze zobaczyli, że politycy mogą wydać 200 mln zł na zakup bezwartościowych respiratorów, miliony na nic niewarte maseczki, setki milionów na szpitale, które nie przyjęły żadnego pacjenta. Patrzyli na to z bliska, oni też dostali ogromne pieniądze, ale oni ryzykowali zdrowiem. Pomyśleli, że jednak państwo ma pieniądze, więc też chcą na tym skorzystać. I teraz to środowisko zamierza swoich przywilejów bronić, biorąc pacjentów za zakładników.

Apetyty medyków zostały bardzo zaostrzone; z wewnętrznej ankiety Naczelnej Izby Lekarskiej wynika, że ci, którzy zdecydowaliby się zostać na etatach, musieliby zarabiać co najmniej 40–60 tys. zł miesięcznie. Zapewne nie byliby to specjaliści, ci za tak marne grosze nie wrócą.

Uważam, że patologia zaszła za daleko i od ręki nie da się jej zlikwidować. Prezes NIL Łukasz Jankowski na internetowym zamkniętym forum dla lekarzy stwierdził, że żaden rząd z lekarzami nie wygra. Jeśli specjaliści, którzy przez ostatnie pięć lat zdążyli zarobić fortuny, wstrzymaliby się od leczenia choćby tylko na kilka tygodni, rząd upadnie. A następny ustąpi i patologia będzie kwitła nadal. Rewolucja systemu nie uzdrowi, potrzebne są ruchy mniej radykalne.

Czyli?

NFZ czasem stawia szpitalom nierealne wymogi, które sztucznie zawyżają zapotrzebowanie na lekarzy. Nie bez powodu grupą żądającą najwyższych stawek za godzinę pracy są obecnie anestezjolodzy, to ich brakuje najbardziej, szpitale powiatowe płacą im na kontraktach już po 500 zł i więcej za godzinę. Jednocześnie wiemy, że jest w kraju wiele porodówek, w których są dni, kiedy nie ma choćby jednego porodu. Ale NFZ żąda, aby w każdej z nich 24 godziny na dobę dyżurował anestezjolog, po kilkaset złotych za godzinę za gotowość. W większych szpitalach jeden anestezjolog może nadzorować tylko jedną operację, także wtedy, gdy na tej samej sali operacyjnej odbywa się druga. Liczba pielęgniarek na oddziale nie zależy od liczby pacjentów, ale łóżek, nawet jak stoją puste. NFZ chce zapewnić pacjentom wysokie standardy i nakręca ogromny popyt na medyków.

Czy na tych porodówkach anestezjolog rzeczywiście jest fizycznie obecny?

Podejrzewam, że niekoniecznie, ale pieniądze bierze. Nikt do NFZ nie doniesie, żeby porodówki nie zlikwidowali. Środowisko jest solidarne, bo na dzikiej prywatyzacji zarabiają nie tylko ordynatorzy, ale także lekarze specjaliści, dzika prywatyzacja sięgnęła nawet prosektoriów. Jest coraz więcej publicznych szpitali, w których na płace dla medyków, na ogół prywatnych jednoosobowych firm, idzie 90 proc. i więcej budżetu całej publicznej placówki. Nie mają pieniędzy na leczenie. NFZ stał się przepompownią naszych składek i podatków z publicznych szpitali do prywatnych kieszeni. To się musi zmienić. ▶

eprasa.pl 742e21c9af

▶ Wielu lekarzy tłumaczy, że tak działa rynek.

Rynek tak nie działa. Firma, której koszty są większe niż przychody, upada. Szpitale nie upadają, tylko zadłużają się jeszcze bardziej. Najwięcej płacą lekarzom na kontraktach szpitale najbardziej zadłużone, to nie jest rynek, tylko patologia. Groźna dla pacjentów.

Mają być wprowadzone górne stawki dla lekarzy na kontraktach, dyrektorzy szpitala nie będą mogli ich przekroczyć. Towarzyszyć im mają limity na fundusz płac. Szpital na płace dla personelu medycznego nie powinien wydać więcej jak 60–70 proc. wielkości swojego kontraktu.

To dobry pomysł, pod warunkiem że NFZ rzeczywiście będzie kontrolował, czy liczba przepracowanych godzin jest rzetelna. Do tej pory ta kontrola była iluzoryczna. Trzeba też zadać pytanie, jakie będą konsekwencje dla szpitali, które te limity przekroczą? Politycy będą ich bronić przed zamknięciem i limity staną się fikcją. Jeśli nie, to konsekwencje będą inne – zabraknie chętnych do kierowania szpitalami publicznymi.

Wyceny procedur są niezrozumiałe. Niektóre, np. kardiologiczne, są wyraźnie przeszacowane, wielu innych nie doceniono. Wszyscy to wiedzą, nic się nie zmienia.

Publiczny system zdrowia od początku skonstruowano tak, jakby był trochę w ciąży. Kontrakty z NFZ mają zarówno szpitale publiczne, jak i prywatne, ale prywatny system pozwala wybierać tylko wisienki na torcie. Zasady dla obu stron powinny być takie same, a nie są. Klinika prywatna nie musi mieć SOR, intensywnej terapii, żadna nie ma oddziału wewnętrznego ani innych, na których procedury są nisko wycenione. Operacje w placówkach prywatnych kosztują bardzo dużo, ale w razie jakichkolwiek komplikacji pacjenta przewozi się do szpitala publicznego. Kliniki oferujące operacje kardiologiczne nie muszą mieć intensywnej terapii.

Premier Szydło zapowiadała, że pozbawi prywatne placówki kontraktów publicznych, ale rząd PiS postępował odwrotnie. Kiedy np. postanowił skrócić rażąco długie kolejki do operacji zaćmy, NFZ przeznaczył bardzo dużo pieniędzy na te zabiegi. Spora część trafiła do klinik prywatnych, operowali w nich lekarze, którzy nie chcieli tego robić w szpitalach publicznych, gdzie byli zatrudnieni na etatach, nie opłaciło im się. O wycenach procedur decyduje AOTMiT (Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji). Za takim rozwiązaniem lobbowali ci, którzy potem na nim zarobili. Powielono je przy podniesieniu wycen za wymianę endoprotezy biodra.

O składzie AOTMiT decyduje minister zdrowia. Lobbują zaś m.in. konsultanci wojewódzcy i krajowi, których grono jest spore. Najczęściej w interesie własnego środowiska. Zaniżone wyceny pozbawiają wielu pacjentów możliwości leczenia „taniego" schorzenia. Wysokie też nie zawsze służą pacjentom. Znam przypadki, że pacjentów kierowano na koronarografię, która nie była im potrzebna. Liczba wskazań do wykonania danej procedury bardzo zależy od tego, czy jest opłacalna.

Wysokiej klasy specjaliści mają też wielki wpływ na liczbę miejsc rezydenckich w poszczególnych specjalizacjach.

Skutki ich cichej blokady młodej konkurencji już są widoczne. W niektórych specjalizacjach nie ma młodych profesorów, zrobiła się dziura pokoleniowa, mimo bardzo wysokich wycen. Przy niskich wycenach o rezydentury nie zabiegają sami młodzi. Trudno się zorientować, czy lekarzy w Polsce jest za mało, czy może za dużo? Zanim wybuchła afera wokół Szpitala Południowego, prezes NIL na jej stronie zamieścił informację, że lekarzy w Polsce kształci się już za dużo, niepotrzebnie marnując 1 mld zł rocznie. Po kilku tygodniach, gdy afera wybuchła i pojawił się postulat, żeby ograniczyć czas pracy lekarzy, nagle zmienił zdanie. Stwierdził, że lekarzy zabraknie.

Ostatnia afera ze spółką neurochirurgów, którzy jeździli po szpitalach w małych miastach i hurtowo wykonywali za 300 tys. zł dziennie kilkuminutowe zabiegi, pokazuje nie tylko pazerność lekarzy, ale też zachowania, które mogły chorym nawet zaszkodzić. Nie wpadliby, gdyby nie sprawozdawali innych, droższych procedur niż te, które wykonywali. Lekarze biznesmeni zapomnieli o przysiędze Hipokratesa. System publicznej ochrony zdrowia przestaje służyć pacjentom, pacjenci mają tylko na niego płacić, bo niektórzy lekarze zaczęli lepiej liczyć, niż leczyć. Stąd podjęta przez rząd próba naprawy publicznego systemu. Co można powiedzieć o programie przedstawionym przez ministrę zdrowia?

To na razie tylko zapowiedzi, idą w dobrą stronę, ale nie za szybko. Dość radykalna wydaje się propozycja wprowadzenia górnego pułapu zarobków dla lekarzy na poziomie 240 zł brutto za godzinę, czyli ok. 40 tys. zł miesięcznie za cały etat. Z pewnością wzbudzi sprzeciw środowiska. Popieram też postulat, żeby każdy lekarz, który chce pracować w systemie publicznym, musiał mieć w szpitalu przynajmniej pół etatu. To wyeliminuje medyków związanych z placówką wyłącznie kontraktem.

Na razie nie ma nawet projektu ustawy, nie mamy też pewności, że jak już ustawa zostanie uchwalona, to prezydent jej nie zawetuje. Ustawa o zarobkach lekarzy, pozwalająca AOTMiT dowiedzieć się, ile naprawdę zarabiają „kominiarze", ciągle czeka na podpis.

Do niedawna pacjentów z lekarzami łączyła solidarność, pacjenci byli przekonani, że medycy walczą o ich interesy, teraz tę wiarę właśnie stracili, widzą, że wielu lekarzom najbardziej chodzi o kasę. Odmawiając podpisu pod ustawą o górnej granicy zarobków, prezydent pokazałby Polakom, że nie dba o interes chorych, a przecież pacjentów jest więcej niż lekarzy.

Słabą stroną programu wydaje się brak kar dla dyrektorów szpitali, którzy przekroczą limit, stanie się to, co do tej pory – długi będą większe.

Jeśli górny limit stanie się prawem, jego przekroczenie będzie złamaniem prawa. Już tylko z tego powodu siła negocjacyjna lekarzy żądających zbyt wiele będzie słabsza. Zarządzający szpitalem też złamie prawo, które do tej pory nie zabraniało mu szastania pieniędzmi. Najbardziej zadłużone szpitale nie upadały przecież z powodu długów, politycy byli w stanie do tego nie dopuścić. Więc bardziej rygorystyczne rozwiązanie i tak pozostałoby martwe.

Górny pułap zarobków i bez tego może okazać się fikcją, nieprzyzwoicie wysokie wynagrodzenia niektórych medyków nie wynikają z wysokiej stawki godzinowej, ale z procentu pobieranego od wartości procedury medycznej. W tej sprawie program milczy.

Jest jednak mowa o konieczności urealnienia wycen, ale świadomość, jak bardzo na ich wysokość wpływają środowiskowy lobbing i uwikłanie w konflikt interesów, nie pozwala wierzyć, że szybko się to zmieni.

ROZMAWIAŁA JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 742e21c9af

Przemeblowanie

Wciąż jesteśmy trzecią potęgą świata w eksporcie mebli. To nasz narodowy biznes, ale polskie firmy meblarskie słabną, zwalniają ludzi, uginają się pod ciężarem szybko rosnących kosztów i chińskiej konkurencji. Zamiast na taniość musimy postawić na jakość.

CEZARY KOWANDA

To prawdziwa lokomotywa eksportowa Polski. Ponad 80 proc. przychodów polskie firmy meblarskie zawdzięczają klientom z innych krajów. Z Niemcami walczymy od kilku lat o pozycję drugiego największego eksportera mebli na świecie. Tylko Chińczycy są zdecydowanie poza naszym zasięgiem. Niestety branża przyzwyczajona przez lata do sukcesów przeżywa ostatnio ciężkie chwile. Kłopoty dotarły nawet do lidera – firmy IKEA Industry dostarczającej meble do znanej szwedzkiej sieci. Ten koncern ma w Polsce kilkanaście zakładów specjalizujących się głównie w produkcji mebli drewnianych, sprzedawanych potem w sklepach IKEA na całym świecie. Łączne przychody IKEA Industry w naszym kraju to niemal 6 mld zł rocznie, a mniej więcej drugie tyle stanowią zamówienia u podwykonawców IKEA, którym gigant zleca u nas produkcję.

Tymczasem IKEA Industry przeprowadziła niedawno masowe zwolnienia: w Wielbarku, Goleniowie czy Lubawie. Wszędzie wyjaśnienia były te same: skoro spada sprzedaż niektórych wyrobów w sklepach sieci na całym świecie, trzeba zmniejszyć poziom zatrudnienia. Na przykład w Wielbarku powstają głównie meble z litego drewna, czyli lepsze jakościowo, ale też droższe. Gdy klienci ograniczają wydatki, rezygnują właśnie z takich wyrobów i szukają tańszych rozwiązań. W Wielbarku pracowało do niedawna 1,6 tys. osób, teraz jest ich o 250 mniej. Produkcja odbywa się na dwie, a nie na trzy zmiany jak wcześniej. W Goleniowie pracę straciła mniej więcej jedna czwarta załogi, liczącej przed zwolnieniami prawie 600 osób. Związkowcy podkreślają, że IKEA zapewniła odprawy nawet hojniejsze, niż wymagają tego przepisy, i proponowała przenosiny do innych fabryk koncernu. Jednak w najtrudniejszej sytuacji nie są ci na etatach bezpośrednio u skandynawskiego potentata, lecz pracujący w polskich firmach na rzecz IKEA. Na przykład Zorka w Jeleniej Górze musiała zwolnić 230 osób, bo jej przychody spadły w ubiegłym roku niemal o połowę.

Fala redukcji nie dotyczy tylko IKEA i jej poddostawców. Zwolnienia ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 742e21c9af

▶ przeprowadza np. zakład w Lidzbarku należący do znanej firmy Szynaka Meble. Wiosną zamknięto firmę Steinpol w Wołowie, specjalizującą się w produkcji mebli tapicerowanych, zatrudniającą ponad sto osób. Od dłuższego czasu w kryzysie pogrążony jest Black Red White – obecnie czwarty największy producent mebli w Polsce, który od kilku lat notuje duże straty. Firma zamknęła już część fabryk (w Przeworsku i Zamościu), zwolniła ponad tysiąc osób i walczy o przetrwanie. W 2022 r. kontrolę nad nią przejęła austriacka grupa XXXLutz, ale trzy lata później nagle wycofała się z naszego kraju. Teraz Black Red White stara się ratować grupa polskich menedżerów pod wodzą Dariusza Formeli, który kiedyś kierował już tą firmą. Austriacy sądzili, że Black Red White będzie dla nich dobrą bazą produkcyjną, ale najwyraźniej nie docenili skali wyzwań, przed jakimi stoi nasz przemysł meblarski.

A jest ich wiele. Potęga naszych mebli została zbudowana przede wszystkim dzięki niskim kosztom – pracy, energii i łatwego dostępu do taniego drewna. Teraz nie mamy już żadnego z tych atutów. Wynagrodzenia szybko rosną – średnie zarobki w branży meblarskiej zwiększyły się niemal o połowę od 2022 r. Droga energia to problem dla całej gospodarki. A ceny drewna, na którego sprzedaż praktycznie monopol mają u nas Lasy Państwowe, gwałtownie wzrosły cztery lata temu, na fali wojny w Ukrainie. W 2022 r. metr sześcienny drewna podrożał o ponad 50 proc. Od tego czasu ceny surowca lekko spadły, ale nigdy nie wróciły do wcześniejszych poziomów. Tymczasem to właśnie niskie koszty były kluczowe dla sukcesu wielu firm, bo nasza specjalizacja to produkcja mebli z segmentu ekonomicznego, zamawianych w dużych ilościach przez zagraniczne sieci handlowe. Szczyt koniunktury przypadł na pierwsze lata pandemii, gdy masowo inwestowaliśmy w remonty i przebudowę nieruchomości. Wówczas wiele osób wymieniało także meble.

Teraz jest zupełnie inaczej. Jesteśmy uzależnieni od eksportu. Tymczasem i w Niemczech, dokąd trafia jedna trzecia naszego eksportu, i w innych państwach europejskich gospodarka jest pogrążona w stagnacji. – *Wielu klientów odkłada zakupy mebli, bo nie są to towary pierwszej potrzeby. A kto decyduje się na taką inwestycję, ten szczególną uwagę zwraca na cenę.*

Zadyszka polskich mebli

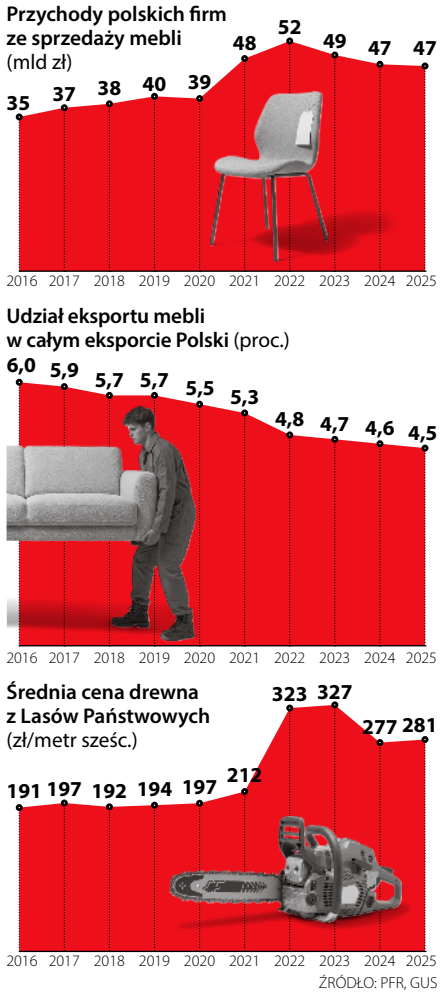

ŹRÓDŁO: PFR, GUS

Zyskują na tym zwłaszcza eksporterzy chińscy, którzy szybko zwiększają swoją sprzedaż w całej Europie. Także w Polsce, bo u nas import mebli z Chin wzrósł o połowę w ciągu ostatnich trzech lat. Chińczycy jeszcze agresywniej poczynają sobie w Europie, od kiedy mają utrudniony dostęp do rynku amerykańskiego z powodu ceł nałożonych przez prezydenta Trumpa – mówi Michał Strzelecki, dyrektor biura Ogólnopolskiej Izby Gospodarczej Producentów Mebli.

Podkreśla, że polskie firmy wciąż dysponują technologią na światowym poziomie. Nadal także wyróżniają się elastycznością w odpowiadaniu na potrzeby klientów i mogą się pochwalić historią świetnej współpracy z zagranicznymi partnerami. Jednak gdy cena staje się czynnikiem decydującym, nawet zamawiający zadowoleni z dotychczasowych relacji zaczynają się zastanawiać: kupować dalej w Polsce czy jednak zlecać produkcję w innych, tańszych krajach? To już widać: w branży meblarskiej według danych GUS jeszcze w 2022 r. pracowało ok. 166 tys. osób. Teraz jest ich już tylko 138 tys. Do tego można doliczyć ok. 30 tys. prowadzących własną działalność gospodarczą, z których część to osoby, które straciły etaty po zwolnieniach w różnych zakładach.

Choć meblarstwo wciąż dużo sprzedaje za granicę, traci też stopniowo udział w całym polskim eksporcie – dekadę temu wynosił on 6 proc., teraz już tylko 4,5 proc. Wciąż zdecydowanie więcej mebli eksportujemy, niż importujemy, ale i ta różnica wyraźnie maleje. Kilkanaście lat temu eksport był pięć razy większy od importu, w ubiegłym roku już tylko trzy razy. Głównie z powodu ekspansji Chińczyków, ale coraz śmielej poczyna sobie także Wietnam. Z azjatyckimi producentami nie jesteśmy w stanie konkurować ceną, bo oni zawsze będą kilka kroków do przodu, mając zdecydowanie niższe płace i tańszą energię. Pozostaje bić się o zamożniejszego klienta, czyli inwestować przede wszystkim w meble z wyższej półki, w których przypadku kupujący nie są tak wrażliwi na zmiany cen. Jednak to nie takie proste. – *Aby przejść do wyższego segmentu na rynku, trzeba sporo zainwestować – zarówno w samą produkcję, jak i w zbudowanie wizerunku marki. To długotrwały i kosztowny proces. Dotąd wiele polskich firm nie sprzedawało pod własną marką, współpracując z dużymi sieciami handlowymi* – wyjaśnia Michał Strzelecki.

Ogromne uzależnienie od innych rynków nie było kłopotliwe, dopóki zamówienia płynęły szerokim strumieniem. Teraz jest inaczej. – *Problem naszej branży to silne rozdrobnienie, co utrudnia negocjacje z zachodnimi zamawiającymi. Po jednej stronie mamy potężne grupy zakupowe, a po drugiej często niewielkie polskie firmy rodzinne, które muszą się godzić na narzucone warunki współpracy. Ratuje nas na razie fakt, że z powodów bezpieczeństwa i konieczności dywersyfikacji europejscy potentaci nie decydują się zlecać całej produkcji w Azji. Co powinniśmy zrobić? Skracać dystans do klienta, starać się pomijać hurtowników i wykorzystywać możliwości, jakie daje internet* – podpowiada Tomasz Wiktorski, założyciel B+R Studio, firmy analizującej sytuację na rynku meblarskim.

Eksperci wskazują na nasze atuty. Na przykład w rywalizacji z Chińczykami wciąż wygrywamy w kategorii mebli wykonywanych na wymiar, do zabudowy,

eprasa.pl 742e21c9af

Fabryka mebli firmy Ikea Industry w Wielbarku. Do niedawna pracowało tu 1,6 tys. osób, teraz jest ich o 250 mniej.

np. w kuchni. Naszą przewagą w tym przypadku są: lepszy kontakt z klientem, większa elastyczność w reagowaniu na jego oczekiwania i szybszy transport.

W korzystniejszej sytuacji są dziś wszyscy ci, którzy produkując na zamówienie innych, starali się równolegle rozwijać własne wzornictwo i inwestować w swoje marki. Mamy przykłady sukcesu, o których warto opowiadać. – *Perełką polskiej branży jest firma Nowy Styl, specjalizująca się w produkcji mebli biurowych. Zaczynała od sprzedaży prostych krzeseł, a dzisiaj jest wśród pięciu największych firm na świecie w swojej kategorii. Potęgę zbudowała, kupując i integrując różne zagraniczne marki. Inny pozytywny przykład to Tylko – firma sprzedająca meble dopasowane do oczekiwań klienta, wyróżniająca się zaawansowanymi rozwiązaniami informatycznymi, nowoczesnym procesem projektowania i świetnym marketingiem* – mówi Tomasz Wiktorski z B+R Studio.

Branża zdaje sobie sprawę, że koszty pracy dalej będą rosnąć, a na tanią energię nie ma co liczyć. Walczy jednak o drewno, narzekając na Lasy Państwowe, a zwłaszcza na Ministerstwo Klimatu i Środowiska, które – realizując obietnice koalicji 15 października – stara się zwiększyć nieco obszary wyłączone z wycinki. Zdaniem meblarzy to fatalny pomysł, bo im mniej dostępnego dla nich drewna na aukcjach, tym wyższe ceny. Z drugiej strony kłopoty firm nie wzięły się wcale z braku dostępu do surowca. A skoro sprzedają dziś mniej, bo mają ograniczone zlecenia z zagranicy, to też potrzebują mniejszej ilości drewna, aby realizować zamówienia. Jednak przemysł meblarski ostro atakuje politykę Ministerstwa Klimatu i Środowiska, strasząc, że doprowadzi ona do jeszcze większych problemów branży, i grożąc przenoszeniem produkcji do Bułgarii, Rumunii, a w przyszłości do Ukrainy. Mimo że cena drewna jest u nas ostatnio raczej stabilna. Jak wynika z danych GUS, metr sześcienny surowca w 2024 r. kosztował średnio 277 zł, a w ubiegłym roku 281 zł.

Najwięksi eksporterzy mebli na świecie

(mld euro)

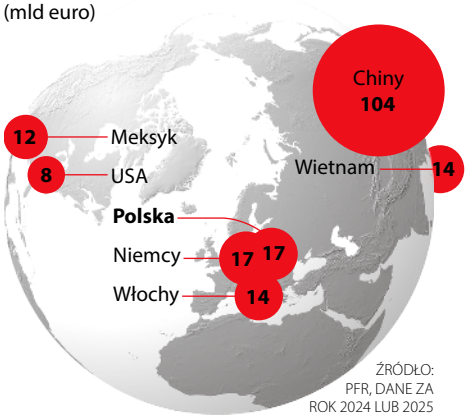

ŹRÓDŁO: PFR, DANE ZA ROK 2024 LUB 2025

Meblowe kłopoty to nie odosobniony przypadek, ale raczej ilustracja problemu, który w coraz większym stopniu będzie dotykał naszą gospodarkę. Jej ogromny sukces był przez lata oparty na niższych w porównaniu z Zachodem kosztach: pracy, energii czy surowców. Teraz ten potencjał oszczędności się wyczerpuje i jeśli chcemy utrzymać pozycję na zagranicznych rynkach, musimy znaleźć inne atuty. Dotyczy to nie tylko mebli, ale i przetwórstwa spożywczego czy branży transportowej.

Pozostaje inwestować w jakość i marki – tak, żeby klienci z innych krajów byli bardziej przywiązani do naszych produktów i usług, a wyższe ceny nie zniechęcały ich do zakupu. Światowe sukcesy odnoszą te firmy francuskie, włoskie czy niemieckie, które kojarzą się z jakością, a nawet wyjątkowością. Żadna z nich nie wyróżnia się niską ceną. Żadna nawet nie przekonuje w reklamach, że to jej atut. Skoro chcemy dołączyć do najlepiej rozwiniętych gospodarek europejskich, musimy podążać tą samą drogą. Czasy Polski jako taniego dostawcy solidnych produktów na masową skalę się kończą – w ten sposób doszliśmy do dzisiejszego przyzwoitego poziomu rozwoju, ale dobrobytu już nie zbudujemy.

CEZARY KOWANDA

© TOMASZ WASZCZUK/PAP, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 742e21c9af

Irańczycy w zeszłym tygodniu pochowali nie tylko swojego przywódcę, ale też stare państwo. I z tej okazji, pomimo amerykańskich bomb, stworzyli prawdopodobnie największe zgromadzenie w historii ludzkości.

Głośniej nad tą

ŁUKASZ WÓJCIK

Idealne życie – jak to ujął w 2024 r. Ali Chamenei – to takie, w którym człowiek zdobywa wykształcenie, staje się „przydatny dla islamu", dożywa osiemdziesiątki lub dziewięćdziesiątki, a następnie zostaje męczennikiem. Nieco ponad rok później Najwyższego Przywódcę Iranu spotkał taki los, jaki sobie wybrał – 28 lutego w pierwszej salwie wojny USA i Izraela z Iranem poniósł śmierć, którą jego zwolennicy przedstawiają dziś jako „rewolucyjne spełnienie". Nie byłoby ono jednak pełne bez pogrzebu. A na ten trzeba było czekać aż cztery miesiące.

Zgodnie z muzułmańską tradycją ciało powinno być jak najszybciej umyte i pogrzebane, najlepiej w ciągu 24 godzin. To tradycja jeszcze przedmuzułmańska, zdeterminowana m.in. przez lokalny klimat. Tu jednak opóźnienie wynikało z obawy o bezpieczeństwo – nagromadzenie oficjeli na uroczystościach pogrzebowych mogło ściągnąć amerykański czy izraelski atak. Jak twierdzą nasze źródła, negocjacje w tej sprawie z Amerykanami trwały od tygodni, a i tak ceremonie odbywały się pod ostrzałem.

Bomby nie zakłóciły jednak pogrzebu, który był starannie zaplanowany. Trumna przez sześć dni pokonała ponad 2,6 tys. km przez pięć miast i dwa kraje. Po mocno politycznych

eprasa.pl 742e21c9af

Pożeganie Alego Chameneiego w Kom, 7 lipca. Trumna z ciałem Najwyższego Przywódcy pokonała przez sześć dni ponad 2,6 tys. km.

© ANADOLU/GETTY IMAGES

trumną

uroczystościach w Teheranie trumna trafiła do Kom, czyli centrum szkolenia szyickich duchownych. Potem gościła w świętych miastach szyizmu w Iraku, aby 9 lipca spocząć w grobie w Meszhedzie, rodzinnym mieście zmarłego.

Skala, symbolika, rytuały religijne, obecność zagranicznych gości, a nawet trasa procesji – wszystko to było źródłem różnych komunikatów skierowanych do poszczególnych odbiorców. Podobnie jak inne ważne uroczystości państwowe w Republice Islamskiej, pogrzeb Chameneiego posłużył nie tylko uczczeniu pamięci zmarłego, ale może w jeszcze większym stopniu kształtowaniu politycznego krajobrazu żyjących.

1 Najpierw był Teheran, gdzie kolejne zagraniczne delegacje składały hołd zmarłemu. Armenia, Oman, Katar, Arabia Saudyjska, Pakistan, Turcja, a także Chiny, Indie i Rosja – oto przegląd aktualnych partnerów Iranu, z których każdy został potraktowany indywidualnie. Dla każdej delegacji organizatorzy przygotowali stosowny ich zdaniem werset z Koranu. I tak Saudyjczykom dostało się fragmentem, który mówi o wiernych wchodzących w sojusze z niewiernymi przeciwko braciom muzułmanom (amerykańskie bazy w Arabii). Turków podsumowano wersetem mówiącym o tych, którzy stoją z boku i pozwalają na niedolę innych muzułmanów. Taka koraniczna publicystyka międzynarodowa.

Potem ciało trafiło do Wielkiej Mosalli, wiadomych rozmiarów teherańskiego kompleksu religijnego, wciąż w budowie. Docelowo ma się on stać religijno-politycznym centrum kraju, gdzie z Uniwersytetu Teherańskiego przeniosą się piątkowe modły, czyli takie cotygodniowe Urbi et Orbi irańskiego reżimu. Na razie Mosalla służy jako rezerwowe mauzoleum Ruhollaha Chomeiniego, przywódcy rewolucji 1979 r. i ojca założyciela Republiki Islamskiej – i prawdopodobnie tym było motywowane ściągnięcie tam zwłok Chameneiego: aby połączyć kult obu ajatollahów.

Chomeini też miał pogrzeb z pompą, tyle że wtedy, w 1989 r., sytuacja wymknęła się spod kontroli. Na uroczystościach pojawiło się w sumie ponad 10 mln żałobników. W samym Teheranie w trakcie procesji pogrzebowej zmarło – z wycieńczenia, ścisku itd. – ponad tysiąc osób. Gdy kondukt wreszcie ruszył, tłum porwał prostą trumnę przywódcy. Służby bezpieczeństwa próbowały odzyskać ciało, które kilka razy prawie wypadło z otwartej już trumny, bo żałobnicy rozrywali wielki, biały kafan, którym okryte były zwłoki, traktując skrawki materiału jak relikwie. W końcu, gdy w środku miasta służby odzyskały Chomeiniego, wciągnięto go na helikopter i pochowano w oddzielnej uroczystości.

2 Tym razem władze były lepiej przygotowane. W Teheranie procesja pogrzebowa Alego Chameneiego przerodziła się – zgodnie z planem – w polityczno-religijny spektakl. Peregrynujących na specjalnej platformie trumien było w sumie pięć, bo obok Chameneiego żegnano również jego bliskich, którzy zginęli z Najwyższym w amerykańskim ataku, czyli córkę i zięcia, żonę syna Modżtaby, który po ojcu został teraz Najwyższym, oraz jego 14-miesięczną córkę.

Dominowały konfrontacyjne hasła: „Nie przebaczamy i nie wybaczamy", „To my jesteśmy prawdziwymi pociskami Iranu". Część uczestników niosła wielkie portrety zabitego, okrywając go pocałunkami. Inni okładali kamieniami zdjęcia z Donaldem Trumpem, co było echem tradycyjnego rytuału obrzucania trzech słupów podczas pielgrzymki do Mekki, przy czym słupy oznaczają tu szatana.

Głównym przesłaniem uroczystości była ciągłość. Najwyższy Przywódca kraju zginął na wojnie, jednak Republika Islamska chciała pokazać, że jej fundamenty nie zostały naruszone – nastąpiła sukcesja, państwo nadal działa mimo wojny z supermocarstwem. W tym kontekście pogrzeb Chameneiego miał symbolizować porządek i jedność reżimu, co do której w związku z wojną były wątpliwości.

Chodzi o domniemane podziały między politykami pochodzącymi z wyborów (oczywiście kontrolowanych) i siłową częścią reżimu. Ci pierwsi, w naturalny sposób bardziej stykający się z problemami zwykłych Irańczyków, chcieliby jak najszybciej zakończyć wojnę. Ci drudzy – wręcz przeciwnie. Jedność ▶

eprasa.pl 742e21c9af

▶ została jednak zachowana – na pogrzebie Chameneiego wszyscy płakali. Przy czym prezydent Masud Pezeszkian, uważany za relatywnie umiarkowanego członka reżimu, ledwo coś wycisnął, natomiast dwaj najwięksi rzeźnicy, niewidziany od lutego szef Strażników Rewolucji Ahmad Wahidi oraz Mohsen Rezaji, patologiczny morderca z lat 80., płakali jak bobry.

3 W sensie religijnym uroczystości pogrzebowe silnie nawiązały do symboliki szyickiej żałoby – do poświęcenia, niesprawiedliwości i męczeństwa, które leżą u podstaw szyickiej pamięci religijnej.

Według narracji reżimu pogrzeb Chameneiego w symboliczny sposób domyka historię szyitów. Rozpoczyna się ona bowiem śmiercią Husajna, wnuka Mahometa, zabitego w Karbali w 680 r. przez siły pierwszego umajjadzkiego kalifa Jazyda. Panowanie Umajjadów uważane jest przez wielu szyitów za symbol nielegalnych i opresyjnych rządów. A użycie tego archetypu we współczesnym kontekście ukazuje odwet na USA i Izraelu jako religijny obowiązek.

Ta historia szyitów trwa dalej przez męczeństwo licznych następców Husajna, a jej kulminacją jest właśnie śmierć Chameneiego i jego rodziny, pochowanej w zeszłym tygodniu razem z przywódcą Iranu, co symbolicznie łączy rodzinną tragedię z szerszą narodową narracją o wojnie, oporze i poświęceniu, która ma swój początek w męczeństwie Husajna.

Nieprzypadkowo czarne flagi zawieszone na irańskich latarniach z okazji święta Aszura, szyickiego upamiętnienia męczeństwa Husajna, które w tym roku wypadło 25 czerwca, pozostały na miejscu do pogrzebu Chameneiego. A w całym Teheranie na billboardach rozgrywała się bitwa pod Karbalą, przy czym twarze jej uczestników przypominały Chameneiego, Trumpa i Beniamina Netanjahu.

Wielu Irańczyków liczyło, że na uroczystościach pogrzebowych ojca pojawi się Modżtaba Chamenei. Nowy Najwyższy Przywódca Iranu nie był widziany od ataku z 28 lutego, w którym sam poważnie ucierpiał. Tradycja nakazuje właśnie jemu poprowadzenie takich uroczystości. Ale tydzień wcześniej nie stawił się nawet na pożegnaniu własnej żony, kolejnej ofiary tego samego ataku.

Pojawiający się publicznie członkowie reżimu przekonują, że to ukrycie wynika wyłącznie ze względów bezpieczeństwa. Inni z kolei zaczęli nazywać Modżtabę Ukrytym Imamem, co w szyizmie jest nawiązaniem do figury mesjasza, którego powrót będzie oznaczać koniec świata.

4 Zanim jednak ten nastąpi, reżim chce jeszcze porządzić i dlatego starał się przedstawić pogrzeb Chameneiego jako uliczne referendum w sprawie politycznej przyszłości Republiki Islamskiej. W uroczystościach wzięły więc udział gwiazdy popu, znane z piosenek miłosnych, które tym razem musiały przygotować pieśni żałobne. Duże prywatne biznesy zostały zobowiązane do nieodpłatnego dostarczenia mięsa i ryżu dla żałobników. Namioty z darmowym jedzeniem stały wzdłuż trasy procesji i w parkach.

Miliony urzędników państwowych otrzymały dni wolne. Duchowni wezwali do udziału w procesjach studentów seminariów (dostają państwowe stypendia, nie mogli odmówić). Metro i tysiące autobusów przewoziły żałobników za darmo, hotele obniżyły ceny o połowę. Efekt był piorunujący. Według niektórych źródeł w uroczystościach pogrzebowych wzięło udział nawet kilkanaście milionów ludzi, byłoby to wtedy największe zgromadzenie w historii ludzkości.

Od rewolucji 1979 r. taka kontrolowana przez państwo masowa mobilizacja społeczna jest jednym z filarów władzy irańskiego reżimu. A pozostaje ona możliwa dzięki gęstej sieci powiązanych z państwem meczetów, szkół, uniwersytetów, zakładów pracy, mediów i organizacji weteranów. Instytucje te pomagają rządowi organizować obywateli i kreować wizerunek poparcia społecznego w krytycznych momentach, jak choćby obecna wojna.

Taki polityczny performens jest nieodłączną częścią spektaklu w przypadku każdej władzy o tendencjach totalitarnych i silnej skłonności do monopolizowania prawdy. Republika Islamska nie jest tu wyjątkiem. W tym układzie publiczne wydarzenia, jak choćby pogrzeb przywódcy, stają się mechanizmem reprodukcji porządku politycznego. A udział w tych rytuałach i odgrywanie stosownych ról służy również potwierdzeniu istniejących hierarchii.

5 Jak pisze irański politolog Saeed Laylaz, reżim nigdy nie wymagał od Irańczyków, aby szczerze wierzyli w jego przekaz; oczekiwał jedynie, aby zachowywali się tak, jakby wierzyli: „Życie codzienne w Iranie toczy się między prywatnymi prawdami i publicznymi kłamstwami".

Tak wielka mobilizacja nie byłaby jednak możliwa, gdyby reżim nie cieszył się autentycznym poparciem sporej części społeczeństwa, którą irańscy socjologowie oceniają właśnie na kilkanaście milionów. To w sumie niewięcej niż 15–20 proc. społeczeństwa, ale zupełnie wystarczy, aby przy okazji ważnych wydarzeń zorganizować masowe demonstracje poparcia dla władzy – zgodnie z zasadą, że nieobecni nie mają głosu.

Tym bardziej że wielu Irańczyków, już niezależnie od poglądów na temat samego reżimu, postrzega śmierć Chameneiego w amerykańsko-izraelskim akcie agresji jako ofiarę godną żałoby (niekoniecznie religijnej), a może nawet dumy. Oto przywódca, który oddał życie w obronie swojego kraju w czasie wojny. Po rozmowach z Irańczykami można postawić tezę, że wielu żałobników kieruje się autentycznymi emocjami, a nie wyłącznie teatralnym uniesieniem.

Ostatecznie nie umniejsza to faktu, że reżim postrzega tę publiczną manifestację emocji – która przekracza podziały ideologiczne i niekoniecznie jest napędzana strachem lub politycznym konformizmem – jako szansę na odnowienie i rozszerzenie swojej legitymizacji.

6 A ta się zmienia, bo pogrzeb Chameneiego ukazał przesunięcie środka ciężkości reżimu. Przedstawiciele jego siłowego ramienia, głównie wojskowi i Strażnicy Rewolucji, zajmowali honorowe miejsca podczas uroczystości. Irańskie flagi dominowały na placach i ulicach oraz okrywały trumny. Czarny turban Chameneiego – symbol duchowieństwa, któremu przewodził przez 37 lat – spoczywał niepozornie obok. Jego nieobecny następca Modżtaba Chamenei może się okazać niewiele więcej niż figurantem, którego oświadczenia już dziś brzmią bardziej jak komunikaty wojskowe, a nie kazania.

Na koniec wyglądało to tak, jakby wojskowi i Strażnicy chowali nie tylko swojego Najwyższego Przywódcę, ale także stare państwo, pierwszą republikę opartą na władzy duchownych. W tym sensie pogrzeb Chameneiego symbolicznie dopiął transformację Iranu z teokracji w wojskową dyktaturę – drugą republikę.

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl 742e21c9af

© STEPHANE LE TELLEC/ABACA/EAST NEWS

Za plecami Marine

Sąd zdecydował, że Marine Le Pen może się jednak bić o francuską prezydenturę. Tak jak 46 innych chętnych. Ale Francji zawsze mogło się przydarzyć coś jeszcze gorszego.

JAROSŁAW KUISZ Z PARYŻA

„Aktualnie polityk najbardziej wyróżnia się tym, że nie jest kandydatem w wyborach prezydenckich" – złośliwie twierdzi były premier Francji Jean Castex. Obecnie 46 polityków albo oficjalnie zadeklarowało chęć kandydowania, albo publicznie podsyca spekulacje na temat swojego startu w wyborach prezydenckich, które odbędą się dopiero na wiosnę.

Wcześniej także nie brakowało chętnych do najwyższych stanowisk. Ale od razu wiadomo było, kto jest kandydatem wagi superciężkiej. Wielkie partie gromadziły zasoby materialne, a samo ogłoszenie kandydowania przygotowywano z koronkową precyzją. Dziś kandydaci wskakują do wyścigu niczym do ruszającego z peronu pociągu TGV. Ogłoszenie kandydatury jest pozbawione dawnego patosu, z trudem przebija się do opinii publicznej.

Alain Duhamel, nestor dziennikarstwa politycznego, przypomina, że najlepszym momentem na ogłoszenie startu w wyborach prezydenckich jest wrzesień. Wcześniej kandydat ryzykuje, że zbyt szybko straci impet i zmęczy sobą opinię publiczną. Intensywna faza kampanii zwykle zaczynała się w listopadzie i grudniu. Wczesny start jest więc sensowny tylko wtedy, gdy kandydat rzeczywiście ma do powiedzenia coś nowego.

Ale takich rad mało kto dziś słucha. Media społecznościowe obniżyły koszt propagowania własnej osoby. Prawybory stały się anachroniczne. Ambicje ▶

eprasa.pl 742e21c9af

▶ prezydenckie ulegają demokratyzacji. Ale za przyspieszenie przychodzi zapłacić pewną cenę. Pierwsza tura wyborów prezydenckich odbędzie się przecież dopiero 18 kwietnia 2027 r., druga – 2 maja. W efekcie lwia część wczesnej fazy kampanii toczy się niejako w świecie równoległym do rzeczywistego. Z jednym wszakże wyjątkiem.

Bransoletka nie wyrok

Oto 7 lipca zapadło orzeczenie sądu drugiej instancji w sprawie karnej przeciwko Marine Le Pen. Wcześniej zastanawiano się, czy wymiar sprawiedliwości uniemożliwi kandydowanie tej popularnej polityczce. Sprawa dotyczyła systemu fikcyjnego zatrudniania ludzi jeszcze przez kierowany przez nią Front Narodowy, a po zmianie nazwy przez Zjednoczenie Narodowe. Pieniądze z europarlamentu oficjalnie pobierano na zatrudnianie asystentów w Brukseli, następnie przez całe lata bezprawnie przeznaczano na inne cele.

Rok temu w pierwszej instancji sąd wymierzył Le Pen karę czterech lat więzienia, z czego dwa lata miały być odbywane z elektroniczną bransoletką, oraz pięcioletni zakaz kandydowania z natychmiastowym wykonaniem. Wybuchła burza o międzynarodowym zasięgu. Głosy w obronie liderki skrajnej prawicy podniosły się nawet nad Wisłą. Krzyczano o „spisku elit", „kaście sędziowskiej", padały typowe inwektywy ze słownika międzynarodówki populistycznej.

Tymczasem sprawa fikcyjnego zatrudniania ludzi została gruntownie prześwietlona. Jeśli można coś zarzucić francuskiemu wymiarowi sprawiedliwości, to uprzywilejowanie sprawy Le Pen w kolejce. Co więcej, w drugiej instancji Le Pen została skazana na trzy lata ograniczenia wolności, z czego najpierw rok w dozorze elektronicznym (bransoletka), a potem dwa lata w zawieszeniu. Dodatkowo polityczkę skazano na 45 miesięcy zakazu kandydowania i sprawowania funkcji publicznych, z czego jednak 30 miesięcy zostało warunkowo zawieszone. Sąd jednak uznał, że Le Pen odbyła już 15 miesięcy bezwzględnej części tego zakazu.

Najważniejszy wniosek: Le Pen może wystartować w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Co prawda liderka Zjednoczenia zarzekała się, że dla niej prowadzenie kampanii wyborczej z elektroniczną bransoletką nie jest możliwe – w takiej sytuacji z ramienia partii kandydować miałby niezwykle popularny Jordan Bardella. Ale Le Pen nie w takich sprawach potrafiła zmieniać zdanie.

Akurat zdobyciu stanowiska głowy państwa poświęciła całe zawodowe życie. Dokonała politycznego „ojcobójstwa", gdy jasne stało się, że wiekowy Jean-Marie Le Pen jest przeszkodą dla przyszłych sukcesów partii. Na obecny układ sondażowego poparcia, w którym wyraźnie dominuje nad rywalami, pracowała całe życie. Decyzję o swojej kandydaturze Le Pen przekazała jednak dziennikarzom z kamienną miną, bez manifestowania radości.

Najbardziej rozczarowany musiał być sam Bardella, który w sondażach poparcia wyprzedzał ostatnio swoją szefową o ok. 3–4 pkt proc. I ewidentnie zaczął flirtować z myślą zamieszkania w Pałacu Elizejskim. Sporo się napocił, aby odróżnić się od patronki nie tylko brylowaniem w mediach społecznościowych. Spotykał się z wielkim biznesem, podróżował za granicę, w tym do Polski.

Wszystko to bladło przy innej wiadomości. „Paris Match" opublikował serię zdjęć ukazujących, że ów chłopak z biednych przedmieść romansuje z... księżniczką Marią Karoliną Bourbon Obojga Sycylii. Nie sposób przewidzieć, czy ten „salonowy mezalians" ocieplił wizerunek kandydata z przedmieść, czy – przeciwnie – oddalił go od ludowego elektoratu.

To są jednak towarzyskie smaczki. Z punktu widzenia zmagań międzypartyjnych od dawna nie miało znaczenia, kto – Le Pen czy Bardella – będzie kandydatem. Aż 45 proc. pytanych Francuzów deklarowało w ciemno, że odda głos na „kandydata Zjednoczenia Narodowego". W każdym rozdaniu osoba wskazana przez tę partię trafi do drugiej tury. To wynik, którego nie osiąga żadne inne ugrupowanie.

Generalnie elektorat Zjednoczenia (RN) łączy antysystemowość, antyelitarność oraz hasła ograniczenia migracji i poprawy bezpieczeństwa. Z głębszych badań wynika jednak, że w kwestiach społecznych i gospodarczych występują wśród wyborców RN istotne różnice. Jedni są zdecydowanie bardziej socjalni, inni zaś wolnorynkowi.

Na razie to nie problem. Pierwszych do partii przyciąga bowiem Le Pen, drugich zaś Bardella. Praca tego ostatniego nie pójdzie zatem na marne – od Le Pen już ma przecież obiecane stanowisko premiera. A oboje ich niesie fala oczekiwania, że we Francji ktoś wreszcie szarpnie cuglami.

Moda na deklinizm

Około 74 proc. badanych Francuzów jest niezadowolonych z Emmanuela Macrona. Trzech na czterech ma dość aroganckiego tonu jego prezydencji i braku nadziei na poprawę ich losu. Ten, który miał być „Mozartem finansów" i ratunkiem przed zmierzchem potęgi V Republiki, nie dokonał w zasadzie żadnej istotnej reformy. Teraz wycofał się w świat polityki zagranicznej, bo nierozważnie rozwiązał parlament i stracił większość. Obecny rząd Sébastiena Lecornu zarządza krajem, wisząc na koalicyjnym włosku – i tyle można powiedzieć o nim dobrego.

Faktem jest, że pod rządami Macrona rodacy masowo sabotowali śmielsze próby zmian – od protestów żółtych kamizelek po burzliwe awantury o reformy emerytalne. Jednak poczuciu upadku znaczenia Francji w świecie towarzyszą autentyczne alarmy na temat danych o stanie budżetu. W 2025 r. wzrost gospodarczy był na poziomie 0,8 proc. Dług publiczny rośnie jak na drożdżach – z 116 proc. PKB w 2025 r. do ok. 120 w 2027 r. Bezrobocie pod koniec 2025 r. wynosiło 9 proc. i też rośnie.

Oczywiście Francja to wciąż kraj bogaty, jedna z głównych gospodarek UE, z miejscem w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Dzięki terytoriom zamorskim prowadzi globalną politykę, dodatkowo posiada broń jądrową w arsenale. Jednak brak pieniędzy ma znaczenie. Pole do śmiałych decyzji politycznych Paryża obiektywnie się zawęża. Widać to choćby po skromnej jak na Francję skali pomocy dla Ukrainy czy niechęci do mocniejszego angażowania się w walce o wpływy w Afryce Północnej.

Nic dziwnego zatem, że deklinizm, czyli przekonanie, że kraj chyli się ku upadkowi, niezmiennie pozostaje chodliwym politycznie towarem. Od czasów literackich triumfów ponurego Michela Houellebecqa na salonach niemal nie wypada się wypowiadać w innym tonie. Księgarnie, których wciąż jest sporo, puchną od książek o gospodarczej zapaści, deindustrializacji czy innych czarnych wizjach.

To przekonanie o upadku współgra z marzeniem o wspomnianym szarpnięciu cuglami – oczekiwaniem na kogoś, kto pójdzie śladami Napoleona Bonaparte czy Charles'a de Gaulle'a. Jak stwierdzają autorzy najnowszego Barometru Zaufania

eprasa.pl 742e21c9af

Marine z Jordanem Bardellą. Wyprzedził ją o ok. 3–4 pkt proc., obiecała mu stanowisko premiera.

Politycznego CEVIPOF przy Sciences Po, „nigdy utrata zaufania do polityki nie była tak głęboka". W marcu 78 proc. badanych w ogóle nie ufało światowi polityki. O partiach politycznych nie chcą słyszeć.

Znany komik Christophe Alévèque podczas marcowego spektaklu w paryskiej La Cigale dla zagajenia powiedział, że wyrobił sobie zwyczaj rozpoczynania spektaklu od czegoś podnoszącego na duchu. I dodał: „Mogłoby być gorzej, moglibyśmy być na wojnie".

Reszta goni

Z kim zatem będzie się mierzyć unoszona falami deklinizmu Le Pen? „Na końcu wszystko rozstrzygnie się między nimi a nami" – butnie odpowiada na to pytanie lewicowy trybun Jean-Luc Mélenchon. „Oni" to oczywiście skrajna prawica. „My" to LFI, skrajna lewica. Po 10 latach makronizmu ekstremizmy konsumują środek francuskiej sceny politycznej.

Mélenchon, podobnie jak Le Pen, jest weteranem kampanii prezydenckich, w których mozolnie pnie się w górę (2012 r. – 11 proc., 2017 – 20, 2022 – 22). Pięć lat temu pozyskał blisko 7,7 mln głosów i był o włos od drugiej tury. Od tego czasu Mélenchon uznał, że skrajna lewica – czyli on – nie musi się liczyć z dawną socjaldemokracją, ekologami ani resztą lewicowego planktonu. Ważniejsze jest zbudowanie kontroferty wobec Le Pen.

Mélenchon zwrócił się więc do zwykle biernych wyborców – tam, gdzie oni są, czyli na multikulturowych przedmieściach wielkich miast. Nie przychodzi mu to trudno, bo sam w pewnym sensie jest imigrantem. Urodził się i częściowo wychował w multikulturowym Tangerze. Dlatego postanowił ubiegać się o głosy m.in. francuskiej mniejszości muzułmańskiej.

Doprowadził tym do furii część starej lewicy, która zarzuca mu, że legitymizuje antysemityzm. Ale to akurat rezonuje we Francji, szczególnie po ataku Hamasu na Izrael z 7 października 2023 r. Najpierw jego ugrupowanie nie chciało przyznać, że Hamas jest organizacją terrorystyczną. Później Mélenchon promował w swoim ugrupowaniu polityków propalestyńskich czy antyizraelskich, jak Rima Hassan, która także nie lubi gryźć się w język. Już w samej kampanii prezydenckiej lustrzanym odbiciem radykalizmu prawicy będzie zatem radykalizm lewicy.

Wizja, że w drugiej turze zmierzą się Le Pen i Mélenchon, umiarkowanym politykom wydaje się z piekła rodem. Tyle że reakcją jest dalsze pączkowanie kandydatów. Socjaliści, ekolodzy, komuniści... Przeintelektualizowana, zżerana ambicjami lewica nie jest w stanie się zjednoczyć, aby wyłonić jednego kandydata.

Na tle tej drobnicy wyróżnia się Raphaël Glucksmann, syn znanego i u nas filozofa. Intelektualista w polityce, mniej polityk wśród intelektualistów, co ma swoje znaczenie. Znakomicie prezentuje się w Parlamencie Europejskim, zna się na sprawach międzynarodowych, w tym wojnie w Ukrainie. Teraz jednak hamletyzuje co do kandydowania. Idzie do radia, tam unika deklaracji, w końcu nie wiadomo, po co w ogóle udziela wywiadów.

W lewicowym tłoku wśród potencjalnych kandydatów na kandydata znajduje się nawet były prezydent, jowialny François Hollande, który jak zawsze „niczego nie wyklucza". Na tym tle sekciarski Mélenchon tylko zyskuje. Jego LFI twierdzi, że ma jednego kandydata i jeden program. A reszta ma się dostosować.

Czas na popcorn

Powstaje zatem pytanie, czy po makronizmie nic nie zostanie – poza urazem do narcyzmu w polityce? Elektorat Macrona obecnie podzielił się na cztery grupy: 35 proc. pozostaje przy centrum, 27 proc. skłania się ku prawicy, 23 proc. ku centrolewicy, a 15 proc. wycofuje się z polityki. Po odejściu Macrona nie będzie zatem jednego spadkobiercy jego wyborców. Tam o schedę bije się obecnie dwóch byłych premierów – młodszy Gabriel Attal i starszy Édouard Philippe.

Na razie większe szanse ma ten ostatni. Na pytanie o morderczą konkurencję Philippe odpowiada: „Uwielbiam kampanie wyborcze". Oczywiście kokietuje. Odróżnia się jednak stylem – nie chce porywać radykalnymi hasłami ani uwodzić krzykiem. Nie pcha się do mediów. Ludzie pamiętają go jako pierwszego premiera Macrona, który nie udawał, że wszystko wie. Przeprowadził kraj przez pandemię. Z klasą pożegnał się z prezydentem, od którego stawał się bardziej popularny.

Philippe, obecnie mer Hawru, przeciwko radykałom pokroju Le Pen czy Mélenchon chce być kandydatem rozsądnego centrum o odcieniu centroprawicy. Co niezwykłe na tle innych, oznajmia to wszystko spokojnym głosem. Jednak nawet i on musiał się dostosować do czasów szybkiego ogłaszania kandydatur. Sam oświadczył, że będzie się ubiegać o urząd głowy państwa już w wywiadzie udzielonym w... 2024 r.!

Wiele miesięcy przed wyborami doprawdy trudno coś prognozować. Jednak to spokojny Édouard Philippe w drugiej turze ma jakie takie szanse na walkę z rozpędzoną Le Pen. Ogłoszony wyrok w sprawie liderki skrajnej prawicy to jednak początek serialu politycznego. Nic, tylko kupować popcorn. Ta kampania będzie długa, ale na pewno nie nudna. Tym bardziej że Le Pen upudrowała program, ale go nie zmieniła. A tam przecież kryje się zarówno sympatia do Moskwy, jak i nienawiść do Brukseli.

JAROSŁAW KUISZ

© ALEXIS JUMEAU/ABACA/EAST NEWS

eprasa.pl 742e21c9af

Ośla ławka

Historia **Grahama Platnera**, króla ostryg, który miał odebrać Republikanom Kongres, pokazuje, że amerykańska lewica wciąż nie umie trafić w ludowy populizm.

MARIUSZ ZAWADZKI

Wybory senatora z Maine to jedne z najważniejszych, jakie odbędą się jesienią w USA. Być może w tym malutkim stanie, kojarzonym głównie z homarami, ostrygami i małżami, zdecyduje się, czy Demokraci (których symbolem, jak wiadomo, jest osioł) zdobędą większość w obu izbach Kongresu. Dzięki temu mogliby blokować pomysły prezydenta Donalda Trumpa. A może nawet – w jakimś skrajnym scenariuszu – odwołać go ze stanowiska.

Jednakże zadanie w Maine jest ciężkie. Po pierwsze, w Ameryce bardzo trudno pokonać urzędującego kongresmena. A już szczególnie senatora, którego kadencja trwa sześć lat. Ma on zawsze wpływowych znajomych i sponsorów – dają mu na kampanię pieniądze, o jakich pretendenci mogą tylko pomarzyć. Szansa, że urzędujący senator przegra z pretendentem, wynosi ok. 3 proc.

Po drugie, fotela senatorskiego w Maine broni 73-letnia Susan Collins, która reprezentuje stan w Waszyngtonie od 30 lat. Uchodzi za umiarkowaną Republikankę, dlatego głosuje na nią wielu wyborców niezależnych. Przez trzy dekady tak bardzo wrosła w lokalne realia, że nikt już nie pamięta stanu Maine bez niej. Niektórzy żartują – ale nie ma w tym wiele przesady – że Collins osobiście uścisnęła rękę co najmniej połowie wyborców ze swojego stanu.

Kogo Demokraci powinni wystawić w Maine? No cóż, przez ostatnie dziesięć lat w doborze kandydatów władze partii popełniły serię pomyłek. W 2016 r. przeciwko Trumpowi, który wówczas był całkiem sprawnym showmanem i umiał rozmawiać językiem „zwykłych Amerykanów", zaproponowali 70-letnią, drewnianą i kompletnie pozbawioną charyzmy Hillary Clinton.

Cztery lata później wystawili 75-letniego Joe Bidena, który – mimo różnych ekscesów prezydenta Trumpa – wygrał ledwo, ledwo. Minęły kolejne cztery lata i partyjne elity znowu stanęły murem za Bidenem, choć w sondażach zdecydowana większość Amerykanów – nie tylko Demokraci – twierdziła, że 79-letni prezydent jest za stary na drugą kadencję. Nastąpiła seria niefortunnych zdarzeń, których skutkiem był powrót Trumpa do władzy.

Nauczką powinny być zeszłoroczne wybory burmistrza Nowego Jorku, do których stanął nieznany 31-letni Zohran Mamdani. Obiecywał pomóc biedniejszym, był autentyczny, zawsze uśmiechnięty, ale też szczery i odważny, m.in. potępiał Izrael za ludobójstwo w Strefie Gazy, co w mieście zamieszkanym przez milion Żydów wydawało się dość ryzykowne. To, że Mamdani był spoza establishmentu, okazało się ogromną zaletą.

© JOE RAEDLE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 742e21c9af

Choć własna partia go nie popierała, wygrał zdecydowanie.

Wydaje się oczywiste, że Demokraci, jeśli naprawdę chcą obalić senator Collins, powinni poszukać w Maine kogoś podobnego do Mamdaniego. Co zatem zrobił przywódca Demokratów w Senacie, 75-letni Chuck Schumer? Otóż osobiście namaścił na kandydatkę 78-letnią Janet Mills, obecną gubernator stanu. Gdyby wygrała, ustanowiłaby nowy geriatryczny rekord kraju – jeszcze nikt w 250-letniej historii USA nie debiutował w Senacie w tak podeszłym wieku.

Wtedy do akcji wkroczył Dan Moraff, którego można by nazwać partyjnym aparatczykiem – od lat prowadzi kampanie różnych kandydatów Partii Demokratycznej w całej Ameryce. Ale jest to aparatczyk zbuntowany, który walczy z establishmentem i uważa, że minął czas stetryczałych zawodowych polityków, którzy już dawno zapomnieli, co to normalne życie, a może nawet nigdy tego nie wiedzieli, bo po studiach na Harvardzie czy Columbii od razu wystrzelili w górę po władzę i pieniądze.

Teraz, przekonuje Moraff, potrzebni są ludzie z krwi i kości, którzy żyją, wyglądają i mówią tak jak ich wyborcy. Do pewnego stopnia takim kandydatem był przecież sam Trump, niby miliarder, ale z niewyparzonym językiem, czasami zabawny i rubaszny, nieudający ideału i zaprzyjaźniony z gwiazdami porno. Mając to z tyłu głowy, Moraff intensywnie poszukuje więc demokratycznych kandydatów nowego typu, aby ich wypromować.

W 2025 r. razem z grupką współpracowników przeglądał profile setek osób z Maine, m.in. na forach internetowych i na Discordzie, aż wpadł im w oko niejaki Graham Platner, 40-letni weteran wojen w Iraku i Afganistanie. I to prawdziwy weteran, który siedział za ciężkim karabinem maszynowym, a nie jakiś urzędas w mundurze, który w bazie wojskowej w Bagdadzie czy Kabulu przekładał biurowe papiery. Platner poznał wojnę nawet za dobrze; po powrocie wpadł w depresję, rozpił się i nadużywał leków.

Dopiero po paru latach zaczął wychodzić na prostą. Zajął się hodowlą ostryg, które dostarcza do restauracji swojej matki. Jego zawód to skrzyżowanie farmera i rybaka – młode ostrygi umieszcza w wielkich koszach przy brzegu Atlantyku, zwykle w jakiejś zatoce, a po mniej więcej dwóch latach wyławia dorosłe i gotowe do spożycia. W tym sensie jest doskonałym everymanem – wszak cała gospodarka stanu Maine stoi na owocach morza. Nie ukończył studiów, ma zdecydowanie lewicowe poglądy, ale nie jest jakimś poprawnym politycznie, progresywnym aktywistą, lecz ma, sądząc z wpisów w internecie, tzw. zdroworozsądkowe podejście.

Rok temu w pewien lipcowy poranek Moraff i jego narzeczona pojawili się przed domem Platnera i bez żadnej zapowiedzi zapukali do jego drzwi. Wpuścił ich, ale kiedy usłyszał, że chcą z niego zrobić „autentycznego kandydata ludzi pracy", uznał, że to najdziwaczniejsza propozycja w całym jego życiu. Kilka tygodni później ogłosił, że staje do walki o nominację na kandydata na senatora w stanowych prawyborach Partii Demokratycznej.

Pierwsze miesiące kampanii były znakomite – Platner potrafił rozmawiać z ludźmi, świetnie przemawiał i budził sympatię. Jako człowiek spoza układów był wiarygodny, kiedy mówił, że elity finansowo-polityczne dbają tylko o swoje interesy. Dopiero potem „autentyczny kandydat ludzi pracy" okazał się za bardzo autentyczny.

Zawodowi politycy pieczołowicie budują swój wizerunek, np. ich wpisy w internecie są przygotowywane lub wygładzane przez piarowców. Platner prowadził bujne życie w realu i w necie. Na internetowych forach przechwalał się sukcesami w podrywaniu dziewczyn w barach. Miał wiele partnerek – niektóre opowiadały, że był mało dżentelmeński lub nawet „toksyczny". Jedna ujawniła, że miał na klatce piersiowej wytatuowaną trupią czaszkę i piszczele, ułożone jak w symbolu dywizji SS Totenkopf, która po ataku hitlerowskich Niemiec na ZSRR wsławiła się wyjątkowym okrucieństwem.

Platner tłumaczył, że jego wpisy są z czasów, kiedy przechodził depresję i popadł w alkoholizm. Teraz jest zupełnie innym człowiekiem. A tatuaż podobno zrobił sobie po pijaku w Chorwacji i nie wiedział, jakie jest jego historyczne znaczenie. Gdy się dowiedział, zamazał symbol SS innym tatuażem.

Niektórzy prominentni Demokraci z Waszyngtonu domagali się ustąpienia Platnera. Ale np. senator Bernie Sanders go bronił, twierdząc, że „w Senacie nie ma ludzi świętych". A Moraff przekonywał, że skandale są dziś bez znaczenia, bo inaczej Trump nie zostałby prezydentem.

Autentyczny kandydat ani myślał ustępować; powtarzał, że skorumpowane elity próbują go zniszczyć, bo chce służyć wyborcom takim jak on, a nie miliarderom i koncernom, które sponsorują zawodowych polityków. Przez prawybory Demokratów przeszedł jak burza; 78-letnia gubernator Mills wycofała się jeszcze przed głosowaniem. Pod koniec czerwca wyprzedził w sondażach senator Collins.

Pojawiły się jednak nowe problemy, Zaczęło brakować pieniędzy na kampanię, bo bogaci darczyńcy nie podzielali entuzjazmu „zwykłych wyborców". Niektórzy pracownicy sztabu Platnera zrezygnowali. Kandydat wydzwaniał do byłych dziewczyn i prosił o milczenie.

Nadaremno. Na początku lipca jedna z nich ogłosiła, że Platner – kiedy już nie byli razem – nawiedził ją pijany którejś nocy i zgwałcił. Oskarżenia były wiarygodne, bo już dawno opowiedziała to terapeucie i nowemu partnerowi. Ostatecznie Platner wycofał się z wyborów. Nie z powodu gwałtu, któremu kategorycznie zaprzeczył, ale dlatego, że „partyjne elity" i „media" uwzięły się na niego. Demokraci z Maine mają dwa tygodnie, żeby znaleźć awaryjnego kandydata

Czy można było tego uniknąć? Niektórzy twierdzą, że tak, gdyby Moraff wynajął jedną z firm prześwietlających przeszłość kandydatów. Nie miał jednak wielkiego budżetu, a był entuzjastycznie nastawiony do Platnera. Jak widać, Demokraci wciąż się nie odnajdują w nowych realiach politycznych. Sukces Mamdaniego – osiągnięty wbrew partyjnym elitom! – był raczej anomalią.

Republikanie znacznie sprawniej podłączyli się pod „gniew przeciw elitom". Za Trumpem przyszła fala „autentycznych kandydatów" takich jak Marjorie Taylor Greene, trenerka fitness z Georgii, czy Lauren Boebert, właścicielka restauracji z Kolorado – obie wybrano do Kongresu. Nawet wiceprezydent J.D. Vance, który studiował prawo na Yale, rozreklamował się jako „sierota z biednej robotniczej rodziny z prowincjonalnego miasteczka w Ohio".

Elity Demokratów takich kandydatów nie chcą. Zdarzają się buntownicy, którzy – jak Moraff – szukają „nowych twarzy" w osobliwych castingach. Jak jednak pokazał przypadek Platnera, bywa to ryzykowne. ■

eprasa.pl 742e21c9af

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

Wieczne wątpliwości

ADHD to znacznie więcej objawów niż na liście z podręcznika – mówi psychiatra dr hab. n. med. Jarosław Jóźwiak.

AGNIESZKA GIERCZAK-CYWIŃSKA: **– Hiperaktywność, impulsywność, problemy z koncentracją – głównie te trzy objawy wiąże się z ADHD. Lista jest zamknięta?**

JAROSŁAW JÓŹWIAK: – Mimo że zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi opisano ponad 250 lat temu, wiedza na jego temat nadal nie jest uporządkowana. Te trzy oficjalne kryteria diagnostyczne nie oddają w pełni tego, z czym mierzą się pacjenci. Moim zdaniem często ważniejsza od nich jest np. dysregulacja emocji.

W badaniach klinicznych to nie wychodzi?

Musimy pamiętać, że jedna rzecz bardzo komplikuje sytuację – 51 proc. osób z tym zespołem się do nich nie kwalifikuje. Mają bowiem poważne problemy współwystępujące, takie jak depresja, zaburzenia lękowe, uzależnienia i inne. To oznacza, że wyniki badań musimy traktować z dużym dystansem, bo dotyczą jedynie wyselekcjonowanej części tej populacji.

Syndrom oszusta, problemy z prokrastynacją czy perfekcjonizmem, a także wysoka wrażliwość – do tej pory mówiło się o nich jako odrębnych problemach. A jednak wszystkie one występują również u osób z ADHD.

eprasa.pl 742e21c9af

Większości chorób i zaburzeń nie rozpoznajemy na podstawie jednej cechy, tylko zespołu objawów. Tak samo jest tutaj. Nie stwierdzamy: „Skoro człowiek się notorycznie spóźnia, to znaczy, że ma ADHD".

Jest jeszcze gorzej, bo objawem bywa także zjawianie się zawsze przed czasem. Przecież to się wyklucza.

Szczególnie kobiety z ADHD, które wykształciły maskę perfekcjonizmu, często przyjdą pół godziny przed czasem. Jeśli zapytamy: „Czy się pani spóźnia?", odpowiedzą: „Nie, nigdy". A w odpowiedzi na pytanie „A jak wcześnie musi się pani przygotować?", usłyszymy: „Jeżeli dziś o 18.00 mam spotkanie, to cały dzień jest podporządkowany temu, żeby na pewno zdążyć". To zaburzenie kontrastów: osoby z ADHD bardzo często lokują się na jednym z dwóch skrajnych biegunów danej cechy. To charakterystyczna, choć niekryterialna cecha tego zespołu.

Czy w psychiatrii istnieje jakieś inne zaburzenie lub choroba, która ma aż tyle różnych objawów?

Oczywiście. Chociażby schizofrenia. Słysząc wątpliwość w pani pytaniu, chcę zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz. W Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders ocenia się m.in. pewność rozpoznań, czyli na ile dana jednostka diagnostyczna rzeczywiście odpowiada praktyce klinicznej. Innymi słowy, ilu z dziesięciu psychiatrów, do których trafi pacjent, postawi mu to samo rozpoznanie. Najwyższą zgodność diagnostyczną mają otępienia. Prawie każdy psychiatra je rozpozna, widząc odpowiednie objawy. ADHD jest na drugim miejscu.

To paradoks, zważywszy wszystkie te wątpliwości i ogromną liczbę legend na temat tego zespołu. Nawet swoją książkę zatytułowałem „107 mitów o ADHD". Na marginesie: często najbardziej zainteresowane takimi treściami są osoby z ADHD, najczęściej jeszcze nieświadome swojego zaburzenia. Poza tym ten zespół to także wieczne wątpienie we wszystko.

Z czego ono wynika?

Można powiedzieć, że jednym z elementów ADHD jest nierównowaga działania dwóch szlaków dopaminowych – mezolimbicznego i mezokortykalnego. Pierwszy odpowiada za impulsywność i szybkość działania, a drugi za kreatywność, generowanie alternatyw i wątpliwości. Właśnie to może prowadzić do paraliżu decyzyjnego i trudności z wykonywaniem zadań. U człowieka bez ADHD oba szlaki pozostają w harmonii i równoważą się nawzajem. Pojawia się jakaś wątpliwość, ale i komunikat: „Powinienem to zrobić". Na przykład zastanawiam się nad kupnem samochodu: „Może ten nie jest najlepszy, ale jest lepszy od tamtego". I podejmuję decyzję.

Czy u osoby z ADHD zawsze jeden z tych szlaków, zawsze ten sam, jest dominujący?

Nie, to się zmienia. W różnych momentach życia można dokonywać wyborów gwałtownie, impulsywnie, a w innych wpadać w paraliż decyzyjny. Może to też dotyczyć różnych sfer życia, np. pracy, ale już nie życia osobistego. Są osoby z ADHD, które mają naturalną predyspozycję do dominacji jednego z tych szlaków, ale nadal jest to tylko predyspozycja.

To z powodu tej zmienności ADHD bywa mylone z chorobą dwubiegunową?

Tak naprawdę u wszystkich może dojść do takiej pomyłki, bo każdy ma okresy przełączania się między tymi stanami. Kiedy szlak mezokortykalny jest bardzo aktywny, cały czas generuje alternatywy. Niektórzy pacjenci mówią wtedy: „Mam mnóstwo głosów w głowie. Cały czas coś mi podpowiada: a może to, a może tamto...".

Dr hab. n. med. **Jarosław Jóźwiak** jest lekarzem, naukowcem, absolwentem WUM i Politechniki Warszawskiej. Od lat bada neurobiologię mózgu, publikuje m.in. w „The Lancet". W codziennej praktyce lekarskiej skupia się na pracy z pacjentami z ADHD, zaburzeniami osobowości oraz na psychiatrii perinatalnej.

To znów wygląda jak schizofrenia…

I miałem dwóch pacjentów, którzy trafili do mnie z takim rozpoznaniem, bo poprzednim lekarzom mówili, że słyszą głosy. A oni po prostu prowadzili nieustanną dyskusję sami ze sobą. Oczywiście bardzo często dochodzi także do pomyłek, że to depresja czy zaburzenia lękowe. Jak już jednak wspomniałem, osoby z ADHD często mają również zaburzenia współwystępujące.

Z czego to wynika?

Jeżeli ktoś ma ADHD i pojawiają się u niego objawy depresyjne, nie jesteśmy w stanie wykazać, czy wynikają z ADHD. Wiemy jednak, że u osób z zaburzeniami nastroju leczenie ADHD często ten nastrój poprawia. Można więc przypuszczać, że przynajmniej u części pacjentów objawy depresyjne są związane właśnie z ADHD. Weźmy osobę, która ma bardzo niski poziom energii, nie może zabrać się do wielu spraw, nie ma siły wyjść z łóżka czy napisać CV. Wszyscy mówią jej: „Weź się w garść", a ona bardzo by chciała, tylko nie jest w stanie. Nie możemy oczekiwać motywacji od kogoś, kto na poziomie biochemicznym ma za mało dopaminy. Możemy raczej wywołać stres, który uruchomi produkcję adrenaliny.

Problem polega na tym, że adrenalina nie została stworzona do działania przez tygodnie czy miesiące. Jej funkcją jest pomoc człowiekowi w ucieczce z płonącego budynku, a nie motywowanie go do napisania pracy magisterskiej, umówienia wizyty u lekarza czy wystawienia faktur. Dopóki tego nie zrobi, adrenalina będzie się sączyć i negatywnie wpływać na organizm.

Aby specjalista podjął się diagnozy ADHD, pacjent musi potwierdzić, że objawy wywołują u niego cierpienie. Czy można mieć ADHD i jednocześnie dobrze funkcjonować?

Oczywiście – dotyczy to ok. 30 proc. osób z ADHD. Ogromny wpływ ma środowisko. Ta sama osoba w jednym będzie cierpiała, a w innym nie. Dlatego zespół może ujawnić się dopiero po latach, kiedy zmieniają się okoliczności życia.

Potwierdzają to również najnowsze wyniki długofalowego badania Multimodal Treatment of Attention Deficit Hyperactivity Disorder. U mniej więcej dwóch trzecich uczestników objawy ADHD miały przebieg falujący – raz były nasilone, później spadały poniżej progu rozpoznania, by po pewnym czasie znów się nasilić. U ok. 10 proc. występowały przez całe życie, a u części z czasem wyraźnie się zmniejszyły. Ja jednak uważam, że często nie tyle znikają, ile zmienia się środowisko na takie, w którym ADHD przestaje być problemem.

Jest też wiele innych czynników środowiskowych, które nadal są słabo poznane. Część zależy od człowieka – jak wybór pracy. Na inne jednak nie ma on wpływu – choćby na ilość światła słonecznego czy zmiany hormonalne u kobiet.

Czy współczesny świat pogarsza sytuację? Może zwiększająca się liczba diagnoz ADHD to skutek przebodźcowania? Z drugiej strony, czy ono nie pogarsza stanu osób z ADHD?

Dopamina jest neuroprzekaźnikiem potrzebnym każdemu człowiekowi. U osoby z ADHD, która ma jej mniej, każde dodatkowe jej źródło działa znacznie silniej niż u osoby bez tego ▶

© HOODCKEVITZ

eprasa.pl 742e21c9af

▶ zaburzenia, więc bardzo łatwo wpaść w ciągłe jej poszukiwanie. W praktyce oznacza to, że osoby z ADHD znacznie częściej uzależniają się od mediów społecznościowych, gier komputerowych, telefonu, słodyczy i innych silnych źródeł tego neuroprzekaźnika. A czy współczesny świat generuje ADHD? Ta kwestia pozostaje przedmiotem debaty.

Z czego w takim razie wynika to, że osoby z ADHD często popadają w uzależnienie od alkoholu? On przecież raczej nie pobudza.

Ogromna większość osób z ADHD przez lata nie otrzymuje właściwej diagnozy. Dorasta z niewyjaśnionymi problemami, jest leczona z powodu różnych współistniejących zaburzeń. A jeśli kolejne leki i terapie nie pomagają, a czasem wręcz pogarszają sytuację, w pewnym momencie przestaje wierzyć, że cokolwiek może im pomóc. Zaczynają więc szukać sposobu na poprawę samopoczucia. A ponieważ nowość i ciekawość są źródłami dopaminy, łatwiej sięgają po substancje psychoaktywne. W przypadku alkoholu dodatkowo dochodzi jego działanie wyciszające – zmniejsza natłok myśli, napięcie psychiczne i społeczne.

Dzisiejsi 40-, 50- czy 60-latkowie nie mieli szansy wcześniej usłyszeć diagnozy.

Dlatego dziś coraz częściej rozpoznajemy ADHD u dorosłych, nawet u emerytów. Ale od razu zaznaczę, że liczba diagnoz w Polsce – mimo wzrostu świadomości w społeczeństwie – wciąż jest poniżej światowej średniej.

Niektóre badania wskazują, że ok. 30 proc. osób uzależnionych od alkoholu ma ADHD.

Nie odważyłbym się podawać konkretnych procentów. Powtórzę: moim zdaniem najważniejszym objawem ADHD jest dysregulacja emocji, która oficjalnie nie jest kryterium diagnostycznym. Nasze własne badania pokazują również, że szczególnie u mężczyzn istnieje bardzo silna zależność między jej nasileniem a uzależnieniami. Nie mamy jeszcze badań pozwalających postawić ostateczne wnioski, ale wydaje się, że wśród uzależnionych jest też duża grupa takich, których dziś nie możemy zdiagnozować jako osoby z ADHD. Gdyby jednak uwzględnić dysregulację emocji, mogłoby się okazać, jest to znacznie więcej niż 30 proc.

Czym jest dysregulacja emocji w kontekście ADHD?

To bardzo trudne pytanie. Ja jednak mimo wszystko chciałbym to zjawisko zdefiniować. W terapii dialektyczno-behawioralnej wskazuje się, że obejmuje ono trzy elementy. Po pierwsze, dużą wrażliwość emocjonalną. Po drugie, gwałtowne narastanie emocji w obie strony: kiedy coś mi się uda, myślę o sobie bardzo dobrze, a kiedy nie wyjdzie, od razu jestem najgorszy. I po trzecie, zaleganie emocji: przypominają mi się różne sytuacje sprzed lat i nadal się na myśl o nich czerwienię. Russell Barkley, jeden z najwybitniejszych badaczy ADHD, uważa dysregulację emocji za kluczowy objaw tego zaburzenia. Potwierdza to ankieta, którą przeprowadziliśmy wśród naszych pacjentów – przez 33 proc. badanych została ona wskazana jako objaw najbardziej negatywnie wpływający na życie.

W jaki sposób?

Najczęstszym problemem są relacje. Kiedy odchodzi partner lub partnerka, osoby z ADHD przeżywają to znacznie silniej. Świat może im się wtedy całkowicie zawalić. Zdarza się, że ci, którzy wcześniej nigdy się nie samookaleczali ani nie podejmowali prób samobójczych, po rozstaniu to robią.

A z drugiej strony mówi się też, że osoby z ADHD często dobierają się w pary, podobnie jak przyjaźnią się ze sobą.

Tak. Podobnie jest w pracy. Jeżeli przedsiębiorca z ADHD sam rekrutuje pracowników, to bardzo często zatrudni osoby z tym zaburzeniem, bo najlepiej mu się z nimi rozmawia podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

To kwestia podobnej wrażliwości?

Tak. Tyle że nie ma na ten temat badań, to już moja interpretacja.

Przybywa również diagnoz AuDHD, czyli ktoś może mieć cechy zarówno typowe dla ADHD, jak i spektrum autyzmu (ASD). Oba zaburzenia wydają się bardzo odległymi biegunami.

Niedawno ukazały się na ten temat dwa duże badania genetyczne. Wskazują, że geny zwiększające predyspozycję do ADHD i ASD są takie same lub bardzo podobne. Rzeczywiście coraz częściej rozpoznaje się AuDHD, ale sposób interpretacji wyników pojawiających się badań nadal pozostaje przedmiotem dyskusji.

Czy każda osoba, która odczuwa cierpienie związane z ADHD, powinna stosować leki?

Nie. One są tylko jedną z metod pomocy. Terapia ADHD obejmuje różne sposoby wspierania pacjenta i zawsze powinna być dopasowana indywidualnie. Dlatego najpierw pytam: „Co najbardziej panu lub pani przeszkadza?". Jednocześnie międzynarodowe wytyczne są zgodne co do tego, że farmakoterapia jest skutecznym elementem leczenia ADHD. Potwierdzają to również wyniki badania MTA, na które powołuje się większość lekarzy.

Ludzie się jednak leków boją. A co z amfetaminą?

Powiedzmy to wprost: amfetamina jest stosowana w ADHD, w Polsce dostępne są dwa leki, które ją zawierają. Inny podstawowy lek to jej pochodna, więc mechanizm działania jest bardzo podobny. Trzeba tylko zrozumieć jedno. Jeżeli ktoś ma niedobór dopaminy i noradrenaliny, lek pomaga wyrównać ich poziom. Osoba bez niedoboru będzie zaś miała więcej energii i większą motywację do działania, ale wykonanie zadań stanie się dla niej trudniejsze.

Nie ma tu niebezpieczeństwa uzależnienia?

Tego typu leki są stosowane na świecie od 1937 r. i do niedawna przepisywano je głównie dzieciom. To jedne z najlepiej poznanych i stosunkowo bezpiecznych leków, choć słowo „amfetamina" brzmi strasznie. Istotna jest tu jednak nie tylko dawka substancji, lecz także sposób jej zażycia. Jeżeli ktoś wciągnie amfetaminę nosem, bardzo szybko trafi ona do mózgu i – mówiąc obrazowo – cały „zaleje". Kiedy lek jest przyjmowany doustnie, amfetamina uwalnia się stopniowo. Wszystkie nowoczesne leki stymulujące stosowane w ADHD są projektowane właśnie w taki sposób – żeby działały możliwie płynnie i nie powodowały gwałtownego wzrostu stężenia w organizmie. Istnieją preparaty metylofenidatu i amfetaminy o krótkim czasie działania, ale wszystkie wytyczne zalecają, by – jeśli to możliwe – wybierać preparaty o dłuższym i bardziej stabilnym działaniu.

Ludzie biorą leki całe życie?

Kiedyś prowadziłem szkolenie o ADHD chyba dla kuratorium. Wstała nauczycielka i zapytała: „Panie doktorze, co dzieje się z ludźmi, którzy bardzo długo przyjmują te leki? Jaki mają wpływ na zdrowie?". Odpowiedziałem: „Proszę pani, nie wiemy. Nikt długo tych leków nie przyjmuje, bo to są osoby z ADHD".

Dlaczego rezygnują?

Bo ADHD to wieczne wątpienie we wszystko.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA GIERCZAK-CYWIŃSKA

eprasa.pl 742e21c9af

Wszechświat klatka po klatce

Kosmiczna podróż przez miliardy lat i miliony gigabajtów danych. I niezwykła solidarność pokoleń badaczy. O programie Legacy Survey of Space and Time opowiada astrofizyczka prof. Agnieszka Pollo.

Czyste niebo nad Vera C. Rubin Observatory w Chile. Zdjęcie wykonane nocą w świetle księżyca i widocznych miejsc zamieszkania (przy długim czasie naświetlania).

© RUBINOBS/NOIRLAB/SLAC/NSF/DOE/AURA/B. QUINT

TOMASZ ROMAN TARNAWSKI: **– Czy czeka panią 10 lat nocnych dyżurów przy komputerze?**

AGNIESZKA POLLO: – To prawdopodobne.

Będzie pani oglądać film o wszechświecie, który powstaje w Vera C. Rubin Observatory w Chile?

Można tak powiedzieć. *(śmiech)* Właśnie rozpoczął się program Legacy Survey of Space and Time (LSST), czyli przegląd blisko połowy sfery niebieskiej. Bardzo szybko poruszająca się największa szerokokątna kamera na świecie będzie przez dekadę co trzy dni skanować południowe niebo. Ma bardzo duże pole widzenia, odpowiadające ok. 40 powierzchniom Księżyca, a teleskop może bardzo szybko przesuwać się między kolejnymi obszarami. Z jednej strony otrzymamy film pokazujący, jak obiekty pojawiają się, znikają i przemieszczają na niebie, a z drugiej – zsumowane obrazy tego, co na niebie jest stałe.

Jak odległe obiekty będzie można zobaczyć?

Pamiętajmy, że obserwując odległy wszechświat, podróżujemy nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Nie spodziewałabym się, że dzięki LSST zajrzymy aż do epoki formowania się pierwszych galaktyk. Tu lepiej sprawdza się Kosmiczny Teleskop Jamesa Webba, który jednak obserwuje tylko małe fragmenty nieba. LSST zarejestruje pewnie tylko pojedyncze rekordowo odległe obiekty. Za to wszechświat sprzed ok. 12 mld lat powinniśmy poznać znacznie bardziej szczegółowo, niż to możliwe dziś.

Równie ważne – a może nawet ważniejsze – jest to, że we wszechświecie istnieje wiele obiektów położonych znacznie bliżej nas, ale bardzo słabych. Przykładem są galaktyki karłowate. Od lat toczy się dyskusja, ile ich naprawdę jest i czy rzeczywiście mniej, niż przewiduje teoria, czy tylko nie byliśmy jeszcze w stanie ich dostrzec. Mamy nadzieję, że LSST pomoże wyjaśnić tę zagadkę. Wraz z moim zespołem szczególnie liczymy na obserwacje galaktyk o niskiej jasności powierzchniowej.

Przewodniczy pani polskiemu konsorcjum, które jest częścią tego projektu.

Tak. Nie jesteśmy bezpośrednio zaangażowani – przynajmniej na razie – w obsługę teleskopu. Tworzymy za to oprogramowanie do konkretnych zadań, główny nasz wkład to centrum danych, które powstaje właśnie w Narodowym Centrum Badań Jądrowych.

Teleskop będzie generować każdej nocy ok. 10 terabajtów danych. Po 10 latach uzbiera się ich około 30 mln gigabajtów. Jak zamierzacie opanować ten cyfrowy potop?

Nadal się nad tym zastanawiamy, bo to wyzwanie, z jakim astronomia jeszcze się nie mierzyła. Wiemy już, że jesteśmy w stanie odczytać dane z teleskopu, zapisać je, przesłać. Sama analiza ▶

eprasa.pl 742e21c9af

▶ przebiega wieloetapowo. Część danych jest przetwarzana już przy teleskopie. Tam też rozpoczyna się proces selekcji tzw. zjawisk przejściowych. Mamy więc podział na dane dostępne natychmiast oraz statyczne, pochodzące z długotrwałych obserwacji. Mniej więcej raz w roku będą publikowane kolejne pakiety danych dostępnych dla uczestników konsorcjum.

W naszej polskiej bazie nie będziemy przechowywać wszystkich danych. Na początek zajmiemy się tymi statycznymi. Pierwotnie zakładaliśmy, że będą to przede wszystkim wyniki pomiarów, czyli ogromne tabele. Tymczasem technologia poszła do przodu i dziś wszyscy chcą mieć również dostęp do obrazów. Musimy więc zdecydować, jakie obrazy udostępniać, żeby nie utonąć w danych, a jednocześnie umożliwić prowadzenie przełomowych badań.

Skoro przez 10 lat będzie powstawał film, klatka po klatce, ile będzie trwał po złożeniu?

Jedna klatka odpowiada ok. 15–30 sek. obserwacji – i tak co noc, co 40 sek. nowa klatka przez 10 lat. Nie jestem pewna, czy jakiekolwiek kino zgodzi się wyświetlać taki film. Nawet jeśli kina będą jeszcze istnieć.

Przygotowania trwały ok. 15 lat. To standard w astrofizyce?

Dłużej! Projekt zaproponowano w 2001 r., a myślano nad nim oczywiście wcześniej. Nasz polski udział zaczęłam planować ok. 2010 r. i już wtedy było dla mnie jasne, że warto. Tak duże przedsięwzięcia astronomiczne faktycznie planuje się zwykle w perspektywie ok. 30 lat. Jeżeli uda się je zrealizować w 20 lat, to jest szybko. Jeśli w 10 – błyskawicznie. Powodów jest kilka. Przede wszystkim budowa nowych instrumentów zawsze wiąże się z opracowaniem nowych technologii. Trzeba je najpierw wymyślić, później rozwinąć, a tymczasem przekonać decydentów, że warto w nie zainwestować. To przedsięwzięcia, które w zasadzie przekazuje się kolejnym pokoleniom badaczy.

Nie jest to przygnębiające?

Sądzę, że raczej inspirujące i budujące. Pokazuje, że wśród uczonych istnieje międzypokoleniowa solidarność. Choć pewnie każdy z nas ma nadzieję, że jednak doczekamy budowy tych instrumentów, które wymyślamy dziś. A może medycyna pójdzie do przodu i za 30–40 lat nadal będziemy młodzi, pełni energii i entuzjazmu? *(śmiech)*

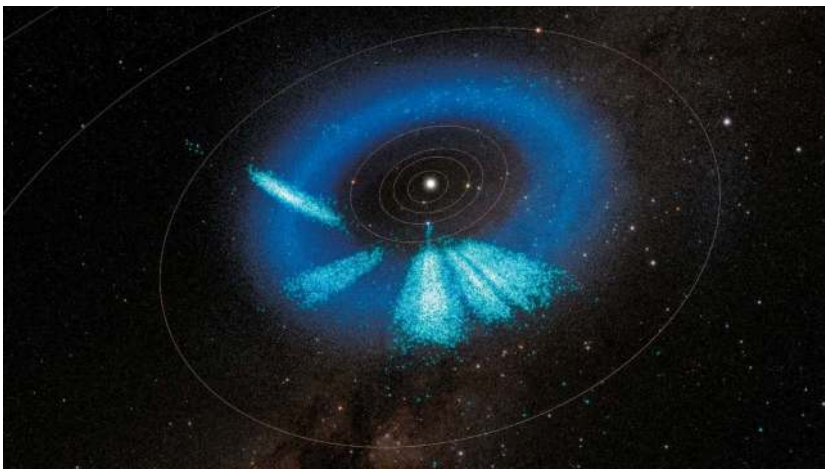

Model Układu Słonecznego z asteroidami odkrytymi przez Vera C. Rubin Observatory w 2025 r.

Vera C. Rubin Observatory zbudowano z myślą o LSST?

Tak.

Dlaczego w Chile?

Jeżeli dziś chcemy budować teleskopy najwyższej klasy, to wybór miejsc na Ziemi jest bardzo ograniczony. Potrzebujemy miejsca położonego wysoko nad poziomem morza, aby warstwa atmosfery była jak najcieńsza. Dużej liczby pogodnych nocy. Najlepiej z dala od miast, aby sztuczne światło nie pogarszało jakości obserwacji. Musi być sucho, żeby para wodna jak najmniej przeszkadzała w obserwacjach. No i jeszcze szczególnych warunków atmosferycznych, które zapewniają jak najmniejsze rozmycie obrazu. Najlepsze warunki zapewniają dwa regiony – poza górami w Chile są to Hawaje.

Dlaczego astronomowie potrzebują aż tak długotrwałych obserwacji?

Przede wszystkim dlatego, że nikt wcześniej czegoś takiego nie zrobił. Obserwacje zmienności nieba prowadzi się w zasadzie już od starożytności. Najczęściej jednak chodzi o pojedyncze obiekty albo niewielkie fragmenty nieba. Tu po raz pierwszy będziemy mieli systematyczny przegląd wszystkiego, co na południowym niebie się nagle pojawia, porusza albo zmienia jasność.

Jest też argument, który dobrze trafia do wyobraźni. Powstało wiele filmów o asteroidzie czy komecie zmierzającej ku Ziemi i o końcu świata. Taki scenariusz wcale nie jest nierealistyczny. W historii naszej planety asteroidy wielokrotnie w nią uderzały i prędzej czy później to się zdarzy ponownie. Tymczasem do dziś nie istnieje program systematycznego monitorowania całego nieba pod kątem obiektów zbliżających się do Ziemi. Wiele obserwatoriów prowadzi takie poszukiwania na mniejszą skalę, ale nadal od czasu do czasu słyszymy o obiekcie, który wcześniej niezauważony przeleciał bardzo blisko naszej planety.

LLST blisko połowę nieba będzie stale monitorować także pod tym kątem. Zbliżające się do Ziemi asteroidy będzie można wykrywać skuteczniej i wcześniej. Zresztą już w pierwszych danych testowych odkryto prawie 4 tys. nowych asteroid. Spodziewamy się więc, że nasza wiedza o małych ciałach Układu Słonecznego bardzo się poszerzy.

Na liście obiektów, o których wiemy, że są zmienne, ale nie znamy dobrze ich długoterminowego zachowania, są m.in. kwazary. Kolejna ciekawa kategoria to zjawiska, które pojawiają się nagle, a potem zanikają, takie jak supernowe czy kilonowe – związane ze źródłami fal grawitacyjnych.

Jednym z głównych celów LSST jest badanie ciemnej materii i ciemnej energii. Może w końcu dowiemy się, z czego składa się 95 proc. wszechświata.

A może się okaże, że wcale nie jest to 95 proc. Być może będziemy musieli zmienić cały model kosmologiczny.

Wspomniała pani o galaktykach o niskiej jasności powierzchniowej. Dlaczego są tak ważne?

Przede wszystkim dlatego, że nadal wiemy o nich bardzo niewiele, choć pierwsze odkrywano jeszcze w latach 80. XX w. Już wtedy pojawiały się pytania, dlaczego mają tak niską jasność powierzchniową i wydają się tak rozciągnięte, bardziej „rozsmarowane" w przestrzeni niż typowe galaktyki. W ostatnich kilkunastu latach zaczęliśmy znajdować ich coraz więcej. Prawdopodobnie jest ich naprawdę bardzo dużo. Im głębsze i dokładniejsze obserwacje prowadzimy, tym więcej takich obiektów odkrywamy. Według niektórych symulacji mogą stanowić nawet połowę wszystkich galaktyk we

© NSF–DOE VERA C. RUBIN OBSERVATORY/NOIRLAB/SLAC/AURA/R. PROCTOR, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 742e21c9af

wszechświecie. Przeważnie są to galaktyki karłowate, ale zdarzają sie obiekty o masie gwiazd porównywalnej z Drogą Mleczną. Ich łączna masa na pewno jest mniejsza niż jasnych galaktyk, ale ich udział w całkowitym „budżecie" materii we wszechświecie może nie być pomijalny.

Dlaczego to jest istotne? Naszą wiedzę o wielkoskalowej, zbudowanej z ciemnej materii strukturze wszechświata odtwarzamy przede wszystkim na podstawie rozmieszczenia galaktyk. Jeśli jednak znamy tylko ich część, pojawia się uzasadnione pytanie, czy uwzględnienie pozostałych nie zmieni naszego obrazu tej struktury i jej właściwości. Z obliczeń teoretycznych wynika, że powinno istnieć znacznie więcej małych halo ciemnej materii, niż wskazuje liczba obserwowanych słabych galaktyk, które w nich powstają. I właśnie tutaj pojawia się miejsce dla galaktyk o niskiej jasności powierzchniowej.

Nasuwa się też pytanie, skąd te galaktyki się wzięły. Zapewne istnieje kilka różnych scenariuszy ich ewolucji. I jeszcze jedna kwestia. Galaktyki te są bardzo wrażliwe również na własności samej ciemnej materii. Między innymi dlatego uznałam, że warto się nimi zajmować przez najbliższe lata. Klucz do zrozumienia wszechświata może znajdować się właśnie tam, gdzie prawie nic nie widać.

Jakich kłopotów spodziewacie się podczas realizacji tego projektu?

Jeśli chodzi o pogodę, to nie przewidujemy większych problemów. Chyba że klimat zmieni się tak, że nawet w Chile przestanie dopisywać. Perturbacje polityczne oznaczać mogą mniej pieniędzy, a z problemami niedofinansowania nauki mierzymy się dziś wszyscy – zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Polsce. Jeżeli zaś chodzi o kwestie inżynieryjne, to jak na tak skomplikowany projekt wszystko dotąd przebiega niemal idealnie.

Ale oczywiście wyzwań jest nadal sporo. Mamy unikalną kamerę i bardzo duży teleskop z zaawansowaną optyką, które trzeba utrzymywać, czyścić i okresowo odnawiać. Wyzwania tego typu są nieodłącznym elementem eksploatacji tak skomplikowanego instrumentu. Może się zdarzyć, że od czasu do czasu konieczny będzie przestój, ale zakładamy, że możliwie krótki. Bo przecież wszyscy czekają na dane.

Kto konkretnie będzie miał do nich dostęp?

Projekt realizują instytucje amerykańskie, chilijskie oraz partnerzy międzynarodowi, przeważnie zrzeszeni w krajowych konsorcjach, jak w przypadku Polski. Każdy partner międzynarodowy ma swoją pulę użytkowników posiadających prawa dostępu do danych. W naszym wypadku to ponad 80 osób. Użytkownicy mają dostęp do danych bezpośrednio z głównego centrum danych w USA i z międzynarodowych baz danych, m.in. naszej polskiej. Dane będą ogromne, dlatego nadal trwa dyskusja, które warto analizować na miejscu, a które przesyłać do innych ośrodków. Użytkownicy przez dwa lata po zebraniu danych mogą publikować wyniki badań, ale nie wolno nam udostępniać samych danych. Po tym terminie dane staną się publiczne, ale nie oznacza to, że wiemy już, czy i jak je szerszej społeczności udostępnić, bo to też wymaga niemałych zasobów.

To przykład demokratyzacji nauki?

Tylko częściowo. Wiele osób, w tym pomysłodawcy projektu, jest zdania, że dane powinny być dostępne możliwie szeroko, bo im więcej osób z nich korzysta, tym więcej dokonuje się odkryć. A danych będzie tyle, że pracy naukowej wystarczy dla wszystkich. Jednak obowiązują określone zasady, więc ta otwartość będzie miała swoje granice.

Przy tak ogromnych zbiorach danych nie uciekniemy od metod uczenia maszynowego i sztucznej inteligencji. To zaś oznacza potrzebę przygotowania odpowiednich katalogów treningowych i oznaczania danych. Dlatego intensywnie rozwijają się projekty typu Citizen Science, czyli nauki obywatelskiej. Każdy będzie mógł obejrzeć wybrane dane, oznaczać obiekty i w ten sposób uczestniczyć w badaniach. Uważam to za bardzo ciekawą formę demokratyzacji nauki. Takie oznaczanie obiektów naprawdę wciąga, trochę jak gra komputerowa, ale przy okazji istnieje szansa, że zupełnie niezwiązany z astronomią uczestnik tej „gry" natrafi na coś zupełnie nowego. I wtedy może niespodziewanie stać się odkrywcą nieznanego wcześniej obiektu czy zjawiska. Liczymy na to, bo do analizy tak ogromnej ilości danych potrzeba znacznie więcej astronomów, niż obecnie jest na świecie.

Jakie tutaj dostrzega pani zagrożenia?

Jednym z nich jest to, że ludzie mają tendencję do traktowania metod uczenia maszynowego jak czarnej skrzynki. Wrzucamy dane, wyciągamy wynik i zakładamy, że jest prawdą. Tymczasem algorytm nie zwraca prawdy, a tylko to, do czego został zaprojektowany i czego został nauczony. Dlatego musimy bardzo świadomie projektować metody, uczyć sztuczną inteligencję i dokładnie wiedzieć, czego od niej oczekujemy.

Mówimy o zbyt mało krytycznej analizie i pochopnym wyciąganiu wniosków?

Tak. Jeśli mamy wynik – jakikolwiek, ale szczególnie niespodziewany – pierwszym odruchem powinno być sprawdzenie, czy nie kryje się za nim jakiś błąd. I choć bywa to frustrujące, może być również naprawdę fascynujące.

Na co pani osobiście najbardziej liczy w tym projekcie?

Na coś, czego w tej chwili zupełnie się nie spodziewam – jeżeli coś przewiduję, nie jest to już tak ekscytujące. Liczę, że znajdziemy coś, co zmieni nasz obraz wszechświata na tyle, że będziemy musieli zacząć rozwiązywać jego zagadki w zupełnie nowy sposób.

Czyli żeby przyszłym astronomom nie zabrakło pracy?

Rzeczywiście dbam o kolejne pokolenia, ale też o to, żebyśmy my nadal mogli czerpać intelektualną przyjemność z tego, co robimy. Ostatecznie nauka przypomina układanie puzzli. Tyle że nie wiemy, jak obraz wszechświata wygląda, a do dyspozycji mamy tylko niewielką część elementów układanki.

ROZMAWIAŁ TOMASZ ROMAN TARNAWSKI

Prof. dr hab. **Agnieszka Pollo** jest zastępczynią ds. naukowych dyrektora Narodowego Centrum Badań Jądrowych. Bada galaktyki i strukturę wielkoskalową wszechświata. Przewodzi konsorcjum uczestniczącemu w projekcie Legacy Survey of Space and Time, w którego skład poza NCBJ wchodzą Centrum Fizyki Teoretycznej PAN, Centrum Astronomiczne im. M. Kopernika PAN, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu, Uniwersytet Warszawski i Uniwersytet Wrocławski.

eprasa.pl 742e21c9af

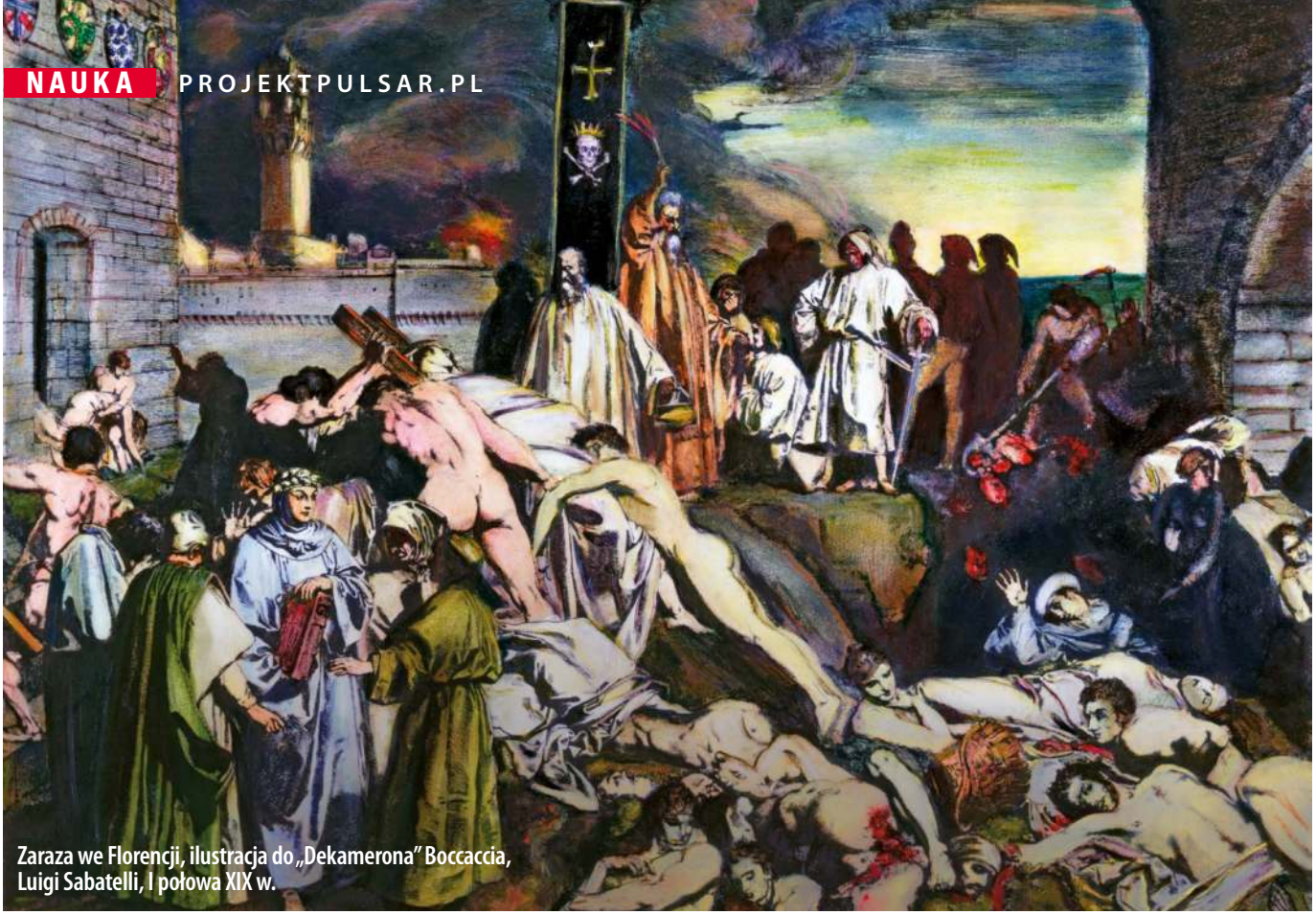

Zaraza we Florencji, ilustracja do „Dekamerona" Boccaccia, Luigi Sabatelli, I połowa XIX w.

Zielone ślady czarnej śmierci

W połowie XIV w. pandemia dżumy zabiła w Europie dziesiątki milionów ludzi. Zmieniła też środowisko naturalne. Powrót do stanu sprzed epidemii zajął przyrodzie niemal dwa stulecia.

ANDRZEJ HOŁDYS

W 1347 r. do śródziemnomorskich portów wpływały statki handlowe przewożące towary, które trudno uznać za niezwykłe: worki ze zbożem, bele tkanin, jakieś beczki. Rozładunek przebiegał jak zawsze. Tragarze znosili towar na ląd, kupcy targowali się o ceny, urzędnicy liczyli ładunek i pobierali opłaty. A gdzieś pod pokładem, między linami i skrzyniami, krzątały się szczury śniade. Ich pchły przewoziły niewidocznego pasażera, za sprawą którego doszło do najbardziej zabójczej epidemii w historii ludzkości.

W Wenecji pierwsze zgony odnotowano mniej więcej dwa miesiące później. Wkrótce choroba pojawiła się również w Genui i Pizie, a w pierwszych miesiącach 1348 r. rozpełzła się po całym Półwyspie Apenińskim. Z kolejnych miast napływały podobne wiadomości: gorączka, obrzęki, śmierć i opustoszałe ulice. W ciągu następnych pięciu lat zaraza, którą później nazwano czarną śmiercią, rozlała się po znacznej części Europy, zachodniej Azji i Afryki Północnej.

Przed epidemią nasz kontynent zamieszkiwało prawdopodobnie ok. 75 mln ludzi. Kilka lat później mogło ich pozostać ok. 50 mln, choć historycy do dziś spierają się o dokładne liczby i regionalne różnice. Według niektórych szacunków populacja Europy mogła się zmniejszyć nawet o połowę. Niektóre miasta straciły większość mieszkańców. Wenecki kronikarz oceniał straty miasta na ponad trzy czwarte jego ludności. Giovanni Boccaccio, który w „Dekameronie" zdał szczegółową relację z dramatycznego przebiegu epidemii we Florencji, pisał, że od marca do czerwca 1348 r. „więcej niż sto tysięcy mieszkańców straciło życie". Po zarazie „świat wydawał się niezamieszkany" – zauważano.

Intuicja podpowiada, że Europa, która w ciągu kilku lat straciła tak wielu mieszkańców, powinna stać się bardziej zielona. Opuszczone pola, na których nie było komu pracować, miałyby zamienić się w schronienie dla dzikich roślin i zwierząt, a zniknięcie ludzi zapoczątkowałoby proces odradzania się naturalnej przyrody, przez stulecia ustępującej miejsca polom, pastwiskom i ludzkim siedzibom. Tak się rzeczywiście stało w wielu regionach, choć nie do końca w sposób, którego się spodziewano. Średniowieczna przyroda napisała inny scenariusz.

© BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 742e21c9af

Zespół Jonathana Gordona z University of York zajrzał nie do kronik, lecz do osadów jeziornych i torfowisk. Rok po roku odkładały się w nich pyłki roślin powszechnie rosnących w najbliższej okolicy. Dane pochodzące ze 109 stanowisk w całej Europie pozwoliły odtworzyć zmiany różnorodności gatunkowej przed i po czarnej śmierci. Wcześniej ci sami badacze przeanalizowali dziesiątki tysięcy próbek pyłków z niemal 1,8 tys. miejsc. „Co najmniej od środkowego holocenu – stwierdzili – działalność człowieka na kontynencie przyczyniała się do zwiększenia, a nie zmniejszenia bogactwa gatunków roślin".

Nie wynikało to z tego, że lasów nie ubywało – przeciwnie, karczowano je na ogromną skalę. Chodziło o coś innego. Średniowieczne rolnictwo było rozdrobnione: niewielkie pola przeplatały się z łąkami, pastwiskami, zagajnikami, mokradłami, oczkami wodnymi i nieużytkami oraz oczywiście drogami i osadami. W takim mozaikowym krajobrazie dobrze odnajdywały się rośliny.

A później nadszedł XIV w. Czarna śmierć zabrała nie tylko ludzi, lecz także ich aktywność, a przecież w tamtych czasach 80–90 proc. mieszkańców Europy mieszkało na wsi. W wielu miejscach przestano uprawiać pola, łąk nie koszono, pastwiska się kurczyły, a krajobraz, który przez stulecia wymagał nieustannego podtrzymywania, zaczął się zmieniać. Początkowo mogło to wyglądać jak odrodzenie przyrody: pojawiały się gatunki pionierskie, wkraczały krzewy, wyrastały młode drzewa. Gdy jednak lata zamieniły się w dekady, mozaika znikała. Las wracał, lecz bioróżnorodność malała – ustalili badacze.

W podsumowującym badania artykule w „Ecology Letters" zespół Gordona pisze, że w niektórych miejscach powrót do stanu sprzed epidemii mógł zająć przyrodzie 150–200 lat. Największe zmiany nastąpiły tam, gdzie zaraza szalała najbardziej, doprowadzając do wyludnienia się nie pojedynczych wsi, lecz całych rejonów wiejskich. „Nieszczęśliwi kmiecie marli na polach, drogach i w domach nie jak ludzie, ale jak bydlęta. Ludzie każdego dnia na śmierć czekali i nie przykładali nijakiej pilności do uprawy pól; przeciwnie, całkiem starali się roztrwonić płody swej pracy" – relacjonował Boccaccio w „Dekameronie" (przekł. Edward Boyé).

Nie wszędzie tak oczywiście było. Europa w zróżnicowany sposób przeszła przez zarazę. Podczas gdy jedne regiony utraciły znaczną część ludności wiejskiej, inne czarna śmierć oszczędziła, przy okazji ocalając mozaikowy krajobraz kulturowy. Wykazał to m.in. kilka lat temu międzynarodowy zespół, którym kierowali Adam Izdebski z Uniwersytetu Jagiellońskiego i Alessia Masi z Sapienza Università di Roma (pracują też w Max-Planck Institüt für Geoanthropologie w Jenie). Oni także postanowili sięgnąć po próbki pyłków roślin – łącznie przeanalizowali ich ponad 1,5 tys., a pobrali je z rdzeni wydobytych z 261 torfowisk i osadów jeziornych.

Założenie było proste: tam, gdzie ludzie masowo umierali, pola powinny znikać z krajobrazu, a ich miejsce miały zajmować zarośla i las. Tam, gdzie masowych zgonów nie było, zestaw pyłków – w tym pyłków zbóż, jeśli wokół znajdowały się pola orne – nie powinien się gwałtownie zmienić. Z badań faktycznie wyłonił się obraz Europy nierówno potraktowanej przez zarazę. Na przykład zdziesiątkowała ludność południowej części Półwyspu Skandynawskiego, ale nie zrobiła większej krzywdy mieszkańcom Europy Środkowej, którzy – jak sugerują badania – nadal uprawiali swoje pola, jakby nic się nie stało.

Jest jeszcze jeden sposób, by sprawdzić, co wydarzyło się po zarazie: zapytać drzewa. Na niewielkiej wyspie Montecristo na Morzu Tyrreńskim oraz w górach Aspromonte na południu Włoch badacze przyjrzeli się dębom. Tak starym, że pamiętającym średniowiecze, jak wykazały datowania wykonane przez zespół, którym kierował Gianluca Piovesan. Chociaż miejsca te dzieli 500 km, w obu stwierdzono wyraźną nadreprezentację drzew, które wyrosły w pierwszej połowie XV w. „Gdy presja człowieka na środowisko spadła gwałtownie i na długo, przyroda zareagowała bardzo szybko. Las powrócił w obu miejscach w ciągu kilku dekad. W strukturze wieku prastarych lasów śródziemnomorskich do dziś zachował się ślad po katastrofie demograficznej spowodowanej przez czarną śmierć" – napisali badacze w artykule opublikowanym w czerwcu w „PNAS".

Pałeczki dżumy istniały od dawna, a szlaki handlowe od stuleci łączyły Azję, Morze Czarne i Morze Śródziemne, dlaczego epidemia wybuchła akurat pod koniec lat 40. XIV w.? Okazuje się, że przyczynić mogła się przyroda nieożywiona. Badania genetyczne wskazują, że szczep odpowiedzialny za czarną śmierć mógł się pojawić najpierw na terenie dzisiejszego Kirgistanu. W pobliżu wielkiego śródgórskiego jeziora Issyk-kul znaleziono grobowce z lat 1338–39. W napisach wspomina się o nagłej zarazie, a analiza DNA ze szczątków siedmiu osób tam pochowanych potwierdziła obecność pałeczki dżumy. Stamtąd bakteria miała przesuwać się na zachód z ludźmi, towarami, gryzoniami i ich pasożytami wzdłuż szlaków handlowych. Dlaczego okazała się taka zabójcza?

Odpowiedź może się kryć w ciągu zdarzeń łączącym wulkany, klimat, klęskę głodu i handel zbożem – twierdzą klimatolog Ulf Büntgen z University of Cambridge i historyk Martin Bauch. W artykule w „Nature Communications Earth & Environment" dowodzą, że ok. 1345 r. doszło gdzieś na Ziemi do bardzo silnej erupcji wulkanicznej – albo nawet ich serii. Do stratosfery mogły trafić duże ilości związków siarki odbijających część promieniowania słonecznego. Epizod ten zapisał się w słojach drzew, a kronikarze z Włoch, Francji, Niemiec, ale też z Chin i Japonii, opisywali serię wyjątkowo chłodnych i mokrych lat.

Sama erupcja nie wywołuje pandemii. Może jednak osłabić społeczeństwo, zanim pojawi się śmiertelny wróg. Rekonstrukcje klimatu, którymi podpierają się Büntgen i Bauch, sugerują, że okres 1345–47 należał do wyjątkowo chłodnych w umiarkowanych szerokościach półkuli północnej. W ślad za chłodami i skróconym okresem wegetacyjnym przyszedł nieurodzaj, który objął m.in. znaczną część Hiszpanii, południowej Francji, północnych i środkowych Włoch oraz Egipt i Lewant – i być może inne regiony Europy, z których relacje się nie zachowały. Ceny żywności rosły, lokalne zapasy przestawały wystarczać, a zatem pod koniec 1346 r. w północnych Włoszech zaczęły się szerzyć głód i choroby, ale wśród nich nie było jeszcze dżumy. Aby zaradzić niedoborom zboża, Wenecja, Genua i Piza zaczęły je sprowadzać najpierw z południa Półwyspu Apenińskiego, a gdy to nie wystarczyło – z północnych wybrzeży Morza Czarnego i znad Morza Azowskiego, dzięki zawarciu wiosną 1347 r. rozejmu ze Złotą Ordą. Miało to uratować miasta przed głodem, a sprowadziło do nich śmiertelnie groźne bakterie. ■

eprasa.pl 742e21c9af

Socjalistyczna seksmisja

O emancypacji narzuconej odgórnie, podporządkowanej potrzebom gospodarki i ideologii opowiada dr Anna Dobrowolska, autorka wydanej w Oksfordzie książki o polskiej rewolucji seksualnej.

Wybory Miss Zimy Naturystów, marzec 1984 r. Obok: **artystyczne zdjęcia Zbigniewa Stokłosy zatytułowane „Od natury".**

MARCIN ZAREMBA: **– Gdzie szukać pierwszych zapowiedzi polskiej rewolucji seksualnej?**

ANNA DOBROWOLSKA: – Jednym z nieoczywistych wstrząsów była druga wojna światowa. Rozmontowała tradycyjne struktury rodzinne i wymusiła zmianę ról płciowych: kobiety przejmowały odpowiedzialność za utrzymanie rodziny, często także za podejmowanie decyzji, które wcześniej należały do mężczyzn. Rozpadały się małżeństwa rozdzielone przez obozy, przymusową pracę, emigrację. Wojna naruszyła przekonanie, że porządek rodzinny jest trwały i nienaruszalny. Po 1945 r. ludzie wracali do zupełnie innego świata. W takich warunkach łatwiej było zakwestionować dawne obyczajowe normy.

A zaraz po wojnie zalegalizowano rozwody.

To był ważny symptom. Małżeństwo potraktowano jako instytucję prawa cywilnego, nie religijnego. Nowe prawo rozwodowe dawało wolność dotychczasowym małżonkom i otwierało rozmowę o seksualności oraz autonomii jednostki.

Czyli ta rewolucja nie zaczęła się od swobody obyczajowej, ale od państwa, które zaczęło przebudowywać rodzinę?

eprasa.pl 742e21c9af

I dlatego stalinizm można uznać za jeden z etapów rewolucji seksualnej? Brzmi paradoksalnie, bo był przecież purytański.

To zależy, jak rozumiemy rewolucję seksualną. Jeśli na wzór zachodni – jako publiczne manifestacje seksualności, erotykę, młodzieżową kontrkulturę i swobodną dyskusję o seksie – stalinizm rzeczywiście do niej nie pasował. Był obyczajowo represyjny, nieufny wobec prywatności i purytański w języku. Ale jeśli spojrzymy na warunki życia kobiet, zobaczymy coś innego. Państwo wyciągało kobiety z domu: do fabryk, szkół, administracji, służby zdrowia. Dawało im zarobek, formalne prawa i społeczną widzialność. To nie była emancypacja liberalna ani feministyczna, lecz odgórna, podporządkowana potrzebom gospodarki i ideologii. A jednak właśnie ona podkopywała dawny model rodziny. W tej sprzeczności – między kontrolą ciała i języka a praktycznym przesuwaniem kobiet do przestrzeni publicznej – zaczyna się polska historia seksualnej nowoczesności.

Czy polska rewolucja miała swoje rewolucjonistki? Na Zachodzie motorem zmian był feminizm.

W Polsce ruch feministyczny rozwijał się zupełnie inaczej niż na Zachodzie. Wydaje się, że feministki zostały częściowo wyprzedzone przez państwo, które realizowało wiele postulatów feministycznych: otwierało dostęp do edukacji i zawodu. Organizacje kobiece, takie jak Liga Kobiet, działały pod parasolem partii i państwa, a nie przeciwko niemu. Ważną rolę w kształtowaniu dyskusji o prawach kobiet na rynku pracy czy prawie do aborcji odgrywał dyskurs ekspercki, a nie oddolny aktywizm. Emancypacja była w pewnych wymiarach odgórna i instrumentalna. Kobiety miały pracować nie dlatego, że uznano ich autonomię za wartość, lecz przede wszystkim dlatego, że potrzebowała ich gospodarka. Brakowało więc języka, który pozwalałby mówić z perspektywy kobiet o przemocy, nierównym podziale obowiązków czy prawie do przyjemności.

Czy ta rewolucja nie była wyspowa: Warszawa, Kraków, Sopot?

To spojrzenie z miejskiej perspektywy, tymczasem badania etnograficzne pokazują, że wieś bywała pod względem praktyki bardziej liberalna niż miasto. Seks przedmałżeński nie był tabu, dopóki nie kończył się ciążą. W 1967 r. 26 proc. kobiet biorących ślub było w ciąży. To pokazuje powszechność seksu przedmałżeńskiego, ale też trwałość wzorca małżeństwa.

W tytule pani książki pojawia się nowoczesność. Jak wyglądała w PRL?

Była horyzontem aspiracji. Seksuolodzy, edukatorzy i autorzy piszący o seksualności chcieli „unowocześnić" Polaków – dać im nowy język mówienia o ciele, małżeństwie i antykoncepcji. Nowoczesność oznaczała nie tylko lodówkę, pralkę czy mieszkanie w bloku, ale także przekonanie, że życie intymne można racjonalnie planować, konsultować z ekspertami i poprawiać. Wiele zachodnich impulsów przenikało do PRL wcześniej niż zwykle sądzimy. Nie były one kopiowane jeden do jednego, lecz tłumaczone na język socjalistycznej modernizacji: higieny, odpowiedzialnego rodzicielstwa i dobrze funkcjonującego małżeństwa.

A przecież pierwszy sekretarz PZPR Władysław Gomułka grzmiał, że pisma drukują „obrzydliwości".

To paradoks. W Polsce Gomułki prasa publikowała wiele tekstów o seksualności, często bardzo odważnych. Tygodnik przedruków z prasy zagranicznej „Forum" regularnie donosił o zachodniej rewolucji obyczajowej. Krytykowano ją z ciekawych pozycji: zwracano uwagę, że RFN promuje pigułkę

Anna Dobrowolska – dr historii, absolwentka Uniwersytetu Oksfordzkiego i Kolegium MISH Uniwersytetu Warszawskiego. Pracuje na Wydziale Historii Uniwersytetu w Bazylei, autorka książek „Zawodowe dziewczyny. Prostytucja i praca seksualna w PRL", „Nie tylko chałupy. Naturyzm w PRL" oraz „Polish Sexual Revolutions. Negotiating Sexuality and Modernity behind the Iron Curtain".

antykoncepcyjną, ale nadal zakazuje aborcji, podczas gdy w Polsce zalegalizowano ją już w 1956 r.

Ale z tym postępem bywało różnie. W listach kobiet do różnych instytucji widać dramatyczny rozdźwięk między prawem a praktyką.

Każda rewolucja wywołuje reakcję, poza tym prawo nie działa automatycznie. Ale w sprawach kobiet Polska nie zawsze była opóźniona. Kluczowe było prawo aborcyjne z kwietnia 1956 r. – prawdziwe zburzenie Bastylii. Zmieniło porządek prawny i dało kobietom realną możliwość decydowania o ciele, choć dostęp do zabiegu, jakość opieki i stosunek lekarzy bywały różne. Listy kobiet pokazują, że za językiem postępu kryły się lęk, samotność i zależność od instytucji. To dlatego nie wystarczy mówić o liberalizacji prawa – trzeba pytać, jak kobiety faktycznie mogły z niego korzystać.

Czy ta rewolucja dokonała się przypadkiem – na skutek powojennego wyżu demograficznego wchodzącego w życie w gospodarce niedoboru?

Nie stał za tym prosty lęk, że „dzieci nie wykarmimy". Kluczowym aktorem było państwo, któremu zależało na kontrolowanej socjalistycznej modernizacji, również w sferze obyczajowej. PRL promowała świadome macierzyństwo, poradnie dla kobiet, dostęp do ginekologów i antykoncepcji – także poza dużymi miastami. Lekarze i seksuolodzy jeździli z odczytami o planowaniu rodziny. Pod egidą Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa działała firma Securitas, produkująca m.in. plemnikobójczą globulkę Z.

Jaką rolę odegrało pokolenie baby boomu?

Rok 1968 ma w Polsce niemal wyłącznie martyrologiczno-polityczny wymiar, a rzadko pytamy o pokoleniowe przemiany obyczajowe. Historyk Piotr Osęka cytuje uczestnika protestów studenckich: „My nie musieliśmy wzywać do wolnej miłości, my ją po prostu praktykowaliśmy". Sądzę, że pod względem praktyk seksualnych to pokolenie wcale nie różniło się tak bardzo od rówieśników na Zachodzie.

Skąd ta pewność?

Z pytań i odpowiedzi publikowanych w prasie, z poradników, listów do redakcji i z języka, którym zaczęto opisywać intymność. Kazimierz Imieliński prowadził w „ITD" rubrykę o higienie seksualnej i pożyciu; później przejął ją Zbigniew Lew-Starowicz. Dzięki takim rubrykom rozmowa o seksualności wychodziła z prywatności do przestrzeni publicznej. Młodzież dostawała nowy, medyczny język, który pozwalał pytać o sprawy wcześniej wstydliwe: orgazm, lęk przed ciążą, niedopasowanie w małżeństwie. To oczywiście nie znaczy, że wszyscy nagle stali się wyzwoleni. Ale sam fakt, że można było napisać do eksperta i otrzymać odpowiedź w gazecie, zmieniał granice tego, co uznawano za możliwe do wypowiedzenia.

A zdjęcia „kociaków" w prasie?

Zdjęcia rozebranych kobiet przełamywały tabu głównie ku przyjemności mężczyzn, podobnie jak wybory miss. Stopniowo cenzura dopuszczała coraz więcej nagości i erotyki. Publikacje ▶

© WOJCIECH ŁASKI/EAST NEWS, ZENON ŻYBURTOWICZ/EAST NEWS, LESZEK ZYCH

eprasa.pl 742e21c9af

▶ w „ITD", „Razem" czy „Perspektywach" można interpretować jako zwiastun kapitalizmu: miały budować markę czasopism jako nowoczesnych i bezpruderyjnych, ale też przyciągać męskiego czytelnika. Podobne zdjęcia zamieszczał również literacki tygodnik „Współczesność".

Co zmieniły lata 70.?

Ekipie pierwszego sekretarza Edwarda Gierka zawdzięczamy potraktowanie seksualności jako elementu lifestylu i marketingu. W latach 70. erotyka stała się narzędziem reklamy. Czego przykładem była rozebrana modelka reklamująca jedzenie ryb jako szansę na smukłą sylwetkę.

W latach 80. kobiety miały pracować, prowadzić dom i jeszcze być atrakcyjne seksualnie.

Do podwójnego obciążenia kobiet – pracą zawodową i domową – doszło trzecie: obowiązek atrakcyjności seksualnej. W kryzysie erotyka stała się formą konsumpcji zastępczej, czymś kolorowym i obiecującym w świecie pustych półek. Kobieta miała pracować, polerować podłogę, stać w kolejkach i wyglądać jak obiekt pożądania. To dalekie od powojennych obietnic równości płci. Emancypacja została przechwycona przez rynek i patriarchalne oczekiwania: kobieta formalnie była nowoczesna, ale w praktyce miała wykonywać coraz więcej pracy, także emocjonalnej i estetycznej.

Rewolucja zjadała własne dzieci?

Czasem tak. Rewolucja nie szła zgodnie z oczekiwaniami tych, którzy ją uruchamiali. Przemoc seksualną i oczekiwanie od kobiet seksualnej dostępności można widzieć jako jej koszt. W PRL zabrakło silnego głosu feministycznego, który na Zachodzie był ważnym elementem krytyki rewolucji seksualnej. U nas dominowała wizja heteroseksualna i męska: kobieca seksualność miała istnieć, ale często jako odpowiedź na męskie potrzeby. Dlatego trzeba odróżnić poszerzenie języka seksualności od realnej równości. Można mówić więcej o seksie, a jednocześnie utrwalać stare hierarchie.

A konserwatywna reakcja Kościoła?

Była obecna cały czas. Z perspektyw liberalnych mogło się wydawać, że Kościół został zneutralizowany, tymczasem trwał przy swoim stanowisku, zwłaszcza wobec aborcji. Po wyborze Karola Wojtyły na papieża zmienił się społeczny status Kościoła. Papieski entuzjazm, Solidarność i stan wojenny uczyniły z niego symbol wolności. Paradoks polega na tym, że w sferze seksualnej oznaczało to jej ograniczanie.

Dlaczego erotyka eksplodowała w latach 80.?

Była erzacem szynki czy butów na kartki, ale i czymś więcej – próbą odzyskania legitymizacji mediów. Po stanie wojennym telewizja traciła wiarygodność, więc zwracała się ku kulturze popularnej: „Niewolnicy Isaurze", „07 zgłoś się", „Alternatywy 4". Seksualizacja była częścią tego procesu. Przykładem „Sexcesy" Tadeusza Drozdy z 1985 r.: rozmowy w studiu, fragmenty filmów, pokazy striptizu, kluby nocne, naturyści. Program grał z widzem, który znał już kasety wideo oglądane prywatnie albo w świetlicach. Wideo było nowym, trudnym do kontroli obiegiem: obok kaset z pornografią krążyły nagrania z mszy papieskich czy filmy niedopuszczone do emisji jak „Przesłuchanie".

W 1983 r. wszedł do kin kultowy dziś film Juliusza Machulskiego „Seksmisja".

Choć sam tytuł pokazuje, że kolejne tabu zostały już przełamane, film był raczej kontrrewolucyjny. Występował przeciwko socjalistycznym wyobrażeniom o równości płci, a krytykę totalitaryzmu opowiadał przez lęk przed światem rządzonym przez kobiety.

Ikoną rewolucji seksualnej w Polsce została Michalina Wisłocka, autorka poradnika „Sztuka kochania".

Wisłocka jest ważna, ale nie była samotną rewolucjonistką. „Sztukę kochania" zaczęła pisać w latach 60., a opublikowała dopiero w 1978 r. Pierwsze wydanie miało na okładce parę nowożeńców – gest uspokajający konserwatywną krytykę: poradnik dla małżeństw, nie manifest swobody. Sukces jej książki był możliwy dzięki wcześniejszemu rozwojowi polskiej szkoły seksuologii pod patronatem Kazimierza Imielińskiego.

Co stało się z tą rewolucją po 1989 r.?

Połączenie seksu z nowoczesną męskością i nowymi praktykami ekonomicznymi widać już pod koniec lat 80. W 1987 r. w kioskach pojawił się magazyn dla mężczyzn „Pan" z radami, jaki samochód kupić, jaki alkohol powinien pić biznesmen i gdzie szyć garnitur. W realiach PRL brzmiało to egzotycznie, ale zapowiadało transformację.

Nie lubię prostej narracji, że dopiero po 1989 r. nastąpił „pornograficzny boom". Wybuch był, ale zapalniki zamontowano wcześniej. Zniesienie cenzury, wolność gospodarcza i otwarcie granic tylko połączyły kabelki. Szybko też pojawiła się konserwatywna reakcja.

W którym momencie tej rewolucji jesteśmy dziś?

Chciałabym wierzyć, że w momencie krytycznej refleksji. Coraz więcej oczywistości dotyczących PRL, nowoczesności i przemian obyczajowych podlega rewizji. Pytamy, co ta rewolucja przyniosła dobrego, a co złego; komu dała głos, a kogo pozostawiła na marginesie. Historia Europy Środkowo-Wschodniej pozwala też zakwestionować zachodni monopol na definiowanie nowoczesności seksualnej. Polska nie była po prostu opóźnioną kopią Zachodu. Miała własną ścieżkę: silne państwo, słabszy feminizm, ważną rolę ekspertów, nacisk Kościoła i doświadczenie transformacji, która połączyła wolność obyczajową z nowymi nierównościami ekonomicznymi.

Czy polska rewolucja seksualna miała swoje ofiary?

Na pewno. Nasza rozmowa była dotąd bardzo heteroseksualna – bo taka była dominująca rewolucja. Tymczasem w latach 80. rodził się w Polsce ruch gejowski. Lambda, organizacja społeczna lesbijek i gejów, powstała formalnie w 1990 r., lecz próby rejestracji takiej organizacji podejmowano już trzy lata wcześniej, w odpowiedzi na instytucjonalną homofobię i operację „Hiacynt" (1985–87) wymierzoną w homoseksualistów. Ta rewolucja przebiegała na marginesie głównego nurtu, co pokazuje luki socjalistycznej nowoczesności. Państwo mogło mówić o poradnictwie małżeńskim, higienie seksualnej i planowaniu rodziny, ale nie potrafiło uznać innych form życia intymnego. Ofiarami były więc osoby, które nie mieściły się w heteroseksualnej normie, a także kobiety, których wolność sprowadzano do obowiązku bycia nowoczesną partnerką, matką i pracownicą.

Czy spadek dzietności jest skutkiem rewolucji seksualnej?

Częściowo to skutek modernizacji. W Polsce większe znaczenie ma jednak reżim reprodukcyjny po 1989 r. Zakaz aborcji – wbrew intencjom zwolenników – działa antyprokreacyjnie: jeśli ciąża oznacza dla kobiety ryzyko, rozsądną reakcją jest jej unikanie. Drugim problemem jest nierówność w podziale obowiązków. Dopóki ekonomiczna kara za macierzyństwo spada głównie na kobiety, wiele osób rezygnuje z dzieci. Zamiast pytać, dlaczego kobiety nie chcą rodzić, warto pytać, dlaczego mężczyźni nie chcą być zaangażowanymi ojcami.

ROZMAWIAŁ MARCIN ZAREMBA

eprasa.pl 742e21c9af

Gołębie serce kata

Emblematyczny polski antybohater i fanatyczny zbrodniarz czy romantyk, który zaplątał się w zło? 100 lat temu zmarł Feliks Dzierżyński.

TOMASZ TARGAŃSKI

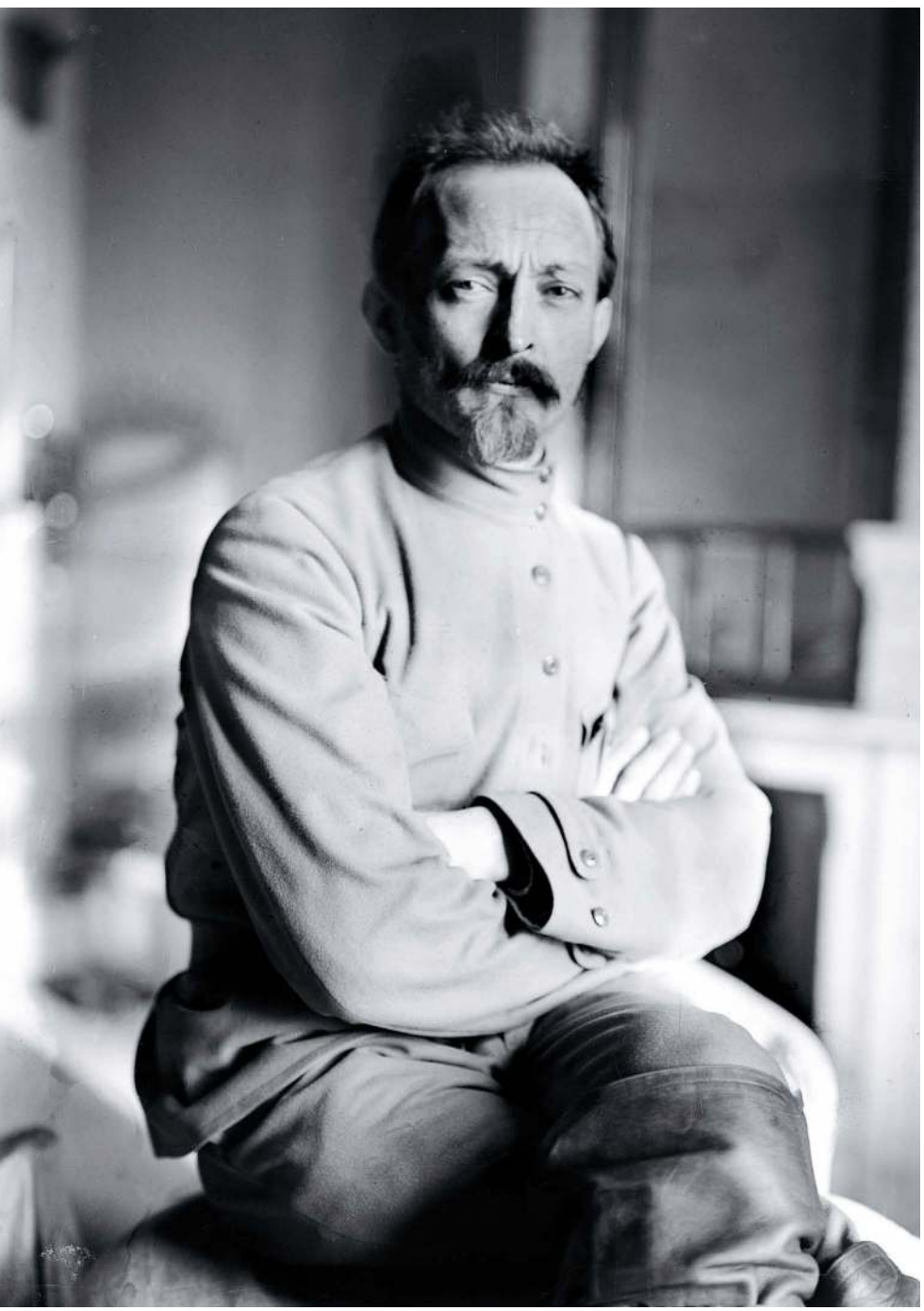

© ALAMY/BE&W

Miał wszelkie „papiery" na to, by zostać polskim bohaterem narodowym. Bezgranicznie oddanym sprawie, ale targanym sprzecznościami XX-wiecznym Kmicicem, który koniec końców wraca na właściwą drogę. Jego życiowe wybory – do pewnego momentu – były wręcz bliźniaczo podobne do drogi Józefa Piłsudskiego. Obaj wywodzili się z Wileńszczyzny, wychowali w drobnoszlacheckich dworkach i przesiąkli duchem polskiego romantyzmu. Obaj byli rewolucjonistami i nienawidzili Rosji. Przeszli przez carskie więzienia i Syberię. Ostatecznie jeden spoczął na Wawelu, a drugi na Kremlu. Życie Feliksa Dzierżyńskiego potoczyło się bowiem innym torem i stał się „Żelaznym" Feliksem, symbolem bolszewickiego terroru oraz szefem budzącej grozę Czeki.

Apollo i kobiety

Za młodu był idealistą, marzycielem i gorliwym katolikiem. Działał w Kole Serca Jezusowego, patriotyczno-mesjanistycznej organizacji mającej na celu walkę o niepodległość Polski. Już w szkolnej ławie – jak głosi jedna z wielu apokryficznych historii na jego temat – stawiał opór rusyfikacji. Będąc w gimnazjum, miał wparować do pokoju nauczycielskiego i zwracając się do znienawidzonego wykładowcy języka rosyjskiego, oznajmić z emfazą, że prześladowania uczynią z polskich uczniów bojowników o wolność.

Paradoksem jest to, że dla niego – jak i wielu innych radykalnych socjalistów tamtego pokolenia – inspiracją do buntu przeciw niegodziwościom ówczesnego świata była religia. Równościowe przesłanie ewangelii i dosłowne odczytanie nauk Chrystusa zapoczątkowały umysłowy ferment, który zrodził głęboko emocjonalną wiarę w walkę o sprawiedliwość. Będąc jeszcze nastolatkiem, Dzierżyński pisał w jednym z listów do siostry: „Uznaję, że jedynym przykazaniem jest miłość, miłość i jeszcze raz miłość w czynach wyjawiana (...). Zatem uznaję, że bliźnim moim jest każdy człowiek...".

W życiu przyszłego szefa Czeki było kilka kobiet, które miały na niego fundamentalny wpływ. Pierwszą i najważniejszą była matka, Helena. W listach zawsze zwracał się do niej z wielką czułością („mamuś"). Kiedy zachorowała i nie było już widoków na poprawę jej stanu, w Feliksie zaszła nagła zmiana. Zniknął ▶

eprasa.pl 742e21c9af

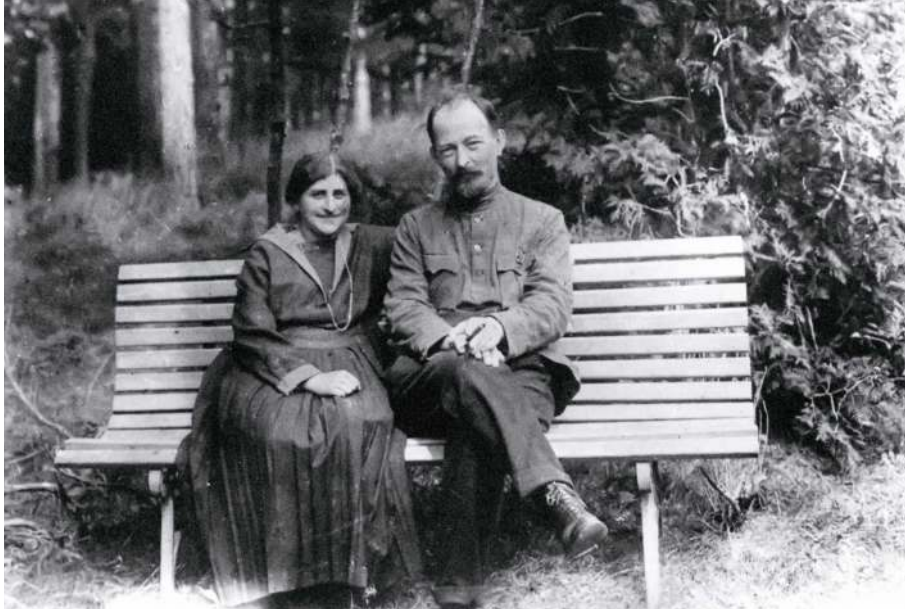

▶ młodzieniec o czystej duszy i niewinnym sercu – w jego miejsce pojawił się rewolucjonista, który marzy o podpaleniu świata. Postanowił rzucić gimnazjum i stopniowo zagłębiał się w świat nielegalnych organizacji konspiracyjnych. Wraz z resztą towarzyszy marzył o budowie nowego, sprawiedliwego społeczeństwa wolnego od wyzysku, konfliktów religijnych i narodowościowych.

Po śmierci matki uświadomił też sobie, że miłość do kobiet – a być może miłość w ogóle – może być obciążeniem dla człowieka, który wybrał drogę rewolucji. W jednym z listów pisał: „Jak ja chciałbym, żeby mnie nikt nie kochał, żeby strata mnie dla nikogo nie była boleścią, wtenczas zupełnie mógłbym sobą rozporządzać".

Ze względu na naturalną charyzmę, osobisty urok i powodzenie wśród kobiet w środowisku rewolucjonistów nadano mu przydomek esdecki Apollo (esdecki to skrót od socjaldemokracji). W roku 1897 wpadł po raz pierwszy w ręce carskiej policji. W więzieniu w Kownie pełen ideałów polski szlachcic przepoczwarzał się stopniowo w niezłomnego rewolucjonistę. Pisał do siostry Aldony: „Mogę powiedzieć z przekonaniem, że jestem szczęśliwszy od tych, którzy na wolności wiodą bezmyślne życie. I jeśliby mi przyszło wybierać więzienie albo życie na wolności, bez myśli wybrałbym więzienie, inaczej nie warto egzystować".

Skazany na Syberię po roku zbiegł z zesłania, przemierzając w pojedynkę niemal półtora tysiąca kilometrów. W czasie podróży w górę rzeki Kamy musiał bronić się przed złodziejami i ukrywać przed policją. Nocował w wiejskich chatach, ukrywając, kim jest, w obawie przed wpadką. Choć nie miał dokumentów, złapał pociąg na zachód i wreszcie dotarł do Wilna. W 1900 r. znów wpadł w ręce policji. Osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej został skazany na wywózkę na Sybir, skąd zbiegł po raz kolejny.

Momentem, który przekierował życie Dzierżyńskiego na drogę, która na zawsze oddzieliła go od innych polskich socjalistów, było przystąpienie do Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL) ok. 1900 r. SDKPiL tworzyli radykałowie nastawieni wrogo do programu niepodległości Polski. Ich naczelnym celem była międzynarodowa rewolucja i obalenie kapitalizmu, a wszelkie nacjonalizmy miały stać na drodze do jego osiągnięcia. Z kolei dla socjalistów z PPS (w tym dla Piłsudskiego) niezbędnym elementem zmiany była niepodległość. Tylko odrodzona socjalistyczna Polska mogła zapewnić robotnikom awans społeczny i polityczny.

Tatuś Felek

Dzierżyński wiązał się z kobietami, które podzielały jego ideały. W 1910 r. w Krakowie zakochał się w młodszej od siebie Zofii Muszkat, córce znanego działacza socjalistycznego. Nawiązało się między nimi gorące uczucie, ale połączyła ich przede wszystkim wspólna idea i stanowili typowy związek partnerski dwojga rewolucjonistów. Feliks był poszukiwany, spotykali się więc potajemnie. Mimo wyznawanego antyklerykalizmu pobrali się w kościele. Miesiąc miodowy nie trwał długo. Kilka tygodni po ślubie towarzysz Józef, bo taki pseudonim nosił Dzierżyński, wysłał swoją żonę z nielegalnymi materiałami do Warszawy. Zofia wpadła w ręce policji. Była wtedy w trzecim miesiącu ciąży.

Pisała do niego z więzienia czułe listy: „Myśli me wciąż są przy Tobie, słonko moje, wyczuwam nastrój twój obecny i sądzę, że mnie jest jednak lepiej niż Tobie. Twoja Z. Pisz, proszę". Również w więzieniu przyszedł na świat ich syn Jan. Sąd skazał Zofię na dożywotnie zesłanie na Syberię. Ponieważ małe dziecko nie wytrzymałoby trudów podróży, Jan został oddzielony od matki i trafił do domu dziecka. Feliks i Zofia nie widzieli się przez osiem lat. Pierwsza wojna światowa, upadek caratu i późniejsza rewolucja sprawiły, że ponownie spotkali się w Moskwie dopiero po objęciu władzy przez bolszewików. Dopiero wtedy udało im się też nawiązać kontakt z synem. Dzierżyński pisał do niego ciepłe listy, kończone zwrotem „Twój Tatuś Felek".

Po roku 1917 wielu polskich komunistów związanych z SDKPiL objęło eksponowane stanowiska w bolszewickim rządzie. Dzierżyński wszedł do władz partii bolszewickiej, a w grudniu 1917 r. stanął na czele Wszechrosyjskiej Nadzwyczajnej Komisji do Walki z Kontrrewolucją, Sabotażem i Spekulacją (WCzK). Pod jego kierownictwem Czeka stała się narzędziem najbardziej brutalnej polityki państwowego terroru. Dlaczego jako na realizatora tego zadania wybrano Dzierżyńskiego? Być może właśnie dlatego, że był Polakiem i nie miał żadnych osobistych ani narodowych uprzedzeń przed tym, by eksterminować całe grupy rosyjskiego społeczeństwa (większość funkcjonariuszy Czeka stanowili nie Rosjanie, lecz przede wszystkim Łotysze i Polacy).

Czeka było rodzajem zakonu, a jego członkowie widzieli się w roli rycerzy rewolucji. Sam Dzierżyński opisał kiedyś idealnego czekistę jako człowieka o „gorącym sercu, chłodnym umyśle i czystych rękach". Żelazny Feliks wpisywał się w ten obraz bezgranicznym poświęceniem pracy. Przydomek Żelazny odwoływał się w równej mierze do bezwzględności, z jaką zwalczał kontrrewolucję, jak i do ascetycznego trybu życia.

Rewolucja bolszewicka oddzieliła go murem nie tylko od polskich pepeesowców, ale też od najbliższej rodziny. Siostra Feliksa, Aldona, jako żarliwa katoliczka, patriotka i szlachcianka nie mogła być bardziej odległa od wyznawanego przez brata ateizmu, internacjonalizmu i socjalizmu. Mimo różnic korespondowali do końca życia, a ich listy są dowodem

© EAST NEWS, ALAMY/BE&W

eprasa.pl 742e21c9af

Feliks Dzierżyński z Józefem Stalinem, zdjęcie zrobione prawdopodobnie w połowie lat 20. XX w. Obok: **z żoną Zofią Muszkat w 1923 r.**

niezwykłej siostrzano-braterskiej więzi. W wysłanym do niej w 1919 r. liście tłumaczył: „Tobie się wydaje, że jestem innym człowiekiem. To nieprawda. To wciąż jestem ja, twój kochany brat". Z kolei młodszy brat Feliksa, Władysław Dzierżyński, był lekarzem i pułkownikiem Wojska Polskiego. Podczas drugiej wojny światowej działał w AK i został rozstrzelany przez Niemców.

Sumienie zbrodniarza

Jako polski rewolucjonista przedzierzgnięty w bolszewickiego internacjonalistę Dzierżyński na każdym kroku kontaktów z Polską napotykał bliskich mu ludzi, którzy teraz stali po drugiej stronie barykady. Jego siostrzeniec, Antoni Bułhak, ożenił się z siostrzenicą Piłsudskiego. A podczas gdy jego wuj latem 1920 r. wszedł w skład Polrewkomu, czyli rządu przyszłej polskiej republiki rad, Bułhak walczył po drugiej stronie frontu jako oficer kawalerii. Co więcej, siostrzeniec został później adiutantem Piłsudskiego. Kiedy w roku 1923 bolszewiccy agenci chcieli zorganizować zamach na marszałka (plan zakładał atak na Sulejówek komunistycznej bojówki w przebraniu endeckich studentów), Dzierżyński stanowczo sprzeciwił się jego realizacji. Nie wiadomo, na ile przyczyną tego była niechęć do zaogniania stosunków z Polską, a na ile fakt, że Antoni Bułhak był wówczas jednym z adiutantów Piłsudskiego i pomieszkiwał z żoną w Sulejówku.

O tym, że Dzierżyńskiemu nie była obojętna opinia byłych socjalistycznych towarzyszy, świadczy anegdota, jaką przekazał Leon Wasilewski, stary działacz PPS i minister spraw zagranicznych RP (a prywatnie ojciec Wandy Wasilewskiej). Spotkali się pod koniec 1920 r. w Rydze podczas rokowań traktatu kończącego wojnę z bolszewikami. Podczas przerwy w negocjacjach szef Czeki miał zagadnąć Wasilewskiego: „Co o mnie mówią w Warszawie?". Kiedy Wasilewski odparł, że mówią o nim jako o zbrodniarzu, który morduje tysiące ludzi, Dzierżyński miał się obruszyć (wedle innej wersji powiedział ze zdziwieniem, że rozstrzeliwuje przecież tylko Rosjan).

Pomimo wielu relacji o tym, jak darował życie Polakom, którzy dostali się w ręce Czeki (m.in. Bolesławowi Wieniawie-Długoszowskiemu, adiutantowi Piłsudskiego), nie ma wątpliwości, że Dzierżyński ma na sumieniu setki tysięcy ludzi, co czyni go jednym z największych zbrodniarzy XX w. Żelazny Feliks jedną ręką ratował jednostki, a drugą podpisywał wyroki śmierci na całe grupy społeczne. Czy był jednak psychopatycznym mordercą? Wydaje się, że nie. Sam nie wykonał żadnej egzekucji. Jego listy, cytowane m.in. w biografii autorstwa Sylwii Frołow, dowodzą głębokiej świadomości i rozumienia wagi czynów. Był człowiekiem emocjonalnym, nawet wrażliwym, ale idea, której się oddał, kompletnie zawładnęła jego sumieniem. W jednym z listów do siostry pisał: „Dziś poza ideą – poza dążeniem do sprawiedliwości – nic nie waży na szali mych czynów".

Zmarł na zawał 20 lipca 1926 r. w wieku 49 lat. Śmierć prawdopodobnie uchroniła go przed losem jego następców na stanowisku szefów Czeki, których rozstrzeliwano z rozkazu Stalina. Wiadomo, że jeszcze za życia Dzierżyńskiego sowieckie służby zaczęły preparować dowody na jego agenturalną działalność na rzecz Polski. Zamiast tego został pochowany z honorami obok Lenina na Kremlu. Podczas państwowego pogrzebu Stalin nazwał go „nieugiętym rycerzem proletariatu". Co ciekawe, jego syn Jan pracował jako referent w wydziale do spraw polskich KC KPZR. Opracowywał referaty, które lądowały na biurku Stalina, a w 1956 r. opracował stenogram z burzliwych zakulisowych rozmów delegacji radzieckiej i polskiej, do których doszło w Warszawie podczas polskiego października.

Przedwczesna śmierć Dzierżyńskiego sprawiła, że dla kolejnych pokoleń komunistów pozostał „sprawiedliwym" komunistą „nieskalanym" zbrodniami stalinowskimi. Stał się symbolem niezłomnego rycerza rewolucji, który – gdyby dożył pełni rządów Stalina – z pewnością przeciwstawiłby się jego szaleństwom. Są to oceny na wyrost, ponieważ w ostatnich latach życia Dzierżyński wsparł Stalina w rozgrywce o władzę przeciw Lwu Trockiemu.

Podczas gdy w 1989 r. w Polsce Żelazny Feliks spadł z cokołu na Placu Bankowym w Warszawie, na wschodzie jego dziedzictwo wciąż żyje i ma się dobrze. Szczególnie na Białorusi jest wiele pomników i ulic jego imienia. Ustrój dzisiejszej Rosji opiera się na ludziach wywodzących się z KGB, a na ścianach ich gabinetów wiszą portrety Dzierżyńskiego. W kwietniu tego roku Władimir Putin podpisał dekret, na mocy którego uczelnia Federalnej Służby Bezpieczeństwa w Moskwie (gdzie sam Putin przechodził szkolenie) oficjalnie otrzymała imię Feliksa Dzierżyńskiego.

TOMASZ TARGAŃSKI

Bibliografia: Andrzej Friszke „Państwo czy rewolucja"; Sylwia Frołow „Dzierżyński. Miłość i rewolucja"

O skomplikowanych relacjach polsko-rosyjskich oraz prawdach i mitach na ich temat, a także o wzajemnych lękach i uprzedzeniach, czytaj w **Pomocniku Historycznym „Polacy i Rosjanie. Dzieje sąsiedztwa"**. Kupując go w druku na stronie **sklep.polityka.pl** lub w ramach subskrypcji cyfrowej **polityka.pl**, wspierają Państwo dziennikarstwo POLITYKI.

KUP TERAZ

eprasa.pl 742e21c9af

festiwal

Nowe wymiary kina

26. Międzynarodowy Festiwal Filmowy Tauron Nowe Horyzonty, Wrocław, 23 lipca–2 sierpnia

Najważniejsze premiery z Cannes i Berlina, trochę klasyki, a do tego filmy, które nawet przed wymagającą publicznością odkryją nowe wymiary kina – we Wrocławiu zaczyna się 26. edycja festiwalu Tauron Nowe Horyzonty. Imprezę otworzy głośny **„Fjord" Cristiana Mungiu**, nagrodzona Złotą Palmą historia konfliktu konserwatywnej rodziny z norweskim systemem sądownictwa, zamknie zaś najnowsze dzieło Agnieszki Smoczyńskiej „Hot Spot", futurystyczny thriller z Andrzejem Konopką i Noomi Rapace w rolach głównych. A pomiędzy nimi pełne spektrum kina niezależnego i ambitnego, poszukującego prawdy o świecie i unikającego banalnych rozwiązań czy filmowych schematów. W programie tegorocznej edycji znalazły się więc najnowsze filmy Pedra Almodóvara („Gorzkie święta"), Ryûsukego Hamaguchiego („Niespodziewane") i Jamesa Graya („Papierowy tygrys"), a także retrospektywy wielkich artystek kina: Márty Mészáros, Ulrike Ottinger i Marie Kreutzer (dwie ostatnie spotkają się z widzami). W sekcji „Lost Lost Lost", wyszukującej perły kina eksperymentalnego, warto zwrócić szczególną uwagę na film „Jeśli się przewrócę, nie podnoś mnie", którego bohaterem jest Walter Asmus, reżyser teatralny, przyjaciel i współpracownik Samuela Becketta.
Wyjątkowo ciekawie zapowiada się tematyczny blok „Instytucje/Struktury/Wspólnoty", nad którym patronat objęła POLITYKA. W jego ramach będzie można obejrzeć wybitne filmy wnikliwie przyglądające się instytucjom i społecznościom formalnym i nieformalnym, a przede wszystkim analizujące, jak w ich ramach funkcjonują jednostki. W tej sekcji znalazły się m.in. wybitne dokumenty Fredericka Wisemana („Opieka społeczna"), Agnès Vardy („Dagerotypy") i Jacka Bławuta („Nienormalni"). I choć często pokazują rzeczywistość sprzed dekad, historyczne realia okazują się doskonałym pretekstem do analizy, jak podobne instytucje dziś wpływają na świat.
Jak co roku partia filmów będzie również dostępna w części online festiwalu, która potrwa do 9 sierpnia.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Szczegóły: **nowehoryzonty.pl**

film

Wygasająca katastrofa 4/6

O czym sobie nie mówimy (Le cose non dette), reż. Gabriele Muccino, prod. Włochy, 116 min, w kinach od 17 lipca

Smutny melodramat z elementami thrillera stara się łączyć skąpaną w wakacyjnym słońcu, niemal bajkową scenerię Rzymu i marokańskiego Tangeru z opowieścią o konsekwencjach kryzysu małżeńskiego, o piekle podwójnego życia, misternie plecionych kłamstwach i zaślepiającym pożądaniu. Oparta na bestsellerowym kryminale „Siracussa" Delii Ephron fabuła niektórym kojarzyć się będzie z woodyallenowskimi, mieszczańskimi tragikomediami, jak choćby „Wszystko gra", z pułapkami zastawianymi przez los czy złymi emocjami i działaniami podszytymi frustracją. Profesor filozofii i uznana dziennikarka nie mogą mieć dziecka i żyją w związku bez namiętności, na horyzoncie pojawia się zauroczona wykładowcą piękna studentka. Ich romans to dopiero początek dość skomplikowanej rozgrywki. Mężczyzna zniszczony poczuciem winy, ofiara własnych zachcianek, wieczny Piotruś Pan mylący wrażliwość z tchórzostwem i uosabiający pragnienie wszystkiego naraz: małżeństwa, pożądania, możliwości ponownego ojcostwa, lecz nieumiejący wybrać niczego – to tylko jedna z odsłon tego filmu. Innej przyświeca pozornie banalne pytanie: czy jeśli ktoś zrobi coś złego w dobrej wierze, to jest to wystarczające usprawiedliwienie? Całość wciąga, trudno jednak pozbyć się wrażenia déjà vu.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Smutny melodramat rozgrywany w wakacyjnych plenerach

© NOWE HORYZONTY, AURORA FILMS, APPLE TV, VIAPLAY, STAROMIEJSKI DOM KULTURY

eprasa.pl 742e21c9af

serial

Lucky you 4/6

Lucky, twórcy serii: Jonathan Tropper i Cassie Pappas, 7 odc., Apple TV

Gwiazdorska ekranizacja bestsellerowej powieści Marissy Stapley, czytadła, w którym kryminalna akcja i konwencja heist movie łączą się z psychologicznymi wstawkami. W centrum tej historii jest bowiem związek rodzic–dorosłe dziecko, próbujące się wyswobodzić z toksycznej relacji. Pomiędzy pościgami i strzelaninami dostajemy więc tzw. znaczące rozmowy. Jest w tym opisie trochę ironii, bo „Lucky" to powtórka ze znanych motywów, rozrywka porządna, ale ze wszelkich miar bezpieczna, mimo że akcja ma nas przekonać o czymś przeciwnym. **Anya Taylor-Joy** z wdziękiem i charyzmą wciela się w kolejną w swoim dorobku łebską dziewczynę z trudną przeszłością. Lucky jest córką zawodowego przekręciarza, który ukradł 10 mln dol. gangsterowi, którego prawą ręką jest teściowa dziewczyny. Lucky wraz z mężem lokalizują ukryte pieniądze i ustalają, że będą świetnym startem w samodzielnym, prawym życiu gdzieś bardzo daleko stąd. Sprawy jednak idą inaczej i Lucky musi uciekać sama, bez męża i pieniędzy, za to z FBI i gangsterami na karku, przekonanymi, że to ona jest kluczem do realizacji ich – wykluczających się, rzecz jasna – planów. Tempo jest niezłe, gra aktorska też – Timothy Olyphant, Annette Bening i Aunjanue Ellis-Taylor sprawdzają się w rolach rodziców, dla których praca (złodziejska, gangsterska, ale też policyjna) i ambicje z nią związane stały się ważniejsze niż zdanie i dobro własnych dzieci. W sam raz na wakacyjne wieczory.

ANETA KYZIOŁ

serial

Źle się dzieje w państwie fińskim 4/6

Welfare Warriors, twórczyni serii: Tiina Lymi, 3 odc., Viaplay Filmy i Seriale

Specjalnością platformy Viaplay (można ją w subskrybować poprzez Prime Video, Canal+, Megogo czy Play) są produkcje skandynawskie, w tym dzieła niszowe czy nieoczywiste. Nawet na tle tych ostatnich „Welfare Warriors", miks dramatu społecznego, gorzkiej satyry i kina grozy, wyróżnia się oryginalnością. Akcja dzieje się... w urzędzie pracy w Helsinkach. W budynku pożeranym przez rdzę i pleśń grupka urzędników pod wodzą kierowniczki średniego szczebla Anneli Tiainen (**Elina Knihtilä**) zmaga się z kolejnymi falami administracyjnych absurdów, postępującą erozją państwa opiekuńczego i ewolucją rynku pracy. Wszystko to skutkuje poczuciem narastającej bezradności i wykluczenia; coraz bardziej przypominają tych, którym powinni w ramach swojej pracy pomagać. Samobójstwo jednego z urzędników staje się katalizatorem zmian, jednak innych niż można by się spodziewać. Długie funkcjonowanie w chorym, dysfunkcyjnym systemie pcha bohaterów ku szalonym pomysłom, które mają nieprzewidywalne konsekwencje, spirala absurdu się nakręca. „Welfare Warriors" nie jest serialem równym, co częściowo jest wynikiem skondensowania akcji do trzech odcinków. W Finlandii jednak zdobył nagrodę dla najlepszego serialu i nagrody aktorskie w największym krajowym plebiscycie telewizyjnym. A i w Polsce odnajdą się w nim nie tylko urzędnicy. AK

galeria

Historia krzywym kołem toczona 5/6

Historia Towarzyska, Galeria Promocyjna, Warszawa, do 12 września

Najpierw, na fali odwilży, pojawiła się Galeria Krzywe Koło, by od 1987 r. działać pod szyldem Galerii Promocyjnej. Zawsze w tym samym miejscu, na drugim piętrze Staromiejskiego Domu Kultury, przy warszawskim Rynku, w dwóch niedużych salach. 70 lat to jak na realia rodzimego świata sztuki godny uznania jubileusz. Tym bardziej że zawsze była to galeria ambitna, promująca najciekawszych młodych artystów, opierająca się doraźnym modom, o presji rynku nie wspominając. I tu rodzi się problem: jak przygotować rocznicową wystawę, gdy przez galerię przewinęły się setki artystek i artystów? Kogo uhonorować, kogo pominąć? Z tej niezręcznej sytuacji grono młodych kuratorów wybrnęło w stylu iście salomonowym – nie wyróżniając nikogo! A właściwie – zauważając wszystkich, przy pomocy małych biograficznych notek, gęsto umieszczonych na klatce schodowej. Do tego nieco sentymentalna ekspozycja ukazująca historię galerii poprzez konteksty: stare fotografie, plakaty i programy wystaw, dokumenty, filmiki i wspomnienia. Poprzez archiwalne numery wydawanego tu czasopisma „Exit" i opowieść o budowanej przez dekady artystycznej wspólnocie. Całość zaś uzupełnia kilka artystycznych interwencji artystów z najmłodszego pokolenia, którzy być może w przyszłości będą budowali jakość polskiej sztuki, tak jak budowali ją artyści obecni w galerii w minionych dekadach.

PIOTR SARZYŃSKI

Klaudia Figura, „Bez tytułu", patchwork ze starych obrazów, 2026 r.

eprasa.pl 742e21c9af

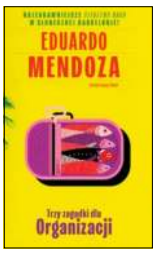

Na tropie przypadku 4/6

Eduardo Mendoza, **Trzy zagadki dla Organizacji**, przeł. Tomasz Pindel, Wydawnictwo Znak, Kraków 2026, s. 400

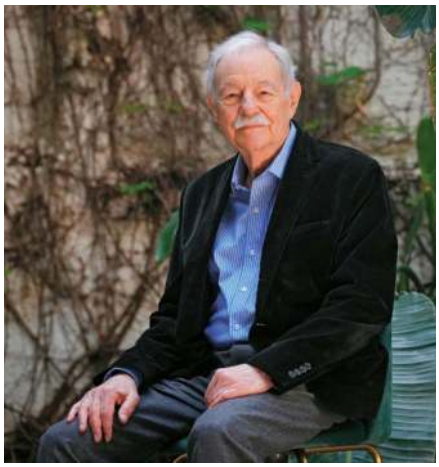

W bohaterach nowej powieści Eduarda Mendozy bez trudu można dostrzec duchowych krewnych znanego z innych jego książek bezimiennego detektywa albo jeszcze bardziej nieudolną wersję „kulawych koni" z kryminałów Micka Herrona. Są tak samo bezradni wobec najprostszych wyzwań rzeczywistości, a jednocześnie obsesyjnie pielęgnują w sobie wiarę, że to, co robią, ma jakiś głębszy sens. A ich praca polega na rozwiązywaniu zagadek kryminalnych na zlecenie tajemniczej barcelońskiej Organizacji. Kim są: szpiegami, samozwańczymi detektywami czy grupą osób z urojeniami? Próbuje się w tym wszystkim rozeznać nowy pracownik, zatrudniony przede wszystkim dlatego, że siedział w więzieniu i jego doświadczenie może się do czegoś przydać. Jednak sekrety samobójstwa anonimowego turysty, zatopienia jachtu i kłopotów firmy produkującej konserwy – a tym obecnie zajmuje się Organizacja – mogą przerastać ich siły. „Trzech zagadek…" nie sposób nawet nazwać parodią literatury kryminalnej: Mendoza wypracował własną formułę satyrycznej powieści, w której gatunkowe elementy stanowią raczej ornament (i to wielokrotnie odbity w gabinecie krzywych luster) niż istotę fabuły. Ta zaś podporządkowana jest logice absurdu i przypadku, w której mogą pogubić się nie tylko nieszczęśni agenci, lecz również – ku swojej radości – czytelnicy.

JAKUB DEMIAŃCZUK

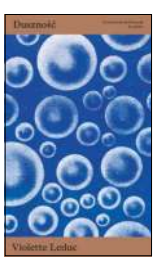

Duszne arcydzieło 5/6

Violette Leduc, **Duszność**, przeł. Jacek Giszczak, Karakter, Kraków 2026, s. 176

Polskie tłumaczenie tytułu wydanej we Francji w 1946 r. debiutanckiej minipowieści Violette Leduc jest kapitalne – „Duszność" w zwięzły sposób oddaje atmosferę napięcia i sugeruje fizyczne poczucie tracenia tchu. Oryginalny tytuł („L'Asphyxie") jest jednak bardziej wieloznaczny, można go interpretować także jako uduszenie lub stan ostrego niedotlenienia organizmu. Wszystkie te odczytania odnoszą się do stanu psychicznego dziecięcej narratorki, która rozpaczliwie potrzebuje miłości, lecz nie jest w stanie otrzymać jej od toksycznej matki. A do tego dochodzą: opresyjny system edukacyjny z początku XX w., przemoc i skomplikowane inicjacje. Leduc, czerpiąc z własnego doświadczenia (była nieślubnym dzieckiem służącej, naukę przerwał wybuch wojny, w internacie wdała się w romans z nauczycielką), genialnie opisała zderzenie delikatnej emocjonalnie młodej bohaterki z brutalnym światem. Powieść może nam przypominać święcące ostatnio triumfy kobiece opowieści z obszaru autofikcji. Warto jednak pamiętać, że to Leduc – której orędownikami byli m.in. Camus, de Beauvoir, Sartre czy Genet – można uznać za prekursorkę tego literackiego nurtu. Niezwykłą rolę w tej przyprawiającej o zawrót głowy książce gra język – liryczny i powściągliwy jednocześnie. W dużej mierze to dzięki niemu między pierwszym zdaniem („Moja matka nigdy nie podała mi ręki") a ostatnim („Była matką bez skazy") zawiera się piękne literacko i wstrząsające emocjonalnie niewielkie arcydzieło.

MACIEJ ROBERT

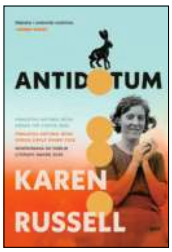

Wszystkie plagi Ameryki 4/6

Karen Russell, **Antidotum**, przeł. Maria Makuch, Znak, Kraków 2026, s. 512

O amerykańskiej Czarnej Niedzieli (Dust Bowl) mówi się rzadziej niż o Czarnym Wtorku. Tu obie katastrofy zostały zgrabnie połączone. Tamtej niedzieli w 1935 r. potężna burza piaskowa zebrała śmiercionośne żniwo na obszarach Wielkich Równin. Wyjałowiła gleby, pustosząc dorobek pokoleń. Karen Russell dramatyzuje te wydarzenia, w jej narracji urastają do rangi ostrzegawczej, niemal biblijnej plagi. Zyskują też twarze oryginalnych bohaterów. Wiedźma z Uz, chyba najciekawsza z nich, bierze cudze wspomnienia w „depozyt", czyli słucha, a potem przechowuje w swojej pamięci grzechy i traumy swoich powierników. Burza w przedziwny sposób wymywa te wspomnienia, co może napytać jej biedy. Nastoletnia Dell, zresztą Polka, gra w koszykówkę, żeby utrzymać emocje na wodzy, bo też ma swoje potworne przeżycia (jej matka została zamordowana). Cleo Allfrey, „fotografka z ramienia Urzędu do spraw Przesiedleń", musi ten cały dramat udokumentować. Burza jest tu aż i tylko scenografią, w Uz dobrze widać inne napięcia, jedni tu migrują, inni, rdzenni, są wymazywani. Indianie? „Nie należy się nimi przejmować". Nie susza jest największą plagą Ameryki, lecz zbiorowa amnezja. Nie umierające miasto jest bohaterem powieści, lecz próba ustalenia jego przyszłości, co było ważne w „brudnych latach 30." i jest istotne dziś. Dlatego książka ma nieco dystopijny charakter, a w połączeniu z uprawianym przez Russell realizmem magicznym – tu nawet kot ma swoją małą historię – sprawdza się jako przypowieść. Uszyta piękną frazą, doskonale zagmatwana.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© DAVID ZORRAKINO/EUROPA PRESS/GETTY IMAGES, SCOTT LEGATO/GETTY IMAGES, DAWID WOLSKI/EAST NEWS, POSEŁ (7)

eprasa.pl 742e21c9af

Ponad silosy 5/6

Beth Orton, **The Ground Above**, Partisan

Rzadki to przypadek kariery, która zdaje się iść ciągle wyżej i wyżej. I to nie w statystyce, tylko w aspektach artystycznych. Elizabeth Caroline Orton zaczynała na scenie tanecznej lat 90. – u boku Williama Orbita (duet Spill) i w nagraniach The Chemical Brothers. W solowych utworach, począwszy od zauważonych przez krytykę płyt „Trailer Park" i „Central Reservation", przechodziła stopniowo na pozycje folkowe. Dziś pozostaje poza radarem masowej publiczności, ale nagrywa najciekawsze albumy w swojej karierze. Bogate aranżacyjnie, śpiewane nieco zmienionym, zmęczonym, ale wciąż pewnym głosem, przyodziane często w rozbudowane, wydłużone formy. Bywa, że ciągle słychać w nich elementy muzyki lat 90. – trip-hopu, czego wypadkową jest Adrian Utley z Portishead jako gość specjalny (m.in. w „Cigarette Curls"). Myśli otwartą stylistycznie formułą, trochę tak jak Mark Hollis z Talk Talk. Jej muzyka nie nuży, wydaje się przebijać stylistyczne silosy, są w niej nawet elementy jazzu, ale też emocjonalność, którą znamy choćby z nagrań Sinéad O'Connor czy Marianne Faithfull. Orton może być ich godną następczynią.

BARTEK CHACIŃSKI

Powrót na parkiet 4/6

Madonna, **Confessions II**, Warner

W karierze Madonny było kilka zwrotów akcji i zaskoczeń, ale od przełomu wieków pozostaje w pierwszej kolejności divą sceny klubowej. Ten obraz pomógł ugruntować Stuart Price, angielski producent, który swój styl budował na fascynacji French Touch – lekkim, narodzonym nad Sekwaną nurtem w muzyce house, niosącym wyraźne wpływy funku i disco. Taka była ich wspólna, wydana 21 lat temu płyta „Confessions on a Dance Floor". I powrót do współpracy z Price'em na „Confessions II" oznacza dla artystki spodziewany powrót do tamtej stylistyki i zarazem do niezłej formy. Nie jest to w żadnym razie płyta przełomowa, ale rozrusza niejedną imprezę. Zmiksowana jak set taneczny, wypycha słuchacza na parkiet albo ku innym formom aktywności, przy takich utworach jak „Bizarre" czy „Everything" będzie się też dobrze biegać. Price jak poprzednio nie oszczędza cytatów. W „Danceterii" na moment słychać beat z „Apache" Incredible Bongo Band i nawiązanie do „Walk On The Wild Side" Lou Reeda, w „My Sins Are My Savior" wybrzmiewa fragment utwory Army of Lovers, a w „Betrayal" – „Gnossienne No. 1" Erika Satiego. Co nie zmienia faktu, że jest to muzyka bardziej do tańca niż tropienia kompozytorskich detali. BCH

Uwaga na pompę 3/6

Muse, **The Wow! Signal**, Warner

W dyskografii rockowej grupy Matta Bellamy'ego bywało bardzo źle, „The Wow! Signal" część fanów powitała więc z ulgą. Dla postronnych jest to jednak radość przedwczesna. Zespół Muse, który był na początku pod wielkim wpływem Radiohead, a potem zamienił się w rodzaj melodyjnej, monumentalnej, ale też nowoczesnej odpowiedzi na Queen, pozostaje tu więźniem kosmicznych ambicji swojego lidera, który – niezależnie od własnych wokali, emocjonalnie często przerysowanych – do linii rockowych dopisał partie orkiestry (wykonuje je London Metropolitan Orchestra) i jeszcze dołączył kilkudziesięcioosobowy chór. Wiemy, jaki efekt takie zabiegi wywoływały w rockowej historii. Choć więc – jak sugerowały single (jeden z nich w ramach stosownie przerysowanej kampanii wysłano w przestrzeń kosmiczną poprzez Sent Into Space, firmę, która wcześniej wyekspediowała tam szereg komercyjnych produktów, m.in. keczup Heinza) – album jest podniosły i grzeszy pretensjonalnością, to jednocześnie jest głośny i ma momenty. Dla mnie do tych ostatnich należą „Hexagon" i „Be With You". Jednak uczuleni na pompatyzm powinni stanowczo go unikać i odjąć punkt od zaprezentowanej tu oceny końcowej. BCH

nie przegap

Jarocin'26 Festiwal, Jarocin, 16–19 lipca

Tegoroczny festiwal w Jarocinie odbędzie się pod hasłem „55 lat tradycji, wolności i muzyki". Będą zatem ukłony w stronę tradycji – koncert „Moja krew, twoja krew" z udziałem m.in. muzyków zespołu Republika, część konkursowa i okolicznościowa konferencja mają w nazwie „Wielkopolskie Rytmy Młodych", co nawiązuje do prapoczątków festiwalu w 1970 r. Sam program imprezy jest zróżnicowany, wystąpią m.in. Lech Janerka, WaluśKraksaKryzys, Renata Przemyk, Ania Rusowicz, Nene Heroine, Dezerter, Houk, Voo Voo czy Spięty. MP

BEAT: Adrian Belew, Tony Levin, Steve Vai, Danny Carey, Ćmielów – Zamek Ćmielów, 17 lipca

Adrian Belew i Tony Levin uczestniczyli w oryginalnych sesjach płyty King Crimson „Beat" (1982 r.) jako członkowie tej grupy. Steve'a Vaia miłośnikom rockowej gitary przedstawiać nie trzeba, a perkusistę Danny'ego Careya najlepiej znają fani zespołu Tool. Taka supergrupa nie powstaje często, ale sceniczny powrót do wielkiej płyty sprzed lat wydaje się powodem godnym spotkania. Robert Fripp, lider King Crimson, w nim nie uczestniczy, ale dał kolegom swoje błogosławieństwo. BCH

73. Urodziny Starówki, Warszawa, 17–18 lipca

Rocznica, którą Warszawa będzie celebrować, odnosi się do lipcowej daty oddania do użytku odbudowanego po wojnie Rynku Starego Miasta. I podobnie jak tamto wydarzenie minifestiwal zorganizowany z tej okazji tworzy pomost pomiędzy tradycją a współczesnością. Przez dwa dni wystąpią tu m.in. Jan Emil Młynarski (z Orkiestrą Taneczną „Melodia i Rytm"), Aleksander Dębicz, **Fisz Emade Tworzywo**, Kosma Król i Brass Federacja. Wstęp jest bezpłatny, a poza muzyką zapowiadane są inne atrakcje dla różnych pokoleń. BCH

eprasa.pl 742e21c9af

Spełnił się film

Biografia Krzysztofa Piesiewicza to wstrząsające studium losu, w którym zmaterializowały się mroczne wizje z pisanych wspólnie z Kieślowskim scenariuszy. Był legendą palestry, moralistą, symbolem elit, a zarazem bohaterem jednego z największych skandali obyczajowych wolnej Polski.

eprasa.pl 742e21c9af

W historii polskiej inteligencji niewiele jest biografii tak boleśnie rozdartych między wzniosłością głoszonych idei a wizerunkową katastrofą na skutek bezlitosnego osądu opinii publicznej. Piesiewicz był wybitnym adwokatem wygrywającym procesy o najwyższą stawkę, niezłomnym obrońcą opozycjonistów w czasach PRL, oskarżycielem posiłkowym w procesie zabójców ks. Jerzego Popiełuszki, a wreszcie wieloletnim senatorem i współtwórcą filmowego „Dekalogu" czy nominowanego do Oscara tryptyku „Trzy kolory". Zasiadał w Radzie Etyki Mediów, był członkiem Amerykańskiej Akademii Filmowej, miał prestiż, pozycję, międzynarodową sławę, wielkie pieniądze, piękny dom na Żoliborzu, za sąsiadów m.in. Wajdę i Passenta. Dla wielu był wzorem postępowania, jednak przez ostatnie 17 lat swojego życia zajmował się głównie batalią z wymiarem sprawiedliwości o odzyskanie dobrego imienia po głośnej aferze szantażowej.

Na początku września 2008 r. do domu senatora przyszły dwie kobiety – poznana pod hotelem Marriott Joanna D. oraz jej przyjaciółka Joanna Sz. (striptizerka), które przyniosły ze sobą damską bieliznę oraz akcesoria. Po wypiciu znacznej ilości wina (Piesiewicz sugerował później, że mógł zostać odurzony) senator został nakłoniony do ubrania się w damską kwiecistą sukienkę i pomalowania ust szminką. Całość spotkania była rejestrowana ukrytym aparatem fotograficznym.

Kluczowym elementem nagrania okazała się scena przy stole, na którym usypano trzy „kreski" białego proszku. Joanna D. twierdziła początkowo, że była to kokaina przyniesiona przez Piesiewicza z kuchni, a on sam miał nakłaniać kobiety do jej zażywania przez zwinięty stuzłotowy banknot. Natomiast senator zeznał, że poddał się narzuconemu mu „zaimprowizowanemu spektaklowi", i chcąc uprawdopodobnić sytuację na potrzeby gry, przyniósł z kuchni pastylkę Azantacu (leku na trawienie), którą rozkruszył nożem, i udawał, że ją zażywa. Nagrania z tego „spektaklu" zostały później wykorzystane przez szantażystów do wyłudzenia od Piesiewicza ponad pół miliona złotych, a gdy przestał płacić, trafiły do „Super Expressu", co doprowadziło do zniszczenia jego kariery politycznej.

Piesiewicz twierdził, że padł ofiarą podłości i prowokacji kryminalnej. Szantażyści Joanna D., Zbigniew S. ps. Niemiec oraz Jan W. (dwoje karanych plus były współpracownik WSI) zastawili na niego pułapkę w celu wyłudzenia pieniędzy. „Na początku tej afery dałem tym ludziom szansę, choć postępowali w sposób tak precyzyjny, jakby byli wyszkoleni" – wyznał Tomaszowi Lisowi w tygodniku „Wprost", sugerując, że była to ustawka (zemsta dawnych służb). „Nie popełnili żadnego błędu, który prawnicy nazywają znamionami czynu kryminalnego. To, co robili na początku, kiedy płaciłem pieniądze, nie mieściło się w żadnym przepisie Kodeksu karnego. Przyszli i powiedzieli: »Chcemy, żeby to było w pana rękach«. (...) SMS-y, które od nich otrzymywałem, świadczyły o tym, że mają doskonale przygotowany mój rysunek psychologiczny". Na co prowadzący dochodzenie prokurator Józef Gacek odpowiedział w „Rzeczpospolitej", że w materiałach śledztwa nie ma żadnych przesłanek wskazujących, aby związek z całą sprawą miały jakiekolwiek służby specjalne. Jego zdaniem nie było również żadnych przesłanek, aby stwierdzić, że ktoś kierował tą grupą.

Chociaż poparcia udzielili Piesiewiczowi m.in. ówczesny wicemarszałek Senatu Zbigniew Romaszewski, prof. Andrzej Zoll i Agnieszka Holland, reakcją na tłumaczenia senatora była fala hejtu. Media publikowały dziesiątki artykułów, podgrzewając kłamstwa o jego rzekomo dewianckich skłonnościach i uzależnieniu od narkotyków, nie znając go osobiście i opierając się na zmanipulowanych materiałach. Skandal porównywano do „afery rozporkowej" Billa Clintona czy obyczajowych ekscesów Silvia Berlusconiego. Wracało jak bumerang pytanie: czy elitom wolno więcej?

Ktoś ze środowiska filmowców na łamach magazynu „Polska. The Times" anonimowo ostrzegał, że związki Piesiewicza z szantażystami są niejasne. „No i gdyby wcześniej nie wypowiadał się publicznie jako autorytet w kwestii etyki, nie mówił ludziom, jak mają żyć, to pewnie byłoby mu to wybaczone. Ale ten kontrast między wizerunkiem publicznym a prywatnym wskazuje na jego cynizm i obłudę".

Piesiewicz czuł się zaszczuty i upokorzony. Uważał, że media przekroczyły niedopuszczalną granicę, wkraczając w jego świat intymny, który nie powinien być przedmiotem debaty publicznej. Sytuację tę określał mianem napaści na swój dom oraz piekła na ziemi. W rozmowach z Mikołajem Jazdonem senator uznał działania mediów za haniebne, zbrodnicze kradzieże uczuć, godności i intymności.

Po procesie toczącym się z wyłączeniem jawności ze względu na charakter zarzutów szantażyści zostali skazani na 1,5 roku bezwzględnego więzienia. Prokurator postawił też siedem zarzutów Piesiewiczowi. Z czterech został prawomocnie oczyszczony. Z trzech, związanych z posiadaniem narkotyków i namawianiem kobiet do spożycia substancji odurzających – nie. Sprawa wielokrotnie przechodziła przez różne instancje, a wyroki uchylano i przekazywano do ponownego rozpoznania. W końcu trafiła do Sądu Najwyższego, który dwukrotnie uwzględniał kasacje i uchylał wyroki uniewinniające.

Do momentu śmierci Piesiewicza w maju br. proces nie został formalnie zakończony uniewinnieniem, na czym zależało obronie. Ostatnim orzeczeniem było umorzenie postępowania z uwagi na znikomą szkodliwość społeczną czynu, co broniący Piesiewicza jego przyjaciel, mecenas Krzysztof Stępiński, uznaje za absurd i przypisuje woli pozbycia się kłopotliwego problemu przez sędziego.

Łącznie przez 17 lat w sprawy zaangażowanych było ponad 30 sędziów, co trudno skomentować inaczej niż jako jeszcze jeden przykład niewydolności polskiego wymiaru sprawiedliwości. Ostatecznie zdaniem Stępińskiego Piesiewicz, który został skazany przez sąd opinii publicznej, nie uzyskał ▶

© PIOTR JAXA/FORUM

eprasa.pl 742e21c9af

▶ do śmierci możliwości pełnego oczyszczenia z zarzutów przed sądem powszechnym.

– *Był najlepszym adwokatem, jakiego poznałem w ciągu niespełna 60 lat swojej sądowniczej kariery* – nie waha się Stępiński, odpowiadając, kim był dla niego Piesiewicz. – *Nie tylko doskonale rozumiał prawo i jego źródła, ale także wyróżniał się rzadko spotykanym dziś szacunkiem do zawodu, co przejawiało się nawet w takich szczegółach jak dbałość o godne noszenie i zdejmowanie togi. Potrafił w sposób absolutnie wyjątkowy rozkładać sprawy karne na czynniki pierwsze, biorąc pod uwagę wszystkie istotne okoliczności i fakty prawne.*

Jako wychowanek Uniwersytetu Warszawskiego z lat 60. Piesiewicz rósł w atmosferze etosu inteligenckiego. – *Był człowiekiem bardzo oczytanym. Nie tylko poznawał, ale i rozumiał kluczowe dla inteligencji dzieła* – podkreśla Stępiński – *co dawało mu ogromną przewagę na sali sądowej.*

Prawo było obecne w życiu Piesiewicza zawsze. Jego ojciec był przedwojennym prezesem sądu okręgowego. Po wojnie, ze względów politycznych, nie mógł wrócić do orzekania. Został wówczas prezesem Polskiego Czerwonego Krzyża. Ponieważ nie był partyjny, po pewnym czasie został usunięty z tej funkcji, znajdując zatrudnienie w wydawnictwie Czytelnik, gdzie – jak to ujęła bliska mu osoba – ktoś go przechował, a następnie rozpoczął praktykę w adwokaturze.

Mimo że Krzysztof Piesiewicz uchodził za człowieka skrytego, co często mylono z wyniosłością, najlepiej pasowało do niego określenie „samotnik długodystansowiec". Był postrzegany jako osoba posępna, nieobecna i zamknięta w świecie własnych przemyśleń oraz lektur. Starannie dbał o swój publiczny autorytet i powagę, dopuszczając do siebie niewielu ludzi. Jednak w domu Kieślowskich ta skorupa pękała, stawał się tam człowiekiem otwartym, dowcipnym i ciepłym, który uwielbiał żartować i się wygłupiać. W tandemie z Kieślowskim to Piesiewicz był tym bardziej rozedrganym, emocjonalnym i niepokornym duchem. Choć reżyser uważał, że Piesiewicz nie ma dobrego pióra, doceniał go jako niewyczerpane źródło świetnych pomysłów, intuicji moralnych i autentycznych ludzkich dramatów.

Krzysztof Piesiewicz i Krzysztof Kieślowski poznali się jesienią 1982 r., w ponurym okresie stanu wojennego. Do ich pierwszego spotkania doszło dzięki pośrednictwu wybitnej reporterki Hanny Krall. Kieślowski poszukiwał adwokata zaangażowanego w obronę działaczy opozycyjnych, ponieważ planował realizację filmu dokumentalnego o procesach politycznych (projekt o roboczym tytule „Zdjęcie tygodnia"). Chciał pokazać twarze sędziów i oskarżonych, rejestrując ich emocje. Choć Kieślowski początkowo nalegał na kontakt z adwokatem Tadeuszem de Virionem, Hanna Krall, kierując się intuicją, uznała, że Piesiewicz będzie dla niego lepszym partnerem. Dostrzegła w nich – mimo oczywistych różnic – podobny sposób postrzegania i opisywania rzeczywistości.

Umówili się w kawiarni Świtezianka przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie. Piesiewicz, wówczas wschodząca gwiazda palestry, był zaintrygowany postacią reżysera, ale planował, że spotkanie potrwa najwyżej kwadrans. Ostatecznie rozmawiali przez dwie lub trzy godziny. Piesiewicz zapamiętał Kieślowskiego jako człowieka powalonego, smutnego i zrezygnowanego (cenzura zatrzymała wówczas jego film „Przypadek", a niedługo wcześniej w wypadku zginęła mu matka). Z kolei reżyser od razu zaczął traktować Piesiewicza jak postać ze swoich filmów dokumentalnych, uważnie wsłuchując się w to, co adwokat mówił o realiach sal sądowych. Już następnego dnia spotkali się ponownie w kancelarii Piesiewicza, gdzie adwokat dał reżyserowi do przeczytania swoją ulubioną powieść „Upadek" Alberta Camusa.

Choć planowany dokument o sądach ostatecznie nie powstał (okazało się, że obecność kamery powoduje wydawanie łagodniejszych wyroków), spotkanie to stało się początkiem trwającej 15 lat współpracy scenariopisarskiej i głębokiej przyjaźni, która zaowocowała 17 napisanymi wspólnie, zrealizowanymi przez Kieślowskiego filmami.

Ich pierwszym wspólnym projektem stał się film fabularny „Bez końca", którego scenariusz ukończyli w październiku 1983 r. Ostatnim miała być trylogia „Raj", „Piekło", „Czyściec", przerwana z powodu nagłej śmierci reżysera. Piesiewicz, jako adwokat, wnosił do współpracy bogactwo autentycznych ludzkich dramatów, doświadczeń z sali sądowej. Kieślowski natomiast był mistrzem formy i rzemiosła filmowego, który „rzeźbił" w pomysłach Piesiewicza, nadając im właściwą strukturę. W późniejszym okresie, np. przy „Podwójnym życiu Weroniki" czy „Niebieskim", stosowali metodę opowiadania plamami – budowania historii z luźnych fragmentów, impresji i okruchów zdarzeń, które dopiero w montażu tworzyły spójną całość.

Piesiewicz imponował Kieślowskiemu spokojem, rozwagą i pewną dozą sceptycyzmu. Należało go zawsze przekonywać „wielowarstwowo", szczególnie w kwestiach etycznych. Mimo że był wybitnym prawnikiem i erudytą, bliscy Piesiewicza dostrzegali w jego charakterze coś zupełnie odwrotnego: zaskakującą naiwność oraz życiową nieporadność. Kobiety często opisywały go jako „wiecznego chłopca" wyzwalającego w nich odruchy opiekuńcze. Ta właśnie cecha mogła sprawić, że wydawał się łatwym celem intryg i manipulacji.

Podczas stanu wojennego Piesiewicz był jednym z najbardziej aktywnych obrońców opozycji. Reprezentował działaczy NSZZ Solidarność (m.in. z Huty Warszawa i Ursusa), Radia Solidarność oraz Konfederacji Polski Niepodległej. Bronił m.in. Karola Modzelewskiego, z którym łączyła go głęboka więź. Występował też jako oskarżyciel posiłkowy, reprezentując rodzinę zamordowanego księdza Popiełuszki oraz jego kierowcę Waldemara Chrostowskiego. Zapisał się w historii odważną mową końcową, w której – mimo roli oskarżyciela – sprzeciwił się karze śmierci dla funkcjonariuszy SB, odwołując się do biblijnej zasady „nie zabijaj".

W połowie lat 90. podjął się niezwykle trudnej obrony płk. Kuklińskiego w procesie o rewizję nadzwyczajną wyroku skazującego go na śmierć. Opracował błyskotliwą linię obrony, argumentując, że działania pułkownika nie mogły być uznane za przestępstwo przeciwko interesom nowej Rzeczpospolitej, co otworzyło drogę do jego pełnego oczyszczenia z zarzutów i miało kluczowe znaczenie dla wejścia Polski do NATO.

Jako adwokat bronił w kilkunastu sprawach, w których oskarżonym groził stryczek. Szczycił się tym, że nigdy żaden z jego klientów nie został skazany na śmierć, co wynikało z jego głębokiego przekonania o nadrzędnej wartości życia ludzkiego. Do legendy przeszła obrona w głośnym procesie poszlakowym Zygmunta Bielaja, oskarżonego o porwanie i zabójstwo lekarki z Płocka. Dzięki erudycyjnej mowie obrończej

eprasa.pl 742e21c9af

Krzysztof Piesiewicz z Krzysztofem Kieślowskim w 1993 r.
Ich 15 lat współpracy scenariopisarskiej i głębokiej przyjaźni zaowocowało 17 napisanymi wspólnie, zrealizowanymi przez reżysera filmami.

© PIOTR JAXA/ARCHIWUM KRZYSZTOFA KIEŚLOWSKIEGO/SOKOŁOWSKO

Piesiewicz doprowadził do uniewinnienia klienta od tego drugiego zarzutu.

Jako senator i ekspert Solidarności brał czynny udział w tworzeniu prawa, kładąc szczególny nacisk na ochronę dóbr osobistych i prywatności. Sprzeciwiał się metodom radykalnej lustracji, uznając ją za naruszającą godność jednostki. W 2000 r. wystąpił jako obrońca w zorganizowanym przez „Tygodnik Powszechny" symbolicznym procesie nad minionym stuleciem, który wygrał, broniąc godności jednostki przed masowymi ideologiami totalitarnymi.

Jednym z najbardziej wstrząsających i traumatycznych wydarzeń w jego życiu, noszącym też znamiona politycznej zemsty, było bestialskie zamordowanie jego matki, 82-letniej Anieli. Do tragedii doszło w nocy z 21 na 22 lipca 1989 r. w jej mieszkaniu przy ul. Długiej w Warszawie. Kobieta została skrępowana tzw. węzłem toruńskim – pętle na szyi, dłoniach i stopach połączono jednym sznurem wzdłuż pleców. Jest to metoda wymuszająca skuloną pozycję, w której próba wyprostowania nóg powoduje duszenie się. Sposób związania Anieli Piesiewicz był identyczny z tym, w jaki zamordowano Jerzego Popiełuszkę. Z mieszkania nie zginęły żadne cenne przedmioty. Na progu domu mordercy zostawili maczetę, co Piesiewicz odebrał jako sygnał skierowany bezpośrednio do niego. Sprawców zbrodni nigdy nie wykryto, a ówczesna prokuratura szybko umorzyła śledztwo.

W „Skandalu nie będzie", wywiadzie rzece udzielonym Michałowi Komarowi, Piesiewicz wspomina, że wieczorem przed tragedią stał pod domem matki, ale nie wszedł na górę, myśląc, że starsza pani już śpi. Dzień po odkryciu zbrodni powiedział do Krzysztofa Kieślowskiego: „Spełnił się nasz film »Krótki film o zabijaniu«". Narzędziem zbrodni w obu przypadkach był sznur, co Piesiewicz odczuł jako przerażające zmaterializowanie się jego wizji. Pod wpływem tej traumy zaczął wierzyć, że intensywne skupienie podczas pisania może nieświadomie prowokować przyszłe fakty. Od tego czasu przestał nadawać bohaterom imiona bliskich osób i unikał używania w filmach prawdziwych numerów telefonów znajomych. Morderstwo pogłębiło jego wrodzoną posępność i introwertyzm. Ale mimo ogromnego cierpienia Piesiewicz uznał, że nie może ulec nienawiści, bo „tak nie można żyć".

Politycznie był postacią trudną do jednoznacznego zaszufladkowania. Jego droga parlamentarna wiodła od ugrupowań prawicowych i centroprawicowych aż po liberalno-konserwatywną Platformę Obywatelską. W ciągu wieloletniej kariery senatorskiej (1991–93 oraz 1997–2011) był członkiem Porozumienia Centrum, Ruchu dla Rzeczypospolitej, Ruchu Stu oraz AWS, natomiast w ostatnim okresie swojej aktywności publicznej współpracował z Platformą Obywatelską jako polityk niezależny.

Po odejściu wraz z Janem Olszewskim z PC do RdR głosował wbrew dyscyplinie klubu przeciwko represyjnej ustawie antyaborcyjnej. Opowiadał się za moralnym rozliczeniem z komunizmem, krytykując „grubą kreskę" za umniejszanie zła przeszłości. Jednocześnie sprzeciwiał się też mechanicznej dekomunizacji, broniąc osób, które mimo przynależności do PZPR (jak Maciej Dubois) zachowały moralny kompas. W swoich poglądach łączył przywiązanie do tradycji polskiej inteligencji z silnym nurtem personalizmu chrześcijańskiego i walką o ochronę praw jednostki. Był entuzjastą zjednoczonej Europy, uznając ideę UE za najwspanialszą myśl polityczną w historii.

Do haseł rewolucji francuskiej (wolność, równość) podchodził z dystansem, uważając, że tylko braterstwo jest realną i trwałą wartością. Jako prawnik i senator kładł ogromny nacisk na niezbywalną godność człowieka i ochronę sfery intymnej. Był krytyczny wobec instrumentalizacji prawa przez polityków. W późniejszych latach czuł się wyobcowany w polityce, bolejąc nad zanikiem etosu polskiej inteligencji i pragmatyzmem posuniętym do granic absurdu.

Głosił publicznie – za Tischnerem – pochwałę małżeńskiej wierności, ale sam niekoniecznie ją respektował. Mniej więcej 10 lat przed wybuchem skandalu opuściła go żona Maria Świątek (z zawodu informatyczka), wyjeżdżając do Paryża. „Żona się ze mną rozstała, bo nie wykazywałem się tego rodzaju cnotą. Co zresztą nigdy nie było specjalną tajemnicą" – przyznał uczciwie w wywiadzie udzielonym Tomaszowi Kwaśniewskiemu w „Newsweeku". Mimo rozstania para nigdy nie wzięła rozwodu, pozostając w formalnej separacji. Piesiewicz tłumaczył, że brak rozwodu wynikał z faktu, iż był on sprzeczny z poglądami żony. Zapewniał, że mimo oddalenia łączyły ich bardzo bliskie kontakty. W późniejszych latach, mimo separacji, Maria rzeczywiście wspierała męża w trudnych chwilach, m.in. opiekując się nim po jego problemach zdrowotnych (krwotoku płucnym).

Piesiewicz zmarł w maju br. w wieku 80 lat. Co po nim zostanie? – *Wzorzec prawnika, który nie tylko znał przepisy, ale też głęboko rozumiał źródła i korzenie prawa oraz zasady jego działania* – uważa Stępiński. I dodaje, że życie Piesiewicza po 2009 r. stanie się trwałym przykładem kumulacji całego zła polskiego wymiaru sprawiedliwości. Po Piesiewiczu zostanie również świadectwo 17-letniej batalii prawnej, w której – co Stępiński mocno akcentuje – nigdy nie został prawomocnie skazany.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 742e21c9af

Swój przebój

Rozwój mediów stworzył fenomen przeboju lata, ulepionego z obietnicy słońca, przygody i przyjemności. A przemiany mediów spowodowały, że gatunek ginie na naszych oczach i uszach.

Niewykorzystane zdjęcie z sesji The Beach Boys do ich debiutanckiego albumu „Surfin' Safari", sierpień 1962 r. Poniżej: **Katy Perry na planie programu „American Idol", Hawaje, luty 2023 r.**

BARTEK CHACIŃSKI

Kiedy zaczynają się wakacje? Dla obserwatora sceny muzycznej ich początek przychodził wtedy, gdy szczyt listy bestsellerów zaczynały okupować letnie przeboje. W tym sensie wakacje mamy od połowy czerwca, gdy jedynkę Oficjalnej Listy Sprzedaży zdobył utwór „California Love". White 2115, VVSimon, Palar i PMBTZ rapują „Niebo w Kalifornii przypomina twych oczu błękit", wypełniają tekst opowieściami o imprezach z lejącym się alkoholem, dziewczynami i „robieniem głupot" – z sikaniem do basenu na czele – czyli beztroską w stylu eksportowym. Tam, gdzie zawsze świeci słońce.

Nie ma w tym nic przypadkowego. Od kilku sezonów zza uchylonych szyb samochodów (niestety, często poruszających się z nadmierną prędkością, jak w tekście utworu) latem słychać „Californię", poprzedni przebój White'a 2115, który przekonuje, że w całej tej Kalifornii chodzi bardziej o stan umysłu niż amerykański stan: „I weź tę pracę odstaw/ Zapalmy papieroska/ Niech butelka nie ma końca/ Ze mną będzie zachód słońca". Choć inaczej niż kiedyś w wypadku „Chałupy welcome to" czy „Lambady" – nie do każdego te utwory trafiły.

Bez Kalifornii letnie hity wyglądałyby prawdopodobnie zupełnie inaczej. Znane nam dziś letniaki mają trzy historie: amerykańską, europejską i krajową. I ta pierwsza rozpoczęła się w miejscu, które ma ponad 260 słonecznych dni w roku, kalifornijskim Hawthorne. I w opromienionych słońcem początkach lat 60., gdy wybuchło tu surfingowe szaleństwo. Zafascynowany był nim Dennis Wilson z miejscowej grupy The Beach Boys, a jego brat Brian zaczął pisać o surfingu piosenki.

Ta żelazna formuła – słońce, surfing, samochody i dziewczęta – przyniosła zespołowi sławę i pozwoliła konkurować z Beatlesami. A jej ukoronowaniem było „California Girls". Piosenka niby zupełnie inna niż ta polska, ale z podobną tematyką. Tekst miał w zamyśle porównywać zalety dziewczyn z różnych miejsc w USA, a ostatecznie stał się apoteozą tych z Kalifornii. Później nagrywana była w wielu kolejnych

eprasa.pl 742e21c9af

wersjach, m.in. przez meksykańską grupę Sol De Mexico w sombrerach i w wersji „Acapulco Girls", cytowali ją też w swoim wielkim przeboju „California Gurls" (2010 r.) Katy Perry i Snoop Dogg.

Problem w tym, że Amerykanie tak naprawdę pozazdrościli Włochom. Bo zanim The Beach Boys nagrali pierwszą piosenkę, listy przebojów za oceanem zdominował wzorzec letniaka, „Nel blu, dipinto di blu", znany również jako „Volare" – od refrenu piosenki opowiadającego o szybowaniu pod niebem we śnie. Śpiewający aktor Domenico Modugno najpierw zimą 1958 r. wygrał nią festiwal w San Remo, później reprezentował Włochy na konkursie Eurowizji (trzecie miejsce), a wreszcie sprzedał ponad 800 tys. sztuk singla w rodzinnym kraju, podbijając listę bestsellerów „Billboardu" w pierwsze lato jej istnienia – w USA sprzedano 2 mln sztuk singla, a kolejne 1,5 mln osiągnęła anglojęzyczna wersja Deana Martina. We Francji numerem jeden była wersja Dalidy, w Polsce Janusz Gniatkowski śpiewał „Leciałem, o-ho!/ Śpiewałem, o-ho-ho-ho!". Ostatecznie utwór jest do dziś prawdopodobnie najczęściej słuchaną włoską piosenką na świecie – niedalej jak w lutym włoskie igrzyska olimpijskie (zimowe) otwierała Mariah Carey, śpiewając „Volare".

W Europie rządził śródziemnomorski model przeboju lata. Kontynent odkrył go w 1960 r., wraz z sukcesem Meliny Mercouri i jej „Ta Pedia Tou Pirea", piosenki z filmu Julesa Dassina „Nigdy w niedzielę". Tu model był podobny – po sukcesie Mercouri w Cannes (skąd wyjechała z nagrodą aktorską) francuski przebój lata z jej piosenki – już jako „Les enfants du Pirée" – zrobiła Dalida. Utwór wywołał światowe szaleństwo wokół greckiego nurtu rebetiko (którym fascynował się później m.in. Leonard Cohen), były liczne wersje angielskie, ale też chińska, indyjska, a nawet w języku jidysz. W Polsce śpiewały ją Filipinki (w oryginale) i Maria Koterbska (jako „Dzieci Pireusu"). Ta druga wersja do tekstu Agnieszki Osieckiej: „Jak ja to lubię:/ ten tłum jaskrawych dzieci/ i słońce, co im świeci,/ i letniej ziemi żar".

Dziś czar greckiej piosenki trochę przyblakł, ale polscy turyści mogą ją sobie odświeżyć, zwiedzając Ateny tropem Meliny Mercouri (jest pomnik w dzielnicy Plaka, a niedaleko poświęcona aktorce i późniejszej greckiej minister kultury kawiarnia). Z kolei syn reżysera filmu Joe Dassin doczekał się w 1975 r. konkurencyjnego przeboju – piosenki „L'Été indien", która podbiła cały obszar frankofoński i też zaistniała w kilkunastu wersjach językowych. Sam Dassin nagrał wersję angielską, niemiecką i włoską. Co prawda spacer po plaży z ukochaną, który był – według tekstu – najszczęśliwszym momentem w życiu dla bohatera utworu, odbywa się wczesną jesienią, ale sama piosenka (w istocie przeróbka włoskiego utworu z repertuaru Toto Cutugno i jego grupy Albatros) okazała się bezapelacyjnym hitem lata.

We Francji pojawiła się nawet parodia „Babiego lata" zatytułowana „Le tube de l'hiver" (Przebój zimy). Guy Bedos śpiewał coś, co wydawało się pesymistycznym rewersem oryginału: „Wiesz, nigdy nie byłem tobą bardziej zdegustowany niż tego roku...". I dalej: „Była zima. Wiem, już to mówiłem, ale w piosence zwracamy się do debili, więc trzeba powtarzać tekst parę razy".

Polska letnia piosenka hartowała się z dala od słońca Kalifornii czy Morza Śródziemnego. Promowała tutejsze atrakcje: podróże parostatkiem (Krzysztof Krawczyk), pociągiem („Remedium" Maryli Rodowicz), a nawet autostopem (Karin Stanek). W tej krajowej wersji przeboju lata pojawiała się plaża bałtycka – jak w „Wakacjach z blondynką" Macieja Kossowskiego, który w tekście Jonasza Kofty spotkał „dziewczynę z bursztynu na plaży koloru blond". Dopuszczalne było też słońce demoludów. Filipinki „dźwięczący cykadami świt" odkrywały nie na Jamajce czy nad Morzem Śródziemnym, tylko w Gruzji, na „herbacianych polach Batumi".

Jamajka pojawiła się w czasach późnego PRL, gdy Zbigniew Wodecki podbił Polskę przebojem o naturystach: „Sun of Jamaica blues/ Polish Barbados i Galapagos/ Chałupy welcome to!", napisanym zresztą na zamówienie Polskiego Radia. Wpisywał się w egzotyczny nurt letniaków, cytując superprzebój „Sun of Jamaica" niemieckiego zespołu Goombay Dance Band. Piosenkę inspirowaną filmem „Bunt na Bounty", która opowiada o człowieku realizującym swoje młodzieńcze marzenie, docierającym na Jamajkę i odnajdującym tam miłość – modelowy przykład letniaka i stereotyp egzotycznego snu europejskiego turysty.

Egzotyka rządziła letnią piosenką przez wiele sezonów. Lato 1989 r. ▶

© MICHAEL OCHS ARCHIVE/GETTY IMAGES, EAST NEWS

eprasa.pl 742e21c9af

REKLAMA

DOOKOŁA MUZEUM

Akcja jubileuszowa w Muzeum Warszawy i jego oddziałach

19.06.2026——1.02.2027

MUZEUM WARSZAWY 90 LAT 1936—2026

instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

patronat honorowy Prezydenta miasta stołecznego Warszawy

Partner jubileuszu: WAREXPO

Patroni medialni jubileuszu: TVP3 WARSZAWA, TVP I info_, POLITYKA, tokfm, nasze miasto.pl

Partner edukacji Muzeum Warszawy: PGE

muzeumwarszawy.pl

▶ należało do „Lambady" grupy Kaoma, założonej przez dwóch francuskich producentów, pocztówki z bliżej nieokreślonego kraju latynoamerykańskiego (mieszanka stylów brazylijskich, kolumbijskich i jamajskich), która szybko okazała się plagiatem piosenki boliwijskiego zespołu Los Kjarkas z 1981 r. A 1993 r. podbiła równie rozerotyzowana i roztańczona „Macarena" Hiszpanów z Los Del Rio. W Polsce do dziś bijemy rekordy Guinnessa w liczbie osób tańczących naraz układ choreograficzny tej piosenki. A w latach 90. szaleństwo wspólnego tańca na plażach kurortów ogarniało stopniowo cały świat – aż w 1996 r. Bill Clinton wykorzystał utwór jako swój hymn w zwycięskiej kampanii wyborczej.

„To bardziej odczucie niż jakiś konkretny gatunek" – pisze o odrębności letnich przebojów James Arena, autor książki „Hot Summer Jams" (zbierającej letniaki od 1975 do 2005 r.). To pożądane wrażenie podsumowuje prosto: „słoneczna strona życia". Za tym mamy tęsknić później, gdy jest chłodno i nudno – za ekscytacją słońca, przyjemności, romansu i ucieczki.

W polskich warunkach te tęsknoty najlepiej zamknęła fraza „Podaruj mi trochę słońca" z tekstu Marka Dutkiewicza dla grupy Bemibem. Sama piosenka to „szczypta optymizmu i latynoskiej energii w epoce wczesnego Gierka", jak opisywał Kuba Ambrożewski w trójkowym cyklu „Piosenka do wyjaśnienia". A tekst analizował prof. Jerzy Bralczyk w książce „500 zdań polskich": „Słońce, mierzone trochami, daje się wyobrazić. To i światło, i ciepło, i pogoda, i dobry nastrój".

„Byłem z tego eseju bardzo dumny" – mówił Marek Dutkiewicz w podkaście POLITYKI, opowiadając, że warunki powstawania letnich hitów potrafią być paradoksalne. Świadczy o tym historia piosenki Urszuli „Dmuchawce, latawce, wiatr". „Nagrywaliśmy to w koszmarnych warunkach, w wyziębionym studiu Polskich Nagrań na Długiej, a Urszula miała rękę lub nogę w gipsie" – wspominał autor. Ale wszyscy, od twórców (Romuald Lipko napisał, nietypowo dla siebie, muzykę w rytmie walczyka) po realizatora, mieli świadomość, że to będzie przebój.

Może było tak ze względu na obietnicę niesioną już w pierwszych słowach piosenki: „Obudzimy się wtuleni w południe lata". James Arena zwraca uwagę, że potrzeba kontaktu z takim pogodnym przekazem jest powszechna. Nawet autorzy poruszających, melancholijnych songów tęsknią za ciepłymi letniakami. Kiedy Bruce'a Springsteena zapytali w telewizyjnym show Stevena Colberta, jaką piosenkę by wybrał, gdyby mógł do końca życia słuchać tylko jednej, odpowiedział: „Summer Wind" Franka Sinatry.

Popyt trzeba zaspokoić, produkcja letniego przeboju często nie miała więc wiele wspólnego z weną. Trochę jak piosenki na święta, pisało się go na zamówienie. W ten sposób powstają u nas co roku hymny Męskiego Grania. To rodzaj samospełniającej się przepowiedni: kilkoro bardzo popularnych artystów pisze piosenkę na lato, nagrywają ją odpowiednio wcześnie – tak, by już w maju była na rynku. Jednocześnie ogłaszają kolejną odsłonę wielkiej trasy, serię koncertów w największych miastach. Tak było z utworem „Początek" Dawida Podsiadły, Krzysztofa Zalewskiego i Korteza – granym wszędzie i przypominanym nie tylko latem. Tegoroczny hymn imprezy – „Nareszcie" śpiewane przez Zalię, Vito Bambino i Igora Herbuta – ze swym pozytywnym przekazem („Nareszcie, dogadaliśmy się ja i serce") też trafiło na szczyt list bestsellerów.

Ważny jest oczywiście aspekt finansowy. Z tantiem od odpowiednio popularnej piosenki na lato można przeżyć lata. To przypadek Raya Dorseta z grupy Mungo Jerry, który całą linię melodyczną wielkiego przeboju o letnim lenistwie „In the Summertime" napisał podobno w 10 minut – w pracy. Był wtedy laborantem w produkującej zegarki firmie Timex. Kiedy latem 1970 r. utwór trafił na pierwsze miejsca list bestsellerów w kilku krajach, też był w pracy – koleżanki z firmy doniosły o sukcesach singla, który ostatecznie sprzedano w ponad 30 mln egzemplarzy. Wywołał krótkotrwałą sensację, ale później wracał niemal w każdym roku. „Największą satysfakcję miałem z tego – mówił Dorset w „Guardianie" – że w kolejnych dekadach, słysząc ten utwór, ludzie mówili, że pamiętają lato roku 1970".

Nie wiemy, ile Dorset zarobił na tej piosence. Wiemy jednak, że same straty z tytułu nieautoryzowanego wykorzystania oszacował na ponad 20 mln funtów, a jednemu ze swoich menedżerów wytoczył proces o 2 mln funtów niedopłaconych honorariów. Wyjściowa suma musiała więc być znacząca.

W maju ubiegłego roku Taylor Crumpton na łamach „Time'a" ogłosiła śmierć przebojów lata. „Doświadczenia Amerykanów ze słuchaniem muzyki przestają być jednolite, ich wybory stają się zindywidualizowane" – pisała autorka. Od dawna wiadomo, co jest odpowiedzialne za ten kryzys wspólnego słuchania: streaming, który ostatecznie spersonalizował nasze playlisty. Sprawcą kryzysu wspólnego tańca przy letnich hitach jest z kolei TikTok, który stawia na prezentację tańca na ekranie. A przede wszystkim – na krótkotrwałe trendy. W tych warunkach trudno myśleć kategoriami przeboju wakacji, prędzej już wiralu tygodnia.

„Im bliżej nowego wieku, tym rzadsze stawały się prawdziwe przeboje lata" – wyrokują w książce „Grande histoire et petits secrets des tubes de l'été" Jean-Marie Potiez i Alain Pozzuoli. Powody? Zmiana nawyków słuchaczy i segmentacja rynku. Radio przestało się kierować do wszystkich, prywatne stacje się sprofilowały, a telewizje zaczęły promować swoje przeboje lata, przy czym nie walczyły wspólnie – jedne stacje bojkotowały letniaki wybrane przez drugie.

Co więcej, o ile radio i telewizja starały się co roku lansować na przebój lata nową piosenkę, o tyle media społecznościowe chętnie przywracają stare. W 2021 r. TikTok pomógł zrobić wiral z utworu „Running Up That Hill" Kate Bush, który stał się w wielu krajach przebojem lata, wracając (po latach) na pierwsze miejsce list bestsellerów, a wcześniej na ścieżkę dźwiękową serialu „Stranger Things". W zeszłym roku serwis przywrócił do chwały (po 10 latach) piosenkę „Hold My Hand" Jess Glynne. Na dzisiejszej liście najpopularniejszych socialowych przebojów stare hity mieszają się z nowymi, a mundialowe hymny spotykają śmieszne melodie wykorzystywane w tiktokowych remiksach.

Jeśli więc nie nucimy wszyscy „Nareszcie", a każdy ma swoją ulubioną wersję „California Girls", to znaczy, że nie żyjemy już w tym samym świecie – nawet latem, obok siebie, na plaży. Czy pojawi się jeszcze piosenka, która zamrozi wspomnienie konkretnych wakacji dla wszystkich? Być może. Ale bardziej prawdopodobne, że to przeszłość i – jak mówił Bogusław Linda w utworze Świetlików – „nigdy nie będzie takiego lata".

BARTEK CHACIŃSKI

eprasa.pl 742e21c9af

Pod warstwą humoru

Polski komiks stracił największego ze swoich mistrzów. Tadeusz Baranowski wychował kilka pokoleń na swoim absurdalnym humorze i zabawach słowem.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Mały wódz Wielki Niepokój rozpoczyna przemowę: „Otwieram 46 794 875 naradę wodzów starszych i nie tylko. Dzisiaj będę straszny, opowiem wam dowcip...". „Ten o gąsce Balbince?", „Ależ wodzu, co wódz!", oponuje starszyzna, na co Wielki Niepokój obrażony odpowiada: „To ja przepraszam" i odchodzi. Ten dialog znają nawet osoby, które nie pamiętają, że pochodzi z albumu Tadeusza Baranowskiego „Skąd się bierze woda sodowa i nie tylko...". Być może rozpoznają także charakterystyczną sylwetkę wodza ubranego w czerwone ponczo i czarny cylinder. Artysta widział w tej postaci swoje alter ego, więc nic dziwnego, że na poświęconej mu wystawie „Śmieszy, tumani, przestrasza" w łódzkim EC1 Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej każdy chętny mógł się przebrać za obrażalskiego wodza.

Rysownikiem komiksowym został trochę z przypadku, trochę z konieczności. Jego ojciec, ceniony lubelski rzeźbiarz, widział w nim muzyka, ale nastoletni Tadeusz – choć grywał przez jakiś czas w zespołach jazzowych – marzył przede wszystkim o malarstwie. Ukończył warszawską Akademię Sztuk Pięknych, lecz ostatecznie pasja przegrała z pracą zarobkową (do regularnego malowania obrazów wrócił dopiero w XXI w.). Projektował szatę graficzną i typografię w popularnych czasopismach, robił ilustracje, wreszcie w połowie lat 70. dał się namówić na narysowanie pierwszego komiksu, jeszcze do cudzego scenariusza. Ale to za jego autorskie dzieła pokochaliśmy go najbardziej, choć sam autor do końca życia patrzył na swoje osiągnięcia z dystansem. „Naprawdę nie wiem, dlaczego moje komiksy wciąż cieszą się taką popularnością", mówił w wywiadzie dla POLITYKI (37/24).

W latach późnej peerelowskiej smuty Baranowski i jego opowieści nieśli radość

i absurdalny humor. Jego najważniejsze albumy – „Skąd się bierze woda sodowa", „Antresolka profesorka Nerwosolka", „Na co dybie w wielorybie czubek nosa Eskimosa", „Podróż smokiem Diplodokiem" – okazały się w historii polskiego komiksu zjawiskiem osobnym. W przewrotnych historyjkach, często wywracających gatunkowe reguły na lewą stronę, Baranowski tworzył barwne postaci, surrealistyczne scenografie, a przede wszystkim pisał zapadające w pamięć dialogi. „Jestem może powolny, ale jak się rozkręcę...". „Po szwajcarskim akcencie poznajemy dziury w serze". „– Przerwij na chwilę... – Zaraz przerwę, tylko skończę...". Tylko Papcio Chmiel z książeczkami o Tytusie miał większy wpływ na potoczną polszczyznę. U Baranowskiego było może mniej chwytliwych bon motów, za to więcej precyzyjnej, inteligentnej układanki słów, wieloznaczności, rytmu, wreszcie odkrywania ukrytych w słowach sensów. Potrafił pisać przenikliwe, celne dialogi, których nie powstydziliby się Stanisław Bareja czy Marek Koterski.

Bohaterowie jego albumów często mają świadomość, że są postaciami z komiksu. Dialogują z odautorskimi didaskaliami, wykorzystują na swoją korzyść układ plansz i kadrów, w razie potrzeby mogą przeskakiwać z obrazka do obrazka lub poruszać się w pustej przestrzeni między ilustracjami. Baranowski, być może z przekory wobec samej formy komiksu jako sztuki, nieustannie ją dekonstruował, badał jej możliwości narracyjne. Czerpał mocno z popkultury, z tradycji brytyjskiego humoru, klasyki kina gatunkowego. Skoro już los wepchnął go w rolę artysty komiksowego, bawił się nią na różne sposoby. Nigdy jednak nie tracił z oczu odbiorców.

Rysował komiksy i dla najmłodszych (niektóre przy współudziale żony Anny Baranowskiej), i dla dorosłych („Porady Praktycznego Pana"), te najsłynniejsze były jednak atrakcyjne dla wszystkich. Dzieci dostawały barwne, zaskakujące przygody i niecodziennych bohaterów, dorośli – niezliczone aluzje polityczne, społeczne i kulturowe. Choć czasami Baranowski nawet nie ukrywał swojej złości na otaczającą go rzeczywistość: do dziś może zaskakiwać, jak wpleciona w przygody Orient Mena historia Eskimosa próbującego naprawić zepsuty kaloryfer i zderzającego się z obojętnością biurokracji przeszła na początku lat 80. przez cenzorskie sito. A przez grubą warstwę humoru przebijały czasem egzystencjalne lęki: wiele komiksów Baranowskiego to w gruncie rzeczy podszyte melancholią opowieści o neurozach, niespełnieniu, bezcelowości istnienia, strachu przed samotnością, metaforycznym i dosłownym zagubieniu w rzeczywistości.

W ostatnich dekadach Tadeusz Baranowski komiksy rysował coraz rzadziej, choć nigdy ich nie porzucił. Wrócił za to do malarstwa, malował obrazy przestrzenne, o głębokiej fakturze i skomplikowanych strukturach, wykorzystywał w nich często materiały organiczne, kleje, odpadki. Doczekał się kilku indywidualnych wystaw, ostatnia – „Żyję tylko od obrazu do obrazu" w Muzeum Narodowym w Lublinie, pokazywana wiosną tego roku – okazała się symbolicznym zamknięciem jego kariery. Pracował nad kolejnym obrazem, nie zdążył go jednak dokończyć. Zmarł 7 lipca w wieku 81 lat.

„Zacząłem tworzyć obrazy, które pobudzają wyobraźnię widza, działają na jego emocje i pozwalają zanurzyć się w światy mu nieznane", mówił. Odkrywał nieznane światy zarówno w malarstwie, jak i komiksach. Kilka pokoleń czytelników zawdzięcza mu niezapomniane podróże. ■

© KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 742e21c9af

Szachy fantasy

Seria gier strategiczno-fabularnych „Heroes of Might and Magic" ma już ponad 30 lat. To fenomen, którym zachwyca się już trzecia generacja.

OLAF SZEWCZYK

Mit założycielski świata „Might and Magic" ma, jak to zwykle bywa w przypadku legend, kilka różniących się wersji. Gdyby wyciągnąć z nich średnią, olśnienie o randze przebłysku geniuszu miało genezę następującą. Otóż w upojną noc sylwestrową Jon van Caneghem, 20-letni student matematyki na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, intensywnie oddawał się dionizjom. Jak wspomina w wydanym właśnie przez gamebook.pl albumie Neala Hallforda „Heroes of Might and Magic. 30 lat legendarnej serii", „pochłonął dawkę alkoholu, która powaliłaby słonia". Rano, sponiewierany kacem („obudziłem się z potwornego koszmaru"), zapragnął dokonać ablucji. I wtedy właśnie doznał łaski objawienia: „A kiedy brałem prysznic, by ochłonąć, cała koncepcja zmaterializowała się przed moimi oczami na zasłonie prysznicowej. Musiałem ją tylko zapisać".

Opuściwszy świat metafizycznych transgresji umysłu, korzeni powstania uniwersum „Might and Magic" powinniśmy szukać w generacyjnych doświadczeniach Jona von Caneghema, który jest modelowym wytworem swej epoki. Urodzony na początku lat 60., jest dzieckiem artystki, która wychowywała go przy Bulwarze Zachodzącego Słońca wraz z jego ojczymem, neurologiem, profesorem z przyszłej alma mater Jona. Dorastając w artystyczno-intelektualnej atmosferze zachodniego Hollywood, w naturalny sposób wsiąkł w tworzącą się właśnie kulturę geeków. Można tu szukać analogii choćby z powstaniem manufaktury Apple, stworzonego przecież przez dwóch długowłosych Steve'ów: Jobsa i Wozniaka, wywodzących się (zwłaszcza Jobs, amator LSD i podróży do Indii) z kultury hipisowskiej.

Był więc von Caneghem, co typowe dla ówczesnych przedstawicieli kontrkultury, wielbicielem tolkienowskiej trylogii „Władca Pierścieni". Tak jak bohaterowie „Stranger Things" uwielbiał gry planszowe i RPG. Tradycyjne, papierowe RPG, rzecz jasna, bo komputerowych jeszcze nie było – rozgrywające się w wyobraźni, z mistrzem gry decydującym o rozwoju fabuły i z rzutami sześciościennymi kostkami przesądzającymi o wyniku starć z napotkanymi potworami. I tak jak walczące z Demogorgonem dzieciaki z fikcyjnego miasteczka Hawkins w stanie Indiana, uwielbiał matkę wszystkich gier RPG: „Dungeons & Dragons".

Latem 1983 r., gdy bohaterem kin był nastoletni haker z „Gier wojennych", Jon zasiadł przed swym komputerem Apple II, by zmaterializować – czy może raczej zwirtualizować? – zesłaną przez Bachusa wizję spod prysznica. Uwielbiał programować na Apple II, uwielbiał RPG, nie mógł natomiast znieść tego, że z powodu rozmaitych uwarunkowań jego przyjaciół trudno mu było umawiać się z nimi na, zawsze wielogodzinne, sesje „Dungeons & Dragons". Poza tym najmniej bawiło go w niej to, co dla wielu jest esencją tradycyjnych gier fabularnych, a mianowicie odgrywanie roli. „Nie kręciły mnie interakcje i mówienie zmienionym głosem, żeby na przykład udawać wyrocznię" – wspomina. Postanowił więc zastąpić kumpli algorytmami.

Szlak przetarła wydana dwa lata wcześniej rewolucyjna gra „Wizardry: Proving Grounds of the Mad Overlord" jako pierwsza umożliwiająca, w oparciu o mechanikę i zasady „D&D", kontrolowanie drużyny bohaterów. Klasykiem była już wtedy także „Ultima", dzieło Richarda Garriotta, znanego światu jako Lord British oraz romantyczny eskapista, który dzięki zarobionej na grach fortunie wykupił lata później, za ok. 30–35 mln dol., prywatny lot na Międzynarodową Stację Kosmiczną.

Młodemu matematykowi z UCLA praca nad grą, którą świat poznał jako „Might and Magic Book One: The Secret of the Inner Sanctum", nazywaną skrótowo „Might and Magic", zajęła trzy lata. Pierwszy rok spędził na zgłębianiu języka oprogramowania asembler, optymalnego do tworzenia gier na Apple II. „Codziennie uczyłem się, jak tworzyć najprostsze rzeczy. To mogło być na przykład narysowanie kropki na ekranie (...). Wymyślanie projektu gry szło dziesięć razy szybciej niż programowanie, dlatego stworzenie całości potrwało dużo dłużej, niż zakładałem".

Autor wszystko zrobił sam. Był programistą, scenarzystą, grafikiem, projektantem mechaniki gry, wyzwań i poziomów, w końcu twórcą muzyki i efektów dźwiękowych. W czasach, gdy nie istniały narzędzia programistyczne, które ułatwiałyby czy automatyzowałyby cokolwiek. Wszystko polegało na siermiężnym wpisywaniu linii kodu za linią.

Doświadczenia zebrane w tradycyjnych grach fabularnych dały za to van Caneghemowi łatwość w oblekaniu kodu treścią.

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 742e21c9af

„Zawsze spoglądałem na »D&D«, gdy potrzebowałem inspiracji w kwestii tego, jak mają działać bohaterowie i ich ekwipunek. Wiedziałem, że to będzie przygoda rozgrywana na mapie, podobnie jak w papierowym RPG. I że będą tam historie władców, i tło fabularne, i historia świata, i że gracz na każdym kroku będzie trafiał na skrawki tekstu opowiadające o konkretnych wydarzeniach". Reasumując: tworzył epicką opowieść heroiczną utkaną z zer i jedynek. Absolutna kontrola nad każdym słowem sprawiła, że czuł się jak autor książki.

Wiedząc o jego fascynacji opowieściami fantastycznymi i futurystycznym światem ultranowoczesnych technologii komputerowych, nie można być zaskoczonym, że „Might and Magic" okazała się melanżem fantasy i science fiction, a fundamentem przedstawionego uniwersum była wielka kosmiczna bitwa dwóch obcych ras. Kolejne gry w serii były z tą wizją fabularnie spójne.

Od strony wizualnej „Might and Magic" prezentowała się zgrzebnie. Były to jednak czasy, gdy gry fabularne rozgrywano przede wszystkim w wyobraźni, nikogo to zatem nie raziło. Przeciwnie, nawet symboliczne wizualizacje magicznych potworów i zaledwie zaznaczone konturową kreską obiekty robiły niezwykłe wrażenie zderzenia świata fantastycznego ze światem wyrafinowanej technologii rodem z wizji SF. A to wystarczyło, by amatorów RPG przyprawiać o ciarki.

O ile jednak Jon van Caneghem mógł stworzyć grę samodzielnie, o tyle już z dystrybucją błyskawicznie zdobywającego popularność produktu nie był sobie w stanie sam poradzić. Gdy dostał od Activision pierwsze zamówienie na 50 tys. kopii, skrzyknął do pomocy zaprzyjaźnionych geeków i nerdów: miłośników gier RPG oraz komputerów Apple II. Razem, już jako firma New Worlds Computing, zajęli się mozolną pracą u podstaw: zamawianiem wydruków okładek, nagrywaniem dyskietek, pakowaniem pudełek i wysyłką. Pierwszy zatrudniony przez van Caneghema pracownik, Mark Caldwell, późniejszy filar prac nad serią, tak wspominał ów magiczny, pionierski etap w historii firmy: „Nasz pierwszy czek opiewał na kwotę 964 tys. dol. i dosłownie go sobie skserowaliśmy. Zrobiliśmy fotokopie, które potem obaj powiesiliśmy na ścianie".

Pracownicy NWC byli wielbicielami serialu „Star Trek". W „Might and Magic" można doszukać się inspiracji odcinkiem „Zabłąkana asteroida" opowiadającym o istotach żyjących wewnątrz kosmicznej skały. A słynne logo firmy, planeta przebita mieczem, to niemal dosłowne zapożyczenie ze startrekowego epizodu „Po drugiej stronie lustra". Do głównych zajęć pracowników w pionierskim okresie należała gra w planszówki lub papierowe gry RPG. Przebojem była, wówczas popularna wśród geeków, planszowa gra strategiczna „Starfleet Battles" umieszczona, a jakże, w uniwersum „Star Treka". Niezwykle złożona, wymagająca znajomości kilku tomów (!) podręcznika. Trzej najlepsi gracze w USA byli pracownikami New World Computing. Tytuł Mistrza Kraju w 1986 r. zdobył sam szef Jon van Caneghem, odtąd cieszący się przydomkiem As Fazerów.

Seria „Might and Magic" doczekała się wielu odsłon. Ostatnia jak dotąd, „Might and Magic X: Legacy", ukazała się w 2014 r. Najważniejszą okazała się trzecia część cyklu turowych gier strategicznych „Heroes of Might and Magic". Zaczęło się przez przypadek. As Fazerów zamarzył, by zwirtualizować ulubioną planszówkę „Starfleet Battles". Po serii dramatycznych zwrotów akcji w walce o prawa autorskie ostatecznie poniósł porażkę. Koncepcja stworzenia komputerowego odpowiednika gry planszowej uczepiła się go już jednak jak rzep. W efekcie stworzył „King's Bounty" – strategię turową łączącą walkę armii z zarządzaniem ekonomią, bez której żadnej wojny wygrać się nie da. Jak zwykł mawiać van Caneghem: „szachy fantasy".

Premiera „King's Bounty" w 1990 r. okazała się gorzkim sukcesem. Gra zebrała przychylne opinie krytyków, ale nie sprzedała się najlepiej. Zniechęcony van Caneghem chciał podwinąć ogon i pozostać przy tworzeniu kolejnych „Might and Magic". Nie miał jednak na to szans, bo rozkochana w „King's Bounty" małżonka zażądała kontynuacji. A – jak wiadomo – lepiej już wejść z patykiem zamiast miecza do jaskini wiwerny, niż narazić na szwank małżeństwo. Kolejne gry rozwijające idee „King's Bounty" ukazywały się jako „Heroes of Might and Magic".

Prace nad pierwszą zabrały New World Computing kilka lat. W 1995 r. świat poznał opowieść o Lordzie Morglinie Ironfist, który zmuszony był zbiec przez magiczny portal ze swej rodzinnej planety Varn (miejsce akcji „Might and Magic") do świata Enroth, który dopiero musiał podbić. Gra odniosła sukces, ale była zaledwie zalążkiem koncepcji, którą rozwinęła już rok później kolejna gra w serii: „Heroes of Might and Magic: A Strategic Quest". Ta osiągnęła już sukces nie tylko wśród krytyków, ale i komercyjny.

Pierwszą odsłoną serii, do której warto wracać (są osoby, które jeszcze dziś uważają ją za niedościgniony wzorzec), była „Heroes of Might and Magic II: The Succession Wars" (1996 r.). Tu koncepcja „szachów fantasy" została wreszcie dopięta. Ale było w tej grze jeszcze coś magicznego, co nie pozwalało oderwać się od ekranu; coś wywołującego efekt „jeszcze jednej tury", przez co gracze, usiadłszy wieczorem na chwilkę, wkrótce zauważali, że za oknami robi się już jasno. Na pewno mogła się podobać urokliwa, choć ciut przestarzała, oprawa wizualna. Znakomita orkiestrowa muzyka, z hipnotyzującymi partiami operowymi wówczas 17-letniej mezzosopranistki Kareen Meshagan. Wtedy już jednak było wiadomo, że „hirołsi" mają w sobie coś, czego nie da się ująć słowami.

Momentem kulminacyjnym okazała się fenomenalna część trzecia: „Heroes of Might and Magic III: The Restoration of Erathia" (1999 r.). Jeszcze bardziej odprężająca, z przepiękną muzyką i kojącymi ilustracjami. I jeszcze bardziej urokliwa, wręcz magiczna. Być może mogłaby coś na ten temat zdradzić Bonnie Long-Hemsath, artystka pracująca dla van Caneghema już od 1990 r.? Ta eteryczna hipiska miała olbrzymi wpływ na prezencję gier z serii „HoMM". I nieprzypadkowo niektóre czarodziejki na portretach tytułowych herosów noszą jej rysy. Uważała się za jedną z nich, przekonana, że ma dostęp do pradawnych mistycznych mocy.

Być może coś jest na rzeczy, bo „Heroes of Might and Magic III" to fenomen jedyny w swoim rodzaju, wciąż szalenie popularny. W Polsce regularnie organizowane są turnieje, działa liga. 1 czerwca rozpoczęła się faza grupowa mistrzostw Polski w „Heroes of Might and Magic III", do których zgłosiło się ponad pół tysiąca zawodników. Finał w listopadzie. W Polsce koncertuje też ok. 120-osobowa Heroes Orchestra wykonująca muzykę z gier, głównie z serii „Heroes of Might and Magic". Jej rdzeń tworzą studenci Uniwersytetu Muzycznego Chopina w Warszawie.

Wszystkie cytaty pochodzą z wydanego przez gamebook.pl albumu Neala Hallforda „Heroes of Might and Magic. 30 lat legendarnej serii".

eprasa.pl 742e21c9af

Między solidarnością a inwestycją

PZU w centrum rozmów o przyszłości Ukrainy

Ukraine Recovery Conference 2026 w Gdańsku była nie tylko politycznym sygnałem wsparcia dla Kijowa, ale także praktyczną platformą budowania inwestycji, partnerstw i społecznej odporności. Wśród najaktywniejszych uczestników znalazła się Grupa PZU i Fundacja PZU – pokazując, że odbudowa Ukrainy to jednocześnie projekt gospodarczy i społeczny.

Ukraine Recovery Conference (URC) to międzynarodowe wydarzenie skupiające przedstawicieli rządów, instytucji finansowych, biznesu oraz organizacji społecznych wokół jednego celu: odbudowy Ukrainy i jej integracji z europejską gospodarką. Tegoroczna edycja w Gdańsku miała szczególny wymiar. Po raz pierwszy w tak dużej skali rozmawiano nie tylko o pomocy, ale także o inwestycjach, rynku pracy i długoterminowych fundamentach rozwoju.

Ubezpieczenia jako warunek odbudowy

Grupa PZU wystąpiła w Gdańsku w roli oficjalnego partnera konferencji, podkreślając swoje ponad 20-letnie doświadczenie na rynku ukraińskim. Główny przekaz polskiego ubezpieczyciela jest spójny: odbudowa Ukrainy nie powiedzie się bez kapitału prywatnego i mechanizmów ograniczania ryzyka.

Podczas odbywającego się na zaproszenie Narodowego Banku Ukrainy panelu „Insurance and banking markets of Ukraine. Prospects for future growth" prezes PZU Bogdan Benczak zaznaczył: – Ukraina jest rynkiem o dużym potencjale, ale jednocześnie wymagającym odpowiedzialnego i ostrożnego podejścia. (...) Odbudowa i rozwój Ukrainy będą wymagały silnego sektora finansowego i nowoczesnych rozwiązań ubezpieczeniowych.

Temat ubezpieczeń pojawił się w Gdańsku jako kluczowy element umożliwiający inwestycje w warunkach podwyższonego ryzyka. To właśnie ubezpieczenia pozwalają firmom wchodzić na rynek, zabezpieczać transport, projekty infrastrukturalne i handel.

Między deklaracją a działaniem

Jednym z ważnych tematów konferencji Ukraine Recovery Conference 2026 była dyskusja poświęcona wykorzystaniu aktywów państwowych jako impulsu dla inwestycji i rozwoju gospodarczego, w której Bogdan Benczak zaznaczył:

– PZU przeszło długą drogę: od złożonych procesów przekształceń własnościowych do pozycji lidera polskiego rynku ubezpieczeń. Życzę Ukrainie, aby dzięki wykorzystaniu doświadczeń innych krajów jej droga do sukcesu była krótsza i prostsza. Kluczem jest dobra strategia oraz konsekwencja w jej realizacji. Dla inwestorów równie ważne są przejrzyste reguły gry, stabilne prawo i wiarygodne instytucje – to fundament długoterminowego

fot. Ukraine Recovery Conference (2)

fot. Ukraine Recovery Conference

eprasa.pl 742e21c9af

kapitału. Otwarcie pierwszego klastra negocjacyjnego i dalsze dostosowywanie ukraińskiego prawa do standardów europejskich to ważny sygnał dla inwestorów. Transparentność, przewidywalne regulacje i wysoka jakość zarządzania budują wiarygodność państwa, a to właśnie ona jest fundamentem długoterminowych inwestycji.

Równolegle przedstawiciele PZU Ukraina podkreślali znaczenie jakości regulacji i zaufania inwestorów. – Transparentność i jasne zasady działania są fundamentem budowy dojrzałego rynku – wskazywał prezes PZU Ukraina Maciej Szyszko.

Udział PZU nie ograniczył się do uczestnictwa w dyskusjach panelowych. W Gdańsku podpisano list intencyjny dotyczący wspólnej odbudowy kościoła św. Mikołaja w Kijowie – ważnego miejsca polskiego dziedzictwa. To symboliczne, ale i realne działanie wpisujące się w szerszą ideę partnerstw publiczno-prywatnych.

Odbudowa to także ludzie

Drugiego dnia konferencji ciężar rozmów przesunął się w stronę rynku pracy i kapitału ludzkiego. W panelach i warsztatach wybrzmiewała teza, że bez inwestycji w ludzi – ich kompetencje, zdrowie psychiczne i poczucie bezpieczeństwa – żadna odbudowa nie będzie trwała. – Najbardziej wartościową inwestycją nie jest dziś technologia, lecz człowiek – podkreślał prezes Szyszko, wskazując na rolę edukacji i inkluzywnego rynku pracy.

W tym zakresie szczególnie widoczna była aktywność Fundacji PZU, która poprzez swoje działania rozszerza perspektywę czysto ekonomiczną o wymiar społeczny.

Warsztat o przyszłości młodych

Ważnym wydarzeniem towarzyszącym konferencji był warsztat Fundacji PZU „Future-Ready Generation: Investing in Children, Youth and Social Resilience powered by GRUPA PZU", poświęcony młodemu pokoleniu i odporności społecznej.

W dyskusjach uczestniczyli eksperci z Polski i Ukrainy, przedstawiciele organizacji społecznych oraz samorządów. Tematy obejmowały m.in. wpływ dezinformacji na młodych ludzi, potrzebę wsparcia psychicznego oraz budowanie kapitału społecznego.

Szczególnie dużo uwagi poświęcono zdrowiu psychicznemu – potrzebie jego wzmacniania oraz formom wsparcia. Rozmawiano również o tym, jak operacje wpływu i dezinformacja oddziałują na młode pokolenie. W warsztacie uczestniczyła wicemer Mariupola Olha Pikula, która podkreśliła, że miasta w Ukrainie już dziś podejmują działania na rzecz wspierania młodych ludzi – jednak potrzebują w tym partnerstwa i wsparcia organizacji pozarządowych.

Wnioski z warsztatu wskazują jasno, że współpraca łącząca organizacje społeczne, ekspertów, biznes i samorządy jest najlepszą drogą do stworzenia młodym ludziom poczucia bezpieczeństwa oraz warunków do budowania przyszłości i odbudowy kraju.

Raport o Polakach

Na stoisku Fundacji PZU w Gdańsku zaprezentowano raport „Polacy o odbudowie i przyszłości Ukrainy". To ważny element konferencji, przenoszący dyskusję z poziomu instytucjonalnego na poziom społeczny.

Z badania wyłania się obraz społeczeństwa, które – z jednej strony – zachowuje wysokie poczucie solidarności z Ukrainą. Z drugiej strony coraz wyraźniej oczekuje, że proces odbudowy będzie oparty na zasadach partnerstwa i wzajemnych korzyści. Polacy widzą w odbudowie nie tylko moralny obowiązek, ale także realną szansę gospodarczą dla regionu.

Wyraźnie wybrzmiewa także wątek społeczny: respondenci dostrzegają znaczenie odbudowy kapitału ludzkiego – edukacji, rynku pracy i zdrowia psychicznego – jako warunku trwałej odbudowy państwa. To spójne z jednym z głównych wniosków konferencji: że infrastruktura jest niezbędna, ale to ludzie i relacje społeczne decydują o powodzeniu całego procesu.

Region, który się zmienia

Konferencja w Gdańsku potwierdziła, że odbudowa Ukrainy przestaje być wyłącznie projektem pomocowym. Coraz wyraźniej widać ją jako jeden z największych programów inwestycyjnych w Europie najbliższych dekad.

Obecność na wydarzeniu Grupy i Fundacji PZU dobrze ilustruje tę zmianę: od deklaracji solidarności do konkretnych narzędzi, partnerstw i projektów – zarówno gospodarczych, jak i społecznych.

To właśnie w połączeniu finansów, zaufania i kapitału ludzkiego rysuje się dziś realny scenariusz odbudowy. Ukraine Recovery Conference 2026 to był jeden z momentów, gdy wszystkie te elementy spotkały się w jednym miejscu.

PZU FUNDACJA

eprasa.pl 742e21c9af

Gwiazda polarna

Norwegia wyrosła na największą sensację mundialu. Jeśli w jej występie coś było do przewidzenia, to fakt, że Erling Haaland sobie postrzela.

MARCIN PIĄTEK

Norwegowie zostawili po sobie wrażenie najlepszego zespołu, jaki odpadł w ćwierćfinałach. Wytrzymali napór Brazylii, a potem ją zdominowali i napędzili stracha Anglikom, przegrywając dość pechowo po dogrywce. Na dobre zerwali ze stylistyką topornej drużyny piłkarzy. Status nowej siły – po raz ostatni grali w mistrzostwach świata w 1998 r. – zdolnej namieszać w mundialowym garnku przyciągał uwagę i zjednywał im sympatię.

Celebrowali zwycięstwa z kibicami, którzy imitowali na trybunach wioślarzy. Rytm nadawał uderzeniami w bęben jeden z piłkarzy, koledzy z zespołu i cały norweski sztab też łapali za wyimaginowane wiosła, nad stadionem niosło się miarowe i gromkie *Ro!* Fenomen zaraził całą Norwegię: wspólnie wiosłowali ludzie na ulicach, parlamentarzyści, przedszkolaki, wspinacze na półkach skalnych i piloci F-35. Kiedyś meksykańską falę na trybunach podchwycili wszyscy kibice, ale wiosłowanie stało się zastrzeżone.

Gole dla Norwegów strzelał głównie 26-letni Erling Haaland, w pięciu meczach uzbierał ich siedem. O takim typie napastnika futbolowi komentatorzy mawiają: bezlitosny egzekutor. Przez większość meczu może być niewidoczny, ale gdy błyśnie, nie ma czego zbierać. Pierwsze sześć bramek zdobył uderzeniami bez przyjęcia, z pierwszej piłki. Gdy obrońcy zastanawiali się, co Haaland zamierza zrobić, piłka już była w siatce. Futbol to prosta gra, a Haaland jej nie komplikuje. Mówi: nie przeszkadza mi, jeśli w trakcie meczu dotknę piłkę siedem, osiem razy, właściwie moim marzeniem jest dotknąć ją pięć razy i strzelić pięć goli.

Haaland wyrósł na jedną z największych gwiazd współczesnego futbolu, ale sprawia wrażenie, jakby towarzyszące zdobywcom goli zachwyty go peszyły. Mówi z prostodusznością rzadką wśród gwiazd futbolu: piłka to sport zespołowy, moje gole są nic niewarte bez wyważenia proporcji w innych formacjach, obrońcy mają bronić, pomocnicy konstruować akcje, ja mam strzelać, a jeśli tego nie robię, trzeba mnie zastąpić albo zwolnić. Wśród

© AL BELLO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 742e21c9af

wielu znaków rozpoznawczych rasowego napastnika – dynamiki, szybkości, siły, pazerności na gole, umiejętności znalezienia się w polu karnym i unikania spalonych, uderzenia z obu nóg (choć chętniej używa lewej), jak i głową, oraz warunków fizycznych (195 cm wzrostu poparte siłą byka), które sprawiają, że obrońcy często za nim nie nadążają albo odbijają się od niego jak od ściany – Haaland ma jeszcze rzadką wśród napastników cechę. Nie okazuje frustracji, gdy koledzy mają problem z dograniem mu piłki, którą zamieni na gola. Mówi, że jest tylko ostatnim ogniwem w łańcuchu; czasem wystarczy, że po prostu dołoży nogę po akcji, w której piłka szła jak po sznurku. Częsty gest z jego strony po zdobyciu gola: wskazanie na partnera, który dograł mu piłkę.

Dla reprezentacji zdobył więcej goli (62), niż zagrał w niej meczów (54). Należy do niego rekord zdobytych bramek w sezonie Premier League (36), gra w niej dla Manchesteru City od czterech sezonów, w trzech był królem strzelców, z klubem wygrał wszystko w Anglii i w Europie. Żaden piłkarz przed Haalandem – a konkurencję ma przednią – nie uzbierał szybciej 50 goli w Lidze Mistrzów, potrzebował do tego 48 spotkań. Jeden z rekordów ustanowił w Polsce; na rozgrywanych w 2019 r. mistrzostwach świata do lat 20 strzelił Hondurasowi 9 goli. Właściwie 10, jeden anulowano wskutek dyskusyjnej decyzji arbitra. Norwegia wygrała 12:0.

Po turnieju nie wracał już w rodzinne strony, ale do Salzburga, do klubu Red Bull, znanego ze świetnej akademii oraz mających znakomite rozeznanie łowców młodych talentów. Nie kazał długo czekać, aż transfer się spłaci. W debiucie w Lidze Mistrzów zdobył hat-tricka w niespełna pół godziny, potem regularności nie stracił, było jasne, że europejskie potęgi nie będą czekać, aż konkurencja je ubiegnie. Pograł w Salzburgu raptem pół roku i mimo ofert z Realu Madryt i Juventusu Turyn Erling wybrał inny klub, słynący z umiejętnej adaptacji młodych piłkarzy, Borussię Dortmund. W tym sensie poszedł śladem Roberta Lewandowskiego, zresztą w tle walki o prymat w Bundeslidze między Borussią a Bayernem Monachium toczyła się rywalizacja z Lewandowskim o miano skuteczniejszego snajpera. Górą był Bayern i Lewandowski, co stało się tylko kolejnym potwierdzeniem tezy, że łup napastnika to funkcja jakości piłkarzy pracujących na jego gole. Ale było jasne, że dla Haalanda Bundesliga robi się za mała.

Kierunek był jeden: Premier League. Erling nie ukrywał, że zamierza iść śladem ojca Alfa-Inge, który trzy dekady temu był solidnym obrońcą, ogranym w Premier League i potrzebnym reprezentacji. Do przedwczesnego końca kariery Haalanda seniora przyczynił się defensywny pomocnik Manchesteru United Roy Keane, znany z brutalności, chamstwa i polowania na kości rywali, którzy kiedyś zaszli mu za skórę. Na tej liście miał również Alfa-Inge i w derbowym meczu w 2001 r. (Haaland grał wówczas dla Manchesteru City) Keane dokonał zemsty, a powtórki nie pozostawiają wątpliwości, że chciał Norwegowi złamać nogę.

Gdy ważyły się losy transferu Erlinga z Salzburga, Manchester United też stanął w kolejce. Wydawało się, że to dla Norwega logiczny kierunek, zwłaszcza że trenerem był tam wtedy rodak Ole Gunnar Solskjaer, były napastnik United, który wprowadzał Erlinga do dorosłego futbolu w Molde. Ale stare waśnie – Alf-Inge powiedział kiedyś, że nie znosi Manchesteru United oraz jego piłkarzy – przyczyniły się do odrzucenia przez Erlinga tej oferty. Karma po faulu Keane'a wróciła, a kibice United do dziś nie mogą się z tym pogodzić. Na stadionie Old Trafford Erling musi wysłuchiwać przyśpiewek odnoszących się do stanu kolana jego ojca.

Trafił do City za 60 mln euro, tyle wynosiła klauzula odstępnego Erlinga w Borussii, to były drobne, z punktu widzenia jego wartości mierzonej ówczesnym potencjałem i dzisiejszej rynkowej wyceny 200 mln euro. Poszedł właściwie na gotowe, czyli do zespołu zbudowanego za pieniądze szejków z Abu Dhabi, prowadzonego przez Pepa Guardiolę, mającego opinię trenerskiego guru. Haaland mówił, że z punktu widzenia napastnika zespół, który już zdominował ligę w Anglii i strzela 150 goli w sezonie, to raj. Nic, tylko strzelać, mając często piłkę wystawioną na tacy.

Już wtedy większość fachowców uważała, że jest dziełem skończonym. Ale do tego trzeba było wcześniejszych etapów. Pierwszy miał miejsce właśnie w Norwegii, przede wszystkim w Molde. Erling trafił tam, mając 16 lat, był wysoki, ale chudy jak patyk. W ciągu dwóch lat podrósł kilkanaście centymetrów, a rolą trenerów od przygotowania fizycznego było dawkować mu boisko i cierpliwie budować mięśnie na siłowni. Łatwo nie było, bo Erling rwał się do gry, niepomny tego, że przeskok z futbolu juniorskiego do dorosłego jest trudny. Jego trenerzy wiedzieli, że jeśli rzucą go na zbyt głęboką wodę, może sobie nie poradzić, bo w dorosłej piłce żaden rywal nie będzie stosował taryfy ulgowej dla tego cudownego i wyrośniętego dzieciaka.

Z perspektywy czasu przepis na produkcję napastnika klasy Erlinga Haalanda można sprowadzić do następujących składników: sportowe geny (jego mama Gry Marita Braut była lekkoatletką, zdobyła nawet krajowe mistrzostwo w siedmioboju), szczęście do ludzi wiedzących, jak prowadzić młodego piłkarza, etyka pracy, a nawet swego rodzaju futbolowa obsesja, która sprowadzała się do tego, że świata poza piłką nie widział.

Był uprzywilejowany, bo futbolowa pozycja ojca zapewniała dostatek, know-how i odpowiednie znajomości. Ale dzisiejszej Norwegii i Haalanda nie byłoby bez narodowego systemu szkolenia, zapoczątkowanego w 2013 r. Futbol to nie jest w zwariowanej na punkcie aktywności fizycznej Norwegii sport pierwszego wyboru, a choć zdarzali się tam świetni piłkarze, to reprezentacja należała nawet w Europie do drugiej ligi.

W końcu w norweskim futbolu wzięła górę myśl, że dalsza produkcja boiskowych drwali nie ma sensu. W kraju stworzono siatkę krytych boisk ze sztuczną nawierzchnią, trenerów wysłano, by podpatrywali najlepsze zawodowe wzorce w Europie, stworzono 18 regionalnych centrów szkoleniowych dla dzieci w wieku 12–16 lat i ujednolicono system szkoleniowy, którego fundamentalne założenia głosiły, że w futbolu chodzi o strzelanie goli, a piłka nożna to sztuka podejmowania szybkich i odpowiednich decyzji. Nowa Norwegia wciąż jest twarda, ale i kreatywna i cieszy się grą, przełom widać też w piłce klubowej. Piłkarze norweskich klubów ogrywają się w meczach o coraz wyższą stawkę, eksport kwitnie, reprezentacja zbiera owoce.

W norweskim myśleniu o futbolu, i sporcie w ogóle, mocno tkwi też szacunek dla korzeni, pracy u podstaw. Przed mistrzostwami świata piłkarze zapozowali do zdjęcia w strojach klubów, w których zaczynali przygodę z piłką. Mało która koszulka się powtarzała, co dowodzi skuteczności obranej drogi. Poproszony o ogłoszenie składu na mundial niemal 90-letni król Harald V powiedział: to drużyna całej Norwegii zbudowana dzięki ciężkiej pracy, na marzeniach i wspólnocie. To poczucie biło też od piłkarzy, którzy podczas mundialu sprawiali wrażenie starych kumpli, którzy świetnie się bawią i nic nie muszą, za to wszystko mogą. Ale to już przeszłość, poprzeczka oczekiwań poszła w górę. ■

eprasa.pl 742e21c9af

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Mateusz Morawiecki ponownie odwiedził Żurnalistę. Taki duet to dzisiaj rzadkość. Obaj wiedzą, jak zagospodarowywać cudze działki.

●

Tomasz Hajto skomentował refleksje Książula o Hotelu Gołębiewski. Słowa kluczowe: „nobody", „gówniarz", „bez szkoły", „bez niczego". Tomasz konsekwentnie udowadnia, że poza boiskiem także trafia.

●

W pierwszym półroczu liderem kanałów informacyjnych była TV Republika. 5,51 proc. udziałów. Brawo. Dobrze ilustruje to tezę, że ludzi łatwiej jest oszukać, niż przekonać, że zostali oszukani.

●

Pierwszym gościem Daniela Nawrockiego w kanale „Pasmo" był patostreamer Sergiusz Górski skazany za groźby karalne, znieważenie, naruszenie nietykalności. Jadąc klasykiem, „Pan redaktor się ogarnie".

●

Informacją tygodnia był wpis Katarzyny Bosackiej o tym, że źle jemy arbuza, gdyż powinniśmy go przed jedzeniem umyć. To się w dyni nie mieści.

●

Oto Instagram lepszy niż kabaret: Paweł Paczul śledzący sieciowych hochsztaplerów, deweloperów cyrkowców i mieszkaniowych rzezimieszków. Polecam. Taki Jan Śpiewak, tylko z charyzmą.

●

Marianna Schreiber, prezydentka Krakowa *in spe*, nie zna autora ołtarza w Kościele Mariackim, ale jest za to za poruszaniem się samochodem bez badań technicznych. Tu też bym nie podbił przeglądu.

●

„Press" informuje, że Polsat i TVP nie starają się o sublicencję do meczów MLS, czyli ligi Roberta Lewandowskiego. No chyba że, zgodnie z modą, zadzwoni prezydent.

●

Skolim wprowadził do swego sklepu autorską linię bielizny: męskie bokserki i damskie stringi. Na tych pierwszych widnieje napis „Wejdę Wyjdę". Jak strasznie brzmi na tym tle hasło mego dzieciństwa z 1981 r.: „Wejdą, nie wejdą?".

●

Joanna Racewicz wzięła ślub sama ze sobą. Do ceremonii przygotowywała się 21 dni. Brawo. Prawdziwej miłości nie zaszkodzi nawet małżeństwo.

© AKPA

Michał Wiśniewski zdradził, że jego żona przygotowała 700-stronicowy pozew. Przypominam: „Czarodziejska góra" ma 798 stron, „Bracia Karamazow" 960. Michał znów dołączył do najlepszych.

Ida Nowakowska i Piotr Kędzierski poprowadzą w Polsacie teleturniej muzyczny „Hitster" polegający na odgadnięciu, z którego roku pochodzi prezentowany utwór. Taki „Jeden z dziesięciu" minus dziewięciu.

●

Gościem specjalnym 4. sezonu komediowego show Prime Video pt. „LOL: Kto się śmieje ostatni" będzie Elżbieta Jaworowicz z TVP1. Szok. Trwają poszukiwania reportera, który zrobi z tego sprawę.

●

Z okazji 70-lecia legendarnego Teatru Sensacji „Kobra" TVP Kultura pokazuje przez całe wakacje archiwalne spektakle. Doskonały ruch. Niech młode pokolenie zobaczy umiejętności, a nie polubienia.

●

9 lipca Norbi, eks-TVP, poprowadził wraz z Dorotą Wellman poranny program „Dzień Dobry TVN". Historyczna data. Przebaczamy i prosimy o przebaczenie. Z wyjątkiem jego wszystkich piosenek.

●

Drugą wiadomością tygodnia był tatuaż Roberta Makłowicza na nodze fana Roberta Makłowicza, na którym Robert Makłowicz złożył autograf. Wolę jednak informacje, które mają i ręce, i nogi. Makłowicza.

●

Krzysztof Cugowski ujawnił, że 50 Cent za użycie fragmentu utworu Budki Suflera w swojej kompozycji zapłacił w 2015 r. 6 tys. dol. 50 Cent urodził się w 1975 r. Biorąc pod uwagę inflację, to on dziś będzie 3 dolar i 12 cent.

●

Mamed Chalidow został skazany na 1,5 roku więzienia za paserstwo luksusowych samochodów oraz podpalenie dwóch aut w Rybniku. Skoro już jesteśmy przy sporcie, to z Rybnika pochodzi Jerzy Dudek.

eprasa.pl 742e21c9af

Samba przed rozstaniem

Po zwycięstwie Karola Nawrockiego niektórzy prorokowali, że jeszcze zatęsknimy za Andrzejem Dudą. „Niedoczekanie! – myślałam wtedy. – W Dudzie nie ma niczego, za czym można by zatęsknić". Nigdy dość powtarzać: „Nie mów hop przed zachodem słońca. Nie chwal dnia, zanim nie przeskoczysz". Wstyd się przyznać, ale zatęskniłam. Duda był antybohaterem. Rola, jaką odgrywał, ulepiona była z dramatu i farsy. Z jednej strony manieryczne miny i przemowy à la Mussolini, z drugiej – decyzje niszczące władzę sądowniczą i sianie nienawiści na zamówienie PiS. Więc tak, był śmieszny i słaby, był szkodliwy, ale nie był z gruntu zły.

Z perspektywy czasu jego wizerunek ocieplają serdeczne stosunki, jakie utrzymywał z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim. Z pewnością nie były skutkiem zimnej kalkulacji, w każdym razie nie tylko. Na zdjęciach z tamtego czasu widać chemię: wyraża się w niestandardowej bliskości prezydenckich ciał podczas powitalnych przytulasów, w promiennych uśmiechach i rozkochanych (nie bójmy się tego słowa) spojrzeniach. No i te szalone wyprawy Andrzeja do Rzeszowa, żeby złapać się z Wołodymyrem choć na chwilę za każdym razem, gdy wracał z Zachodu do Kijowa. Nie chcę być źle zrozumiana, ale jest dla mnie oczywiste, że między Dudą a Zełenskim iskrzyło. Po ludzku, ale i po męsku, choć bez dalej idących konsekwencji. Było to ładne i bardzo to lubiłam.

Zełenski i Duda squeerowali ukraiński archetyp. Zwykle Kozak ulegał czarowi pięknej Polki. Tym razem uwiódł Polaka.

Dla Zełenskiego ten prawie romans nie oznaczał wizerunkowej transgresji. Przed wojną jako artysta estradowy tańczył na szpilkach i w makijażu, świetnie się przy tym bawiąc. Rosjanie wydobyli te nagrania z czeluści internetu i próbowali go ośmieszyć, nie rozumiejąc, że siła i urok Zełenskiego biorą się właśnie z tego – z kryjącej się w zwierzchniku sił zbrojnych Ukrainy rozsznurowanej męskości, wolnej od mizoginii i homofobii. Gdyby się jej zaparł, dawno wypaliłby się i złamał. Heroiczne męstwo nie jest możliwe na tak długą metę bez mocnego kontrapunktu.

Z Dudą jest inaczej. Dla niego to fatalne zauroczenie było przekroczeniem. Krakowianin z sądeckiego rodu, ratujący porwany wiatrem opłatek, nie jest kimś, kto pozwoliłby sobie zakochać się w mężczyźnie. Jego zdjęcia z Zełenskim dlatego są tak wzruszające, że polski prezydent nie ma pojęcia, co się z nim dzieje. Nie kontroluje emocji i mowa ciała zdradza go na całej linii. Gwoli sprawiedliwości trzeba zauważyć, że inni europejscy politycy też ulegali seksapilowi Zełenskiego. Wystarczy spojrzeć choćby na zdjęcia z Emmanuelem Macronem.

Zełenski i Duda w duecie odwrócili i squeerowali ukraiński archetyp. Zwykle to Kozak ulegał czarowi pięknej Polki, jak młody Andrij uwiedziony przez wojewodziankę kowieńską w powieści „Taras Bulba" Gogola. Tym razem to Kozak uwiódł Polaka. Między Polską i Ukrainą zawiązała się więź wywrotowa i nowoczesna. Transgraniczny eros zastąpił dialektykę pana i niewolnika, która od wieków truła nasze stosunki. Nie przypadkiem za Dudy nasze relacje z Ukrainą były najlepsze.

Na początku operetki „Odebranie orderu" prasa ujawniła, że Duda miał z Zełenskim nieoficjalną umowę dotyczącą polityki historycznej. Polska miała nie wywierać presji na Ukrainę w kwestii UPA, a Ukraina miała nie drażnić Polski. Układ ten działał, dopóki nie zburzył go Karol Nawrocki. Najpierw postanowił wygrać wybory na antyukraińskim resentymencie. Potem przy pierwszym spotkaniu wręczył Zełenskiemu książkę „Dokumenty zbrodni wołyńskiej". Było to wypowiedzenie wojny i Zełenski *aluzju poniał*. Subtelne nici zostały zerwane, mosty spalone. Duda nie zdążył nawet zaśpiewać rozdzierająco głosem Hanny Banaszak: „Nie, nie możesz teraz odejść, popatrz listki takie młode... Proszę cię na rozstań moście, nie zabijaj tej miłości...".

Nawrocki zapewne jest zdolny do wszystkiego, ale na szpilkach nie zatańczy. Relacje z Ukrainą buduje na wzór wojen kibolskich, gdzie jedni ryczą „Legia pany!", drudzy odrykują „Legia k..., Widzew pany!", po czym zaczyna się jatka. „Nikt i nigdy nie będzie nakazywał nam, jak żyć, jak mówić, kogo kochać, komu być wdzięcznym i jakich bohaterów szanować" – powiedział Zełenski w ukraiński Dzień Konstytucji. Dodał, że Ukraina szanuje samą siebie, ceni swoich obywateli i chroni ich prawo do bycia Ukraińcami. W Panteonie Narodowym znajdzie się miejsce dla Marka Bezruczki, ale nie zamiast Bandery.

Ukraina od początku tej wojny, czyli od 2014 r., buduje się jako naród polityczny. Kończy proces, który trwa w jej historii od bardzo dawna, i czyni to w uniesieniu. Polacy byli dla niej najczęściej antagonistami, tak samo jak Moskale. Fascynacja Dudy i Zełenskiego została nam dana jako szansa na nowe otwarcie, oparte na wolnej i twórczej energii pragnienia. To mógł być początek naprawdę pięknego romansu. Mogły być z tego udane dzieci. Nawrocki osiągnął tyle, że Lachy znowu próbują wziąć Kozaków pod but, a Sicz kipi od drwin z bufonów w kontuszach. I tylko racja stanu skomle pod płotem, biedna sierotka.

RENATA LIS

eprasa.pl 742e21c9af

Hartman

Kuku na muniu

Nie wiem, czy zauważyliście, ale ostatnimi laty każde z nas zapoznało nowego kolegę albo koleżankę, a nawet zyskało prawdziwego przyjaciela. A wszystko to dzięki *brain science* i jej naukowej siostrze kognitywistyce, które rozsiały pośród ludów ziemi tę wspaniałą nowinę, że oto każde z nas, nawet nie wiedząc o tym, nosi w sobie nadziane na lancę kręgosłupa wspaniałe przedpotopowe stworzenie.

Niczym rozwijający się embrion mózg ma swoje warstwy – pamiątki po kolejnych etapach ewolucji. A najbardziej fascynujące jest to, że gdzieś bardzo głęboko siedzi w nim prymitywny gad znający jedynie głód, strach i tępą wolę przetrwania, podczas gdy ledwie po wierzchu – niczym lukier na cieście – ma taką „substancję szarą" w „korze czołowej", w której tyle prądów biegnie i się krzyżuje, aż z tego niczym poświata nad rozjarzonym miastem unosi się świadomość, a wraz z nią boski rozum i prawe sumienie. Lecz wbrew tej zwodniczej jasności, w ciemnych i wilgotnych odmętach mózgowia dziką swą władzę dzierży ów gad – nieustępliwy i bestialny.

> Co jak co, ale na filozoficzne problemy wódka jest akurat dobra. A przecież – dla dobra mózgu – mieliśmy z niej zrezygnować.

Nowość w naszym rozumieniu samych siebie polega na tym, że nasze mózgi w ostatnich dekadach mocno się wyemancypowały, ulegając swoistej personalizacji, i niczym niewidzialne dusze dla starożytnych stały się dla nas partnerami do rozmowy, a nawet partnerami życiowymi. I jak to z partnerami bywa – musimy się liczyć z ich potrzebami i różne rzeczy z nimi negocjować.

Może to dobrze, bo teraz każde z nas jest właścicielem i hodowcą takiego wewnętrznego pieska, dzięki czemu nikt naprawdę nie jest już na świecie sam. Musi tylko o niego dbać, zgodnie z zaleceniami „higieny mózgu". Piesek musi się wyspać, trzeba go wyprowadzać na tereny zielone, za to nie wolno go przegrzewać, a już zwłaszcza nie należy poić go wódką. Nawet jak bardzo prosi! A przede wszystkim trzeba do niego przemawiać. I sami powiedzcie, kto w naszych czasach nie przemawia czule do własnego mózgu? A przemawiać będziemy jeszcze więcej i czulej, gdy zmęczy nas nowy sztuczno-inteligentny przyjaciel, bez którego ani rusz.

I to jest może wspaniałe, ta nasza relacja z mózgiem, tylko że rodzi się niepokojące pytanie, kto jest tu podmiotem hodującym, czyli panem albo panią mózgowego pieska. Oczywiście pan (pani), z którym (którą) się utożsamiam bardziej niż z samym mózgiem, zwłaszcza zaś tym „gadzim", również rezyduje w układzie nerwowym, w okolicach czołowych, skąd próbuje się mądrzyć nad całą resztą białej i szarej substancji, a nawet wymądrzać się o sprawach ziemi i nieba. Tylko kto tu właściwie jest w kim? Ja w mózgu czy mózg we mnie? A może mózg jest mną i tylko wydaje mi się, że jest „pieskiem", którym się opiekuję? A może to on jest moim panem, a ja jego pieskiem? Sam Kartezjusz tego nie rozbierze bez wódki. Co jak co, ale na filozoficzne problemy wódka jest akurat dobra. A przecież – dla dobra mózgu – mieliśmy z niej zrezygnować.

Jakby tam z tym nie było (Piękny rusycyzm, czyż nie? Ba, ma się ten mózg!), to w ramach swojego „korowego" wymądrzania się, dzięki któremu czujemy, że żyjemy, a nawet myślimy, że żyjemy, i w ogóle jesteśmy (bo cóż by myślało, gdyby nie istniało?), praktykujemy niepoprawny narcyzm. Oto wywyższamy się z protekcjonalną czułością nad tą bezwładną i bezbronną różowoszarą galaretą, którą ewolucja powołała do tego, by trwać, póki się da, oraz reprodukować swoje mniej lub bardziej udane kopie w kolejnych ciałach. Mówimy „ja" i myślimy, że „mamy" swój mózg. Chwycił kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb, nomem omen, trzyma! Takie to jest „posiadanie".

A jednak mam silne poczucie, że mój mózg to nie to samo co ja, ale też nie ktoś obcy. To jakby mój wewnętrzny pasożyt symbiotyczny, z którym się nawzajem używamy, jak to w związku. Jest stworzonkiem mi najbliższym, choć mało mi znanym. Na dobrą sprawę nawet go nie widziałem (nie daj Boże taka randka!). Za to wiem, że potrzebuje glukozy, tlenu i dużo snu, a gdy jemu jest źle, to i mnie jest źle. Łatwo go oszukać i omamić – byle książką, filmem, muzyką albo czułymi słówkami – lecz i on odpłaca pięknym za nadobne, zalewając nas w podzięce a to endorfinami, a to kortyzolem, przez co czujemy się lepiej albo gorzej, zachowujemy rozsądnie albo robimy głupstwa. Dlatego warto z naszym muniem kochanym żyć na przyjacielskiej stopie, bo jak się nam na nim zrobi kuku, to już po nas! Tym bardziej że idą czasy, gdy roboty obejmą swoje faszystowskie rządy nad światem. I cóż nam wtedy zostanie, jeśli nie on!

JAN HARTMAN

eprasa.pl 742e21c9af

FELIETON

Passent

Wilk morski

Ostatnio łączyłam się przez Starlink z kapitanem Krzysztofem Baranowskim, który po raz trzeci samotnie opływa glob na jachcie regatowym Meteor. Przeprowadzaliśmy w radiowej Jedynce wywiad na temat dzienników. Nie tylko pokładowych. Dlaczego ludzie prowadzili i prowadzą dzienniki, ale i jak zmieniają dzienniki prasowe i telewizyjne. Jak wyglądałaby dziś opowieść o PRL na podstawie dziennika „Trybuna Ludu", a jak dopełniają ją dzienniki Wiktora Woroszylskiego, Józefa Czapskiego itd. I co zmieniły social media – dzięki wpisom na fejsa o samotnych żeglarzy martwimy się mniej.

Mój telefon zastał pana kapitana u brzegów Australii o piątej rano. Na pytanie, jak mu się udało nie zaspać, wybuchnął gromkim śmiechem. Przecież wiadomo, że wyznaczonej trasy trzeba cały czas pilnować, czuwa się nieustannie, śpi się wtedy, kiedy nadarzy się bezpieczna okazja, a nie bite osiem godzin, jak polecają specjaliści od *wellness*. „Meteor" – jacht, który Krzysztof Baranowski zbudował – posiada wszystkie cuda nowej technologii, ale dziennik pokładowy prowadzony jest analogowo, a na wypadek gdyby wszystko nagle padło i trzeba by było nawigować nocą według gwiazd, samotny żeglarz zabrał sekstant.

– Czy zostawił pan coś pod równikiem, że po raz trzeci wybrał się w taki rejs dookoła świata?

A gdyby zdziecinniali politycy samotnie udali się na rejs wokół Ziemi? Czy i gdzie wypłynęliby na powierzchnię?

– Nie, robię to dla moich uczniów. Dla przyszłego prezydenta Polski. Nie wystarczy skończyć studiów i szkoły morskiej, trzeba ciągle zbierać nowe doświadczenia.

Słuchałam i myślałam o żałosnych typach, którzy ostatnimi laty zostali prezydentami. Andrzej Duda ma najnowsze osiągnięcie – kupił sobie Porsche. Oto wychowawczy przykład dla młodzieży. Donald Trump bredzi o tym, jak zna się na piłce nożnej. Środowisk naukowych nie przestaje obrażać, a dotacje rządowe na badania, choćby dna oceanu, odbiera laboratoriom i uniwersytetom.

Fajnie by było, gdyby najbardziej zepsuci, zdziecinniali narcyzi, skorumpowani politycy, którzy kupili sobie lewe dyplomy na pseudouczelniach, doktoraty dostali od kumpli, i ci, którzy nie potrafili pracowicie i sprawiedliwie gospodarzyć miastami, zamienili się z kapitanem Baranowskim i samotnie udali na wielomiesięczny rejs wokół Ziemi. Bardzo jestem ciekawa, czy i gdzie wypłynęliby na powierzchnię. I jak wyglądałby ich dziennik pokładowy. Jak to się stało, że uśpiono naszą czujność? Połowa z nas jakby uwierzyła, że byle popychadło może zostać prezydentem kraju, bo oprócz „siedzenia pod żyrandolem", złośliwego wetowania, chwalenia się garsonkami żony taki człowiek niewiele musi mieć talentów i umiejętności. Na emeryturze żadna uczelnia nie zaprosi go z wykładami, bo studenci nie stawią się na jego mowę.

Zaczęły się wakacje i mnożą się reklamy wycieczek. Jako że ceny od pandemii wzrosły niebotycznie, ważniejsze staje się to, z kim chcemy ten czas spędzić, a nie gdzie. Lewicowi działacze antysamochodowi grzmią, że kupujemy coraz większe auta, ale obserwując młodych mężczyzn, nie jestem pewna, czy chciałabym wozić ich na tylnym siedzeniu, podwozić autostopem czy dać się im wozić. Nie wiem, kogo podnieca nowa męskość. Może producentów suplementów i broni? Na jutubach królują sfrustrowane „spocuchy" albo happenerzy w rogatywkach nawołujący do tropienia Niemców na granicy i Ukraińców w tramwajach. Może to męskość urażona, odrzucona przez sceny teatralne, kuratorów galerii i wojska terytorialne?

Trudno sobie wyobrazić atrakcyjne wakacje z młodym mięśniakiem konfederatą, mając świadomość, że ów „dżentelmen" gardzi tym, co publiczne, życzy mi niebotycznych rachunków za szkołę syna, a własnej babci – nierefundowanych leków, a gdybym oszalała i wyszła za niego, to musiałabym pozbyć się prawa do głosowania. Dobrze ma się wśród nowych mężczyzn tzw. gniazdowanie. Uwaga, drogie matki i kochanki, to już czerwony alert! Młody mięśniak, pogromca Niemca, wyprowadzkę z domu rodziców odracza na po trzydziestce (rozumiem, że wysokie koszty najmu im się podobają w ramach wolnego rynku), więc nie wiem, czy takiego Lolitka chciałabym raczyć mym *womansplaining*. No bo jak to tak: my już w moim kabriolecie, on w foteliku grzecznie przypięty, gdy wtem dzwoni na kamerkę jego mamusia z pytaniem, czy może już wstawiać ziemniaczki, bo obiad dziarskiemu chłopcu szykuje...

Na tym tle wilk morski jawi się jako idealny partner wakacyjny. Wypłynie sobie sam, dając nam wolność i spokój. Możemy spokojnie wybrać się na daczę mazurską, obóz tenisowy lub zostać w stolicy, która latem jest pusta i pełna jazzu. Nie trzeba mu robić przekąsek do samolotu, suszyć kąpielówek, natrąbiony piwem nie stoczy się z kajaczka, nie każe nam marnować zachodów słońca na oglądanie kopaniny i korupcji stadionowej. A po roku możemy spokojnie poczytać o jego przygodach, zapachu powietrza pod równikiem w dzienniku. Tym pokładowym i tym bardziej osobistym.

AGATA PASSENT

eprasa.pl 742e21c9af

Gości powitali organizatorzy: prezes Fundacji im. J. Paradowskiej i J. Zimowskiego Wojciech Wróblewski, bratanek publicystki Jan Paradowski oraz dyrektor Teatru Variété Kamila Polit

Co by dziś Janka powiedziała

To był wyjątkowy wieczór, podczas którego brakowało jedynie patronki tego spotkania. Jej błyskotliwych, nierzadko ironicznych uwag, zdystansowanego spojrzenia na politykę i media, prognoz, które okazywały się prorocze.

Wciąż trudno nam to pojąć, ale minęła już cała dekada, odkąd nie ma z nami Janiny Paradowskiej, dziennikarki, komentatorki, mistrzyni publicystki politycznej, która odeszła zupełnie niespodziewanie, po cichu, 29 czerwca 2016 r. Z okazji 10. rocznicy Jej śmierci w miniony piątek w Krakowie – rodzinnym mieście naszej publicystki – spotkali się Jej bliscy, przyjaciele, współpracownicy i osoby, dla których mimo upływu lat pozostaje wzorem dziennikarskiego kunsztu. Bo publicystyka na chłodno: bez emocji, twitterowych wyścigów o to, kto pierwszy coś skomentuje, rzuci jakąś kąśliwą uwagę lub „zasięgotwórczy" banał, to dziś już rzadkość. I o tym też była mowa w krakowskim Teatrze Variété, który wraz z Fundacją im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego zorganizował specjalny wieczór poświęcony naszej legendarnej publicystce, nazywanej Pierwszą Damą Polskiego Dziennikarstwa.

Atrakcji tego wieczoru nie brakowało. Oprócz opowieści i anegdot, pokazujących bezkompromisową postawę Janiny Paradowskiej, jej wręcz alergiczny stosunek do kłamstw, półprawd i politycznych manipulacji, dużo było też wspomnień, czasem wyjątkowych, bo bardzo osobistych, w których odbijała się ta mniej znana – przynajmniej publicznie – twarz dziennikarki. Bo Paradowska, przed którą respekt czuł niejeden polityk, przy całej swojej stanowczości i nieustępliwości była też szalenie pomocna – wspierała i dopingowała, jeśli dostrzegła w kimś potencjał. Zupełnie bezinteresownie.

O tym też mówili znamienici goście. Wśród licznie przybyłych osobistości świata mediów, polityki czy kultury nie zabrakło m.in. byłej premier Hanny Suchockiej, wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza, byłego prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego, p.o. prezydenta Krakowa Stanisława Kracika, prof. Jana Widackiego, prof. Marcina Mikosa czy chargé d'affaires a.i. Bogdana Klicha. Spotkanie otworzyli: dyrektor Teatru Variété Kamila Polit, bratanek publicystki Jan Paradowski oraz Wojciech Wróblewski, prezes Fundacji im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego, upamiętniającej dorobek małżonków m.in. poprzez przyznawanie dorocznych nagród „za dzielność" publicystyczną i obywatelską (misję Fundacji można wesprzeć na: **jankajerzyfundacja.pl**).

Szczególnie poruszające było przemówienie lidera PSL, który wspominał rozmowy z Janiną Paradowską, w tym tę najważniejszą, bo ostatnią, na kilka dni przed jej śmiercią. Był początek lata 2016 r., rok wcześniej prezydenturę objął Andrzej Duda, do władzy powrócił też PiS. Kosiniak-Kamysz przyznał, że wyczuł wtedy u Paradowskiej pewien rodzaj zrezygnowania: owszem, czuła się spełniona, zarazem nie chciała żyć w takiej Polsce, jaka się wówczas zaczynała. Przeczuwała, że te rządy nie skończą się szybko. „Nie mogła patrzeć na to oszustwo, hipokryzję, chamstwo i obłudę, które wylewały się wtedy każdego dnia. (…) Nie mogła się pogodzić z utratą wartości demokracji, prawdy, przyzwoitości, piękna – tych, które zawarte są w preambule naszej konstytucji, z którymi utożsamiała się jak nikt inny w swojej pracy zawodowej. Coraz trudniej dziś znaleźć dziennikarzy jej pokroju, którzy noszą w sobie szacunek do słowa: jego jakości, staranności, piękna wypowiedzi, ale również jego wagi i odpowiedzialności" – podkreślał wicepremier. Na koniec zaś – nieco tajemniczo – życzył „żeby duch Janiny Paradowskiej, jej odwaga, towarzyszyły nam wszystkim w najbliższych miesiącach".

Na gości czekał też przygotowany przez TVP bardzo udany minidokument poświęcony Paradowskiej (emitowany także w TVP Info) – opowiadający o jej życiu, szczególnym związku z Krakowem, w którym wyrosła i do którego nieprzerwanie wracała (od 5 lat jest tu skwer jej imienia – przy ul. Łobzowskiej, nieopodal miejsca, gdzie dorastała), początkach w zawodzie, pracy w POLITYCE, TOK FM i w telewizji. A także o tym ostatnim dniu, gdy nagle zabrakło jej głosu w porannej audycji. I wszyscy już wiedzieli, że stało się coś złego, bo na Janinę Paradowską zawsze można było liczyć, „nie nawalała".

Stanisław Kracik podkreślał, że: „Wszyscy jesteśmy trochę z Janiny Paradowskiej, bo nas ukształtowała". I dodawał, że dzięki niej mamy standardy, do których możemy się odwoływać. Tyle że to się gwałtownie zmienia – na naszych oczach trwa medialna rewolucja. O tym, jak ona wygląda i jakie może mieć skutki dla społeczeństwa i demokracji, mowa była podczas specjalnej debaty prowadzonej przez redaktora naczelnego POLITYKI Jerzego Baczyńskiego, poświęconej nowemu medialnemu porządkowi i komunikacji politycznej. To, co najbardziej uderzyło podczas tej dyskusji, to charakter tych zmian i tempo, które niesamowicie przyspieszyło właśnie od 2016 r. A mówili o tym: Jarosław Kurski, były pierwszy zastępca red. nacz. „Gazety Wyborczej", ubiegłoroczny laureat Nagrody im. Janiny Paradowskiej za Dzielność Publicystyczną, Jan Dworak, były szef TVP i KRRiT, oraz Michał Fedorowicz, przewodniczący Europejskiego Kolektywu Analitycznego Res Futura, badacz nowych mediów.

eprasa.pl 742e21c9af

Do Teatru Variété ściągnęły osobistości świata mediów, polityki czy kultury. Wśród nich wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz oraz przedstawiciele władz Krakowa.

O medialnej rewolucji z Jerzym Baczyńskim rozmawiali: Jarosław Kurski, Jan Dworak i Michał Fedorowicz

Jerzy Baczyński zwrócił uwagę, że dziennikarstwo takie, jakie uprawiała Janina Paradowska, staje się dziś towarem mocno deficytowym, może nawet zbędnym. Zniknęło poczucie wspólnoty dziennikarskiej; co więcej, politycy uznali, że dziennikarze są dziś niepotrzebni.

„Dzisiaj każdy jest jednoosobową redakcją; jest jednocześnie dziennikarzem, wydawcą, tylko problem polega na tym, że nie handluje informacjami, które przeszły proces sprawdzania, tylko handluje emocjami, bo algorytmy w oparciu o nie budują zasięgi" – zwracał uwagę Kurski. „A media tradycyjne, referencyjne przegrywają z emocjami, fakty tylko przeszkadzają w tej nowej rzeczywistości" – dodawał.

Baczyński dopytywał też o to, co się stało z mediami publicznymi. Bo ich rola przez tę ostatnią dekadę, na skutek rządów PiS, też się zdegradowała. Jan Dworak pokusił się o szerszą refleksję i przywołał myśl José Ortegi y Gasseta, który zauważył, że im bardziej społeczeństwo robi się egalitarne, tym bardziej pospolicieje gust. Zarazem były szef KRRiT przekonywał, że wiele zależy od samych polityków – wszak to oni ustalają warunki, w których pracują dziennikarze. I apelował do nich, aby: „Zwrócili uwagę na tę niezwykle ważną sferę, jaką jest wolność słowa. A także, że właśnie media publiczne (…) mogą być instytucją, która będzie dostarczała informacje w wiarygodnej formie". Jak podkreślał: „Jeżeli życie polityczne testuje odporność demokracji, to media muszą reagować".

Redaktor naczelny POLITYKI zauważył, że jeszcze kilkanaście lat temu: „Mieliśmy nadzieję, że internet da nam ogromne nowe możliwości nie tylko zasięgu, ale też budowy relacji z odbiorcami. Wierzyliśmy w dziennikarstwo obywatelskie. (…) Ale te nowe media, jak się okazało, unieważniły dziennikarstwo, media jako pośrednika między światem polityki a odbiorcami. Dały szansę politykom przeskakiwania bezpośrednio do odbiorców, nieodpowiadania na pytania dziennikarzy". Jak mówił Baczyński: „Politycy zyskali narzędzie komunikacji, a właściwie – manipulacji. A media społecznościowe stały się tak naprawdę mediami antyspołecznościowymi".

Michał Fedorowicz, który na co dzień bada nowe media, pokazywał, dlaczego ten 2016 r. był kamieniem milowym w komunikacji politycznej – to wówczas przecież po raz pierwszy wykorzystano dane użytkowników z mediów społecznościowych do wpływania na ich decyzje wyborcze (afera Cambridge Analytica), co wyniosło Donalda Trumpa do władzy. Przez tę dekadę „nakarmiliśmy" też mocno algorytmy informacjami o nas samych. „Żyjemy w świecie dwóch prawd: prawdy obiektywnej, której symbolem była Janina Paradowska, i prawdy emocjonalnej, czyli prawdy algorytmicznej, gdzie prawdą nie jest sama prawda, to, o co toczy się gra, ale to, co ma milion serduszek. Bo milion serduszek jest prawdą dla algorytmu" – tłumaczył Fedorowicz. Nawiązał też do obserwacji Baczyńskiego o obchodzeniu mediów przez polityków: „Media przestały być falochronem między użytkownikami/wyborcami a politykami. Dzisiaj politycy sami stali się mediami dla siebie, ponieważ mają swoje kanały, tłitery, fejsbuki i generują niejednokrotnie większe zasięgi". Zarazem – jak dodawał – „Te 10 lat to cała epoka, która sprawiła, że polityka stała się grą. Polityk wyświetla się dziś między panią, która rozpakowuje prezent od firmy kosmetycznej, a chłopakami, którzy jeżdżą na rolkach". Fedorowicz mówił też m.in. o tym, jak tzw. big techy, korzystając już z narzędzi sztucznej inteligencji, chcą zastąpić media tradycyjne, przestrzegał, że nie mamy żadnej kontroli nad tym, co nam się wyświetla w telefonach, i prognozował: „Kampania 2027 r. będzie kampanią 30 mln użytkowników, nie będzie jednej, centralnej kampanii, bo wszyscy będziemy mieli kampanię w komórce". Jakie będą tego skutki?

Spotkanie w teatrze poprzedziło oddanie hołdu Janinie Paradowskiej i Jerzemu Zimowskiemu oraz uroczyste złożenie kwiatów na ich grobie. Mogiła małżonków znajduje się w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Rakowickim.

Po debacie na gości czekał spektakl muzyczny (Rafał Szatan, Małgorzata Chruściel, fortepian: Józef Rusinowski) i bankiet. W kuluarach zastanawiano się, jak „Janka" skomentowałaby to czy inne wydarzenie; jak oceniałaby ruchy rządu, napiętą sytuację w koalicji, skrajnie prawicowy skręt opozycji. Wreszcie – czy oburzałaby się na kierunek, w którym przepoczwarza się dziennikarstwo, coraz silniej zdominowane przez kolporterów emocji i wrażeń, nie zaś rzetelnych informacji i jakościowych opinii. „Obiektywizm nie jest wyciąganiem średniej z prawdy i kłamstwa" – zwykła powtarzać Janina Paradowska. Warto o tym pamiętać.

MALWINA DZIEDZIC

DO I OD REDAKCJI

Marsz Pamięci

Wraz z Żydowskim Instytutem Historycznym zapraszamy na Marsz Pamięci, który rozpocznie się **22 lipca o godz. 18 pod Pomnikiem Umschlagplatz w Warszawie**, w 84. rocznicę rozpoczęcia przez Niemców „Grossaktion" – masowej deportacji Żydów z warszawskiego getta do obozu zagłady Treblinka II. Marsz upamiętni ofiary brutalnej akcji eksterminacyjnej. Uczestnicy dadzą świadectwo, że próba wymazania Zagłady się nie powiodła – co przy naporze skrajnej prawicy i umacnianiu się postaw antysemickich i rasistowskich wydaje się szczególnie ważne.

© LESZEK ZYCH (3), URZĄD MARSZAŁKOWSKI W KRAKOWIE

eprasa.pl 742e21c9af

Co wiedział prezydent

Narodowa tragedia, jaką jest rządowa pomoc walczącej Ukrainie poprzez przekazanie jej na prośbę USA i szefa NATO pięciu rakiet Patriot, przybiera na sile. Niepokojąca informacja, że rząd Tuska oddał Ukraińcom za darmo coś nowoczesnego i w dodatku działającego, oburzyła opozycję i prezydenta Nawrockiego.

Nie wiadomo nawet, czy Ukraińcy okazali za ten gest należną wdzięczność. Znając ich, raczej nie okazali, tylko sprytnie udawali, że okazują, dlatego politycy opozycji zgadzają się z prezydentem, że temat należy wyjaśnić do spodu, a winni powinni zostać ukarani. Minister Przydacz zarzuca MON głupotę albo zdradę, bo od początku było jasne, że Ukraińcy się z rakiet ucieszą. Dlatego, jeśli już Kosiniak-Kamysz musiał im coś dać, mógł dać coś, co się do niczego nie nadaje albo nie działa, albo chociaż wymaga kosztownego generalnego remontu.

Jestem przekonany, że w rządowych magazynach znalazłyby się jakieś stare hełmy, wybrakowane kamizelki kuloodporne, przeterminowane szczepionki czy chińskie maseczki, które rządowi PiS zostały po covidzie. Przekazanie dzielnie walczącym Ukraińcom tych rzeczy w niczym by im nie pomogło, a jednocześnie nie osłabiłoby naszego bezpieczeństwa, dlatego nie wątpię, że spotkałoby się z szeroką społeczną akceptacją.

Szef MON upiera się, że Polska bez pięciu przekazanych rakiet i tak jest bezpieczna. Uważa, że ich oddanie to bardzo korzystny ruch, gdyż w razie niebezpieczeństwa Polska otrzyma „dziesięć razy więcej tego typu rakiet i systemów w ciągu pierwszej doby zagrożenia". Możliwe, z tym że wiadomo, że Rosja jest nieobliczalna. Nie chcę krakać, ale czy Kosiniak-Kamysz zastanowił się, do czego może dojść, jeśli, nie daj Boże, żadnego zagrożenia dla Polski nie będzie? Wtedy za pięć rakiet, które oddaliśmy, nie dostaniemy ani jednej – i z tym całym brakiem zagrożenia zostaniemy jak Himilsbach z angielskim.

Kosiniak-Kamysz zapewnia, że informował Nawrockiego o przekazaniu Ukrainie rakiet do systemu Patriot. Ale Kancelaria Prezydenta alarmuje, że nic nie wie o tym, żeby prezydent o tym wiedział, dlatego jej zdaniem cała odpowiedzialność za to, że w pełni sprawne rakiety dostały się w ręce Ukraińców, spada na MON.

Podobno prezydent nie wiedział nawet, że w sprawie rakiet czegoś nie wie, bo minister Przydacz mu o tym nie powiedział. Trudno się dziwić; minister ten sprawia wrażenie kogoś, kto nie bardzo wie, czy wiedział o tym, że prezydent o rakietach nie wiedział. Jego zdaniem o to, co prezydent wiedział, że wie, należy spytać prezydenta.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint leipa passion process technology

eprasa.pl 742e21c9af

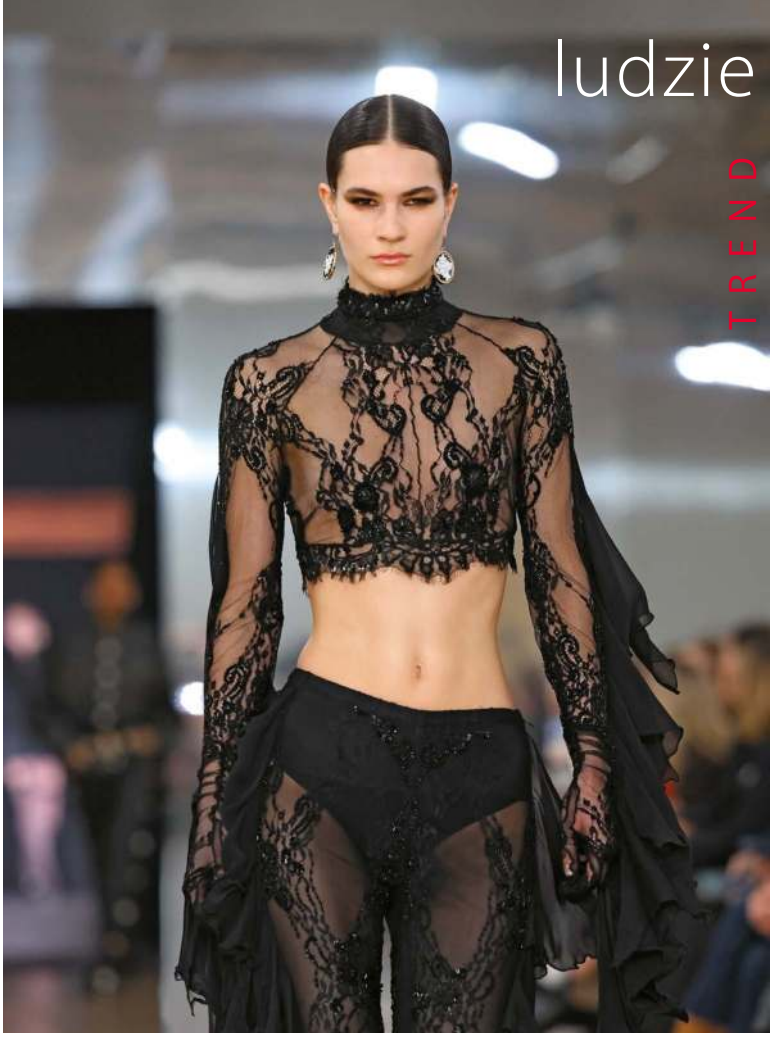

TREND

Z jednej strony masowo odsłaniamy pępki, nie przejmując się fałdkami, z drugiej – na pokazach znów dominują ekstremalnie szczupłe modelki. Ulica rozjechała się z wybiegiem.

Brzuchy na wierzch

Gdzie się nie obrócisz, tam odsłonięty brzuch. Nie, nie piszemy o plaży. Na ulicach, w tramwajach, metrze, parku, w drodze do pracy, podczas zwiedzania zabytków – odsłonięty pępek nie jest zarezerwowany dla osób w typie patyka, teraz każdy rozmiar bez wstydu i kompleksów może uśmiechać się do słońca. *Crop top* – czyli bluzkę odciętą w połowie żeber i jej tekstylne wariacje – noszą osoby o różnych szerokościach i metrykach, kichając na to, co powiedzą obserwatorzy.

Na zdrowie! Zbyt długo właścicielki brzuchów przedkładały estetyczne oczekiwania innych nad własny komfort i modowe potrzeby. Część z nich pewnie wetuje sobie w ten sposób straty za lata 90., czyli pierwszą falę popularności gołych brzuchów. Pamiętacie Britney Spears? Na noszenie się w jej stylu decydowały się przede wszystkim dziewczyny bez fałdek. Dziś trend obejmuje każdą, która ma ochotę za nim podążyć. To kolejny rozdział *body positivity*, czyli ciałopozytywności.

Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Goły przód noszą też gwiazdy: i Emma Stone, i Dolly Parton, i nade wszystko Rihanna, która także rozpropagowała modę na dumne wietrzenie brzucha ciążowego – zwłaszcza obramowanego piękną i kosztowną stylówką. Propozycje ogrania nagiego środka co rusz wyskakują z Instagrama i TikToka. Z kolei na pokazach kolekcji jesień–zima 2026 modelki z odsłoniętym *midriff* (tak w branży określa się brzuch) sunęły u Prady, Roberto Cavalliego czy w wersji ekstremalnej – u **Blumarine**.

Na wybiegu u Coco Chanel aż tak progresywnie nie jest, ale i tu coś się dzieje w sekcji środkowej: królują luźniejsze fasony i ubrania, które nie wymuszają, aby cały dzień spędzać na wciągniętym brzuchu. Bardzo to w duchu samej Coco, wszak to ona uwolniła kobiety z gorsetów. Jej następcy też nie zamierzają nikogo sznurować.

Niestety tu luz się kończy, bo wśród modelek prezentujących te stroje dominowały chudzielce. Fala nostalgii za latami 90. wypluła bowiem i inne zjawisko: mody na szczupłość. Pamiętacie Kate Moss i *heroin chic*? Świat wybiegów i świat ulic ponownie się rozeszły w różne strony. Według raportu „Vogue Business" podczas tych samych jesienno-zimowych pokazów aż 97,6 proc. modelek prezentowało amerykańskie rozmiary 0–4 (czyli europejskie 32–36). Modelki *plus size* stanowiły mniej niż 1 proc. Ciałopozytywna rewolucja, która jeszcze kilka lat temu wydawała się zmieniać modę na dobre, wyraźnie wyhamowała.

Cytowany przez BBC Shaun Beyen, odpowiedzialny za dobór modelek dla francuskiej marki Fursac, mówi: „Marki mają tylko jedną motywację – sprzedawać ubrania. Nie musimy tu ściemniać. W poprzedniej dekadzie zaadoptowały trend *body positivity*, bo zobaczyły w tym potencjał sprzedażowy. Gdy po 2020 r. ta strategia przestała przynosić dochody, marki się z niej wycofały". Na koniec w równie bezpardonowym stylu Beyen dorzuca: „Szczerze? Nie chcę oglądać ubrań na kimś takim jak ja. Chcę je zobaczyć na kimś, do kogo aspiruję".

Nieprzypadkowo zbiegło się to z erą Ozempicu. Gdy kolejni celebryci zaczęli gwałtownie chudnąć, a wieści o „cudownym leku" wyszły poza krąg docelowej grupy pacjentów z cukrzycą, moda na chudość wróciła do świata mody. Biała koszulka z napisem: „I love Ozempic" (Kocham Ozempic) stała się hitem sprzedażowym i wiralowym małej berlińskiej marki Namilia. Na semaglutydzie chudnie nie tylko branża modowa, swój nowy rozmiar zachwalają najpopularniejsi ludzie na globie – w tym Elon Musk czy sportowcy tacy jak koszykarz Charles Barkley, a także raper o pseudonimie... Fat Joe (Gruby Joe). Czasy, w których Karl Lagerfeld zgubił 40 kg na diecie złożonej głównie z Coli Zero, wróciły w nowej odsłonie.

Ozempic przez jakiś czas będzie wyznaczał sylwetkowe trendy, aż domy mody znów zobaczą, że nie każda klientka z siłą nabywczą wyznaje motto pani Wallis Simpson: „Nigdy nie można być zbyt chudym ani zbyt bogatym". I że niezależnie od dyktatury tego czy owego projektanta ludzie będą robić swoje. Bo raz odzyskaną wolność oddaje się trudniej niż modne fasony. ■

© PIETRO D'APRANO/GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 742e21c9af

WIRAL

Wiosłują, bronią, sędziują

W tym roku można szczęśliwie odpuścić żarty z narodowej triady (mecz otwarcia, o wszystko i o honor) i pośmiać się z innych okoliczności towarzyszących mundialowym rozgrywkom. Kibice w Europie śmieją się również sami z siebie, bo śledzą turniej kosztem snu, nieprzytomnie, z zapałkami w oczach. A potem przeżywają wszystko jeszcze raz, w internecie. Największym mundialowym fenomenem okazał się bezsprzecznie norweski napastnik Erling Haaland, wiking o łagodnym usposobieniu. W krążącym filmiku, wciąż parodiowanym, wystraszył się własnego odbicia w lustrze. W innych widać, że porusza się niczym neandertalczyk, a zaraz potem wbija gole niemal od niechcenia. Wiele osób szuka w sobie podobieństwa do Haalanda, w tym blondwłose dziewczyny i, nie szukając daleko, Marcin Meller z dawnych lat („byłem Haalandem, zanim to było modne"). Po tych paru tygodniach z futbolem nikt też nie ma wątpliwości, że najlepiej na świecie kibicują Norwegowie – „wiosłując" i głośno pohukując.

Są też zupełnie nowi bohaterowie, jak kabowerdeński bramkarz Vozinha, który zaczynał mundial z 40 tys. fanów w socialach, a kończy z 27 mln. Ciekawy jest zarazem rozjazd między komentarzem w telewizyjnej transmisji a wrażeniami internetowych kibiców. Chwalony za powściągliwość i elegancką postawę **Kylian Mbappé** w social mediach jest prześmiewczo nazywany „dyktatorem". Wystarczyło, że raz sprawdził na zegarku sędziego, która jest godzina, a innym razem poprosił arbitra, by przekazał opaskę kapitana jego zmiennikowi. Wielki pan!

Jest też dyktator z krwi i kości, czarny bohater futbolowych igrzysk – Donald Trump, który sprawił, że amerykański zawodnik z czerwoną kartką mógł nieniepokojony wrócić do gry. W deepfejkach Trump jest obsadzany w roli sędziego na boisku. Nic dziwnego, że porażkę USA przyjęto w sieci wybuchem radości i poczuciem dziejowej sprawiedliwości. Podobnie, trzeba przyznać, obśmiewano Niemców, zwłaszcza rzut karny Jonathana Taha – w wiralowych filmikach piłka ląduje wszędzie, tylko nie w bramce.

To pierwszy mundial czasów AI i rolek, emocjonujących czasem bardziej niż niektóre mecze. Powstał też w ten sposób co najmniej jeden hit „muzyczny" („niech to będzie oficjalny hymn mundialu!"). Tiscore, popularny twórca internetowy, zmiksował wygłoszoną na boisku decyzję sędziego Ivána Bartona o przyznaniu czerwonej kartki. Elektryzujący utwór „Red Card" trafił już na Spotify. Nie wiadomo wprawdzie, co na to salwadorski arbiter. Ale brzmi lepiej niż „Polacy, nic się nie stało".

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

SŁOWO

Nocne rezanie

Na polskiej scenie rapowej sukces wydaje się gwarantowany. Weźmy **Huberta.** W mianowniku Hubert. – zawsze z kropką, co kłopotliwe, jeśli pada w środku, a nie na końcu zdania. W 2022 r. rapował „Już łapie mnie trema/ Bo za trzy lata zagram Open'era". I proszę, trzy lata później był już w programie imprezy. Na pewno grała tu rolę konsekwencja, bo wcześniej zapowiadał jeszcze (w utworze „Kobayashi"): „Ludzi pełno, scena wielka tak jak Vikersund/ Zaraz zagram Open'era, już szykuję grunt". Scena Alter Stage nie jest tak duża jak skocznia w Vikersund, ale w tym roku Hubert. znowu tu występował, dla odpowiednio większej publiczności. I po premierze nowej płyty „się porobiło...". Dobre samopoczucie i pewność siebie to podstawa – i kropka.

Na tej nowej płycie dalej jeździ po kraju – co charakterystyczne dla opowieści Huberta. – ale też trochę imprezuje. W utworze „Zielona noc" pojawia się trop rezania: „W pokoju okropny sajgon, za oknem robi się jasno/ Słyszę jak trzaskają drzwi, wszyscy rezają, że wyruszy patrol". Zaraz, co dokładnie robią?

Rezanie historycznie nie kojarzy się dobrze: z rzezią albo z cięciem. I to ostatnie znaczenie trafiło do słownika rapowego (za gwarą więzienną czasów PRL) już dawno, wiążąc się w tym środowisku raczej z cięciem sampli i tworzeniem muzyki. A zarazem przeniosło w sferę rozrywek, jak 20 lat temu u Łony w brawurowym i dwuznacznym („herba" to raczej nie herbata, choć dalej rodzaj zioła): „Reż tę herbę, reż ją na przestrzał/ I reż też resztę, jeśli będzie jakaś reszta herby/ Ja na przykład bez reszty robię się żywszy/ Odrobinę dobrej herby wyreżywszy". Wychodzi na to, że nie tylko Łona, ale wszyscy robią się żywsi, dużo gadają, krzyczą i wyczyniają głupoty nad ranem. I tu jesteśmy blisko tego, co robiła ta młodzież z utworu Huberta. Chociaż tego, co kto naprawdę wyrezał, nie wie nikt – nawet ten patrol.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Tęsknię za besties, nie mów nikomu,
Wykupiłem cały wagon, żeby mieć w nim spokój, ziomuś
Hubert., PKP, 2026 r.
besties – najlepsi kumple (lub kumpele)

© AN, UNIVERSAL MUSIC, TOMEK MĘDREK, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 742e21c9af

Truskawki w makaronie

Dla wielu Polaków to danie to kulinarny wehikuł czasu. Iga Świątek nadała mu światowy rozgłos.

Latem Polacy znów stają się bardzo podzieleni. Tym razem nie chodzi jednak tylko o politykę czy sport. Kością niezgody jest... jedzenie. W czerwcu, najpóźniej w lipcu, odżywa na nowo spór o to, czy makaron na słodko to „prawdziwy obiad", czy może profanacja (szczególnie dla fanów kuchni włoskiej). Są osoby, których nawet słynna rekomendacja Igi Świątek z ubiegłorocznego Wimbledonu – dzięki której o makaronie z truskawkami usłyszał cały świat – nie jest w stanie przekonać.

U nas w domu pojawienie się makaronu z truskawkami to dziś symboliczny początek lata. Moja żona Paulina tak go uwielbia, że do końca sezonu nie wychodzi on z naszego jadłospisu. Dla mnie jest to szczególnie nostalgiczne danie, które w klasycznej wersji przypomina wychowanym w PRL-u lub w latach 90. wakacyjne dni na wsi. Albo wręcz przeciwnie: koszmar rozgotowanego, zimnego makaronu z niesłodkim sosem z przedszkolnych stołówek.

Ale fani makaronu na słodko w wielu kwestiach się ze sobą nie zgadzają. Zamysł tego dania jest znany, ale wciąż toczą się spory o to, czy użyć penne, świderków, a może ryżu? Zamiast twarożku (w wersji roślinnej nazywanego „tofurożkiem") niektórzy dodają śmietanę – i tu znów pytanie: słodką czy kwaśną? Truskawki można z kolei połączyć z cukrem lub nie; zblendować na zupę lub tylko rozgnieść widelcem. Niektórzy nawet zjadają szypułki, które co prawda mają trawiasty smak, ale są skarbnicą antyoksydantów, witaminy C, żelaza i błonnika, a przede wszystkim wpisują się w filozofię *zero waste*. ■

Tomek Mędrek
– bloger, influencer specjalizujący się w roślinnych przepisach z pogranicza kuchni polskiej i comfort food. Wspólnie z żoną publikuje na blogu Veganhigh.pl oraz profilu na Instagramie: @tomek.medrek.

Wegański makaron z twarogiem i truskawkami (4 porcje):

- kostka tofu naturalnego (ok. 180 g)
- 1–2 łyżki cukru białego do tofu
- 1–2 łyżki cukru białego do truskawek (według uznania)
- 1–2 łyżki soku z cytryny
- 1–2 łyżeczki kwasu mlekowego (opcjonalnie, ale polecam)
- łyżka ekstraktu waniliowego lub łyżeczka cukru wanilinowego
- 4 łyżki rzadkiej słodkiej wegańskiej śmietanki
- 300–400 g dojrzałych truskawek
- trochę soli (opcjonalnie)
- łyżka płatków drożdżowych (opcjonalnie)
- dowolna ilość makaronu (ok. 100 g na porcję)
- bazylia, mięta (opcjonalnie, mogą być posiekane)

Wykonanie (15 minut):

- Tofu rozdrabniamy w dłoniach lub widelcem na granulki. Dodajemy do niego cukier, sok z cytryny, kwas mlekowy, wanilię, śmietankę i sól. Mieszamy dokładnie, próbujemy. Możemy jeszcze doprawić, ale warto odstawić na ok. 5–10 minut, by masa się przegryzła, i dopiero wtedy ewentualnie jeszcze raz doprawić.
- Truskawki wrzucamy do blendera kielichowego lub używamy wysokiego naczynia i blendera ręcznego – albo rozdrabniamy widelcem. Dodajemy cukier, blendujemy na pulpę z niewielkimi kawałkami owoców.
- Makaron gotujemy i szykujemy od razu zimną wodę (a najlepiej lodowatą). Cedzimy i chłodzimy w wodzie. Znów cedzimy. Następnie na makaron wykładamy wegański twarożek. Dodajemy truskawki z cukrem (opcjonalnie też zioła), mieszamy i zajadamy! Smacznego!

Wskazówki:

- Kwas mlekowy można zastąpić dodatkowymi 2–3 łyżkami soku z cytryny – choć polecam go kupić, bo dzięki niemu twarożek będzie miał jeszcze bardziej głęboki „nabiałowy" smak.
- Przed blendowaniem truskawek można, ale nie trzeba, pozbywać się szypułek.

eprasa.pl 742e21c9af

W wakacyjnym cyklu „Pocztówka POLITYKI" opisujemy ulubione kraje polskich turystów – ale od naszej, czyli właśnie politycznej, strony. Kto i jak rządzi, co to za system, czym martwią się obywatele, co im leży na sercu. Nasi najlepsi autorzy co tydzień opowiadają o kolejnym kraju.

Wietnam: pozdrowienia z przeszłości

Zatoka Hạ Long

Tu przyroda jest surowa jak reżim. Sierpy i młoty co rusz przypominają, gdzie jesteśmy. W przeszłości, wśród duchów.

W Wietnamie wszyscy będą was pozdrawiać, zwłaszcza dzieci. Zachodni turyści są tu często brani domyślnie za Amerykanów, ewentualnie Rosjan, i proszeni do wspólnych zdjęć. 50 lat po wojnie resentyment do USA nadal jest wprawdzie odczuwalny, ale nie przysłania większego obrazka – trzeba z czegoś żyć i odnaleźć swoje miejsce w globalnej, a przynajmniej regionalnej układance sił. Dziś Wietnam zachowuje równy dystans do Chin i Stanów Zjednoczonych. Chińczycy docierają tu zresztą najchętniej. W zeszłym roku ten kraj przyklejony do wciąż popularniejszej Tajlandii odwiedziło rekordowe 21 mln osób, więcej niż przed pandemią.

Wietnam zachował swoją odrębność i tożsamość mimo, a może właśnie ze względu na boje toczone z Francją i USA w poprzednich stuleciach. Długo był chińską i francuską kolonią, wykrwawiał się, by wywalczyć niepodległość, a skutki amerykańskiej napaści odczuwają wciąż kolejne pokolenia – na duszy i na ciele. Wizyta w Muzeum Pozostałości Wojennych w Sajgonie, obowiązkowa, grozi bezpowrotną zmianą stosunku do Ameryki.

Aleksandra Żelazińska
redaktor naczelna Polityka.pl. Czyta, pisze, redaguje, śledzi trendy w realu i w sieci.

Dyscyplinę trzyma władza. Kraj jest rządzony przez Komunistyczną Partię Wietnamu, założoną przez Hồ Chí Minha (w 1930 r.), który zaszczepił Wietnamczykom pewną dozę nacjonalizmu. Sajgon zmienił nazwę na Hồ Chí Minh na jego cześć, i choć znów jest Sajgonem, to obie nazwy wciąż są tutaj używane. Ciało „ojca narodu" spoczywa zabalsamowane w mauzoleum w stołecznym Hanoi. Trzeba swoje odstać, żeby je raptem przelotnie zobaczyć, a żołnierze pod bronią dopilnują, czy nikt nie robi zdjęć i się nie uśmiecha, bo to również jest zakazane. Mimo wszystko warto – dla samego surrealistycznego doświadczenia.

Swoje mauzoleum ma Lenin, a Wietnam niewątpliwie chciał podobnie wzmocnić kult wodza, który notabene życzył sobie kremacji. Duch Hồ Chí Minha – „Wujka Ho", „Tego, który wnosi światło", zapalonego marksisty – rzeczywiście krąży po kraju, choćby w obrocie gotówkowym (jego uśmiech widnieje na wszystkich banknotach), sierpy i młoty są wszechobecne. Komunistyczna estetyka łączy się czasem oryginalnie z wpływami chińskimi czy francuskimi, widocznymi w architekturze i na talerzu. Po prawdzie *bánh mì* konsumuje się bez talerza; to wariacja na temat bagietek, zjadanych zwykle na śniadanie i wypchanych dodatkami. Na deser: wietnamski specjał, czyli kawa z żółtkiem.

Polityczne zawieruchy to też wietnamska specjalność, zwłaszcza w ostatnich latach. W kwietniu prezydentem kraju został generał Tô Lâm, sekretarz partii, wybrany jednomyślnie przez parlament. Piastując oba

eprasa.pl 742e21c9af

wysokie stanowiska, Tô Lâm przypomina nieco innych komunistycznych dygnitarzy, choćby Xi Jinpinga, prezydenta Chin i partyjnego lidera, który zawsze spieszy z gratulacjami dla kolejnych liderów Wietnamu. Władza w wietnamskim systemie opiera się na czterech filarach, to kolektywne, zwarte rządy sekretarza partii, prezydenta, premiera i przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego. Przy czym prezydent nie ma większych prerogatyw.

Tô Lâm dzierży teraz najwięcej władzy, a ustalenia ostatniego partyjnego zjazdu (styczeń 2026 r.) i majstrowanie przy partyjnym statucie każą sądzić, że rządy będą jeszcze bardziej skonsolidowane. Przed laty, jako minister bezpieczeństwa publicznego, Tô Lâm uporczywie walczył z korupcją, obalając dwóch prezydentów i wtrącając do więzień setki państwowych urzędników. Administracja mocno się skurczyła, bo tak łatwiej brać ją w karby.

Antykorupcyjną kampanię „Płonący piec" zapoczątkował jeszcze Nguyễn Phú Trọng, zmarły w 2024 r., jeden z najpotężniejszych ludzi w kraju, również przez jakiś czas łączący funkcje prezydenta i sekretarza partii. Tô Lâm jest jego ideowym spadkobiercą, ale chciałby te role połączyć trwale, podążając wzorem Chin czy Laosu.

Reżimowy Wietnam chciałby być mocarstwem średniej wielkości, stąd strategiczne relacje z Algierią, Kuwejtem czy RPA. W 2025 r. przyłączył się do grupy BRICS. Dawniej układał się albo w regionie, albo z Chinami, Indiami i Rosją. Dziś próbuje dywersyfikować wpływy, zawsze „mieć więcej przyjaciół niż wrogów", i zabezpieczyć się na wypadek kolejnych utarczek między Pekinem a Waszyngtonem. Nie chce oberwać rykoszetem, choć obrywa i tak – Donald Trump nałożył na Wietnam 46-procentowe cła, które ostatecznie udało się ściąć do 20.

Mówi się, że cieniem na wzajemnych relacjach kładą się nadal powojenne rozliczenia. Amerykanie zobowiązali się przed laty, że oczyszczą Wietnam z resztek groźnych substancji chemicznych (słynny Agent Orange). Trump wstrzymał te wysiłki, patrosząc USAID. Jesienią 2025 r. Pete Hegseth podpisał z Hanoi nowe porozumienie, co jest i moralnie słuszne, i strategicznie opłacalne dla obu stron.

Wietnam nie słynie z poszanowania praw człowieka. W rankingu Democracy Index zajmował ostatnio 133. miejsce na 167, sytuując się między Dżibuti a Eswatini, dalej niż Kambodża (123), bliżej niż Laos (160). Ludzie są tu życzliwi, nie znają takich pojęć jak „dystans" czy „przestrzeń osobista", ale żyją w reżimie autorytarnym. Nie ma w kraju niezależnych mediów. Nieprawomyślność jest przykładnie karana.

Oficjalnie więźniów politycznych jest ok. 160. Ale jak wyjaśnia w rozmowie z OKO.press mieszkająca w Polsce Ton Van Ahn: „Te statystyki obejmują tylko uwięzionych z tytułu zarzutów politycznych. Drugie tyle siedzi np. za zaśmiecanie ulic albo za przestępstwa gospodarcze – bardzo łatwo oskarżyć o to w Wietnamie". I stracić życie. W Wietnamie wciąż jest stosowana kara śmieci, szczęśliwie – jeśli można tak powiedzieć – z repertuaru karanych w ten sposób przestępstw wykreślono niedawno przekupstwo, defraudację i szpiegostwo. Szczęśliwie na pewno dla Trương Mỹ Lan, miliarderki, właścicielki dużej firmy deweloperskiej, która dokonała malwersacji na astronomiczną kwotę 44 mld dol. Ta sprawa wstrząsnęła Wietnamem w 2024 r. A jednak wyrok śmierci zmieniono na dożywocie. Drogocenne mienie rząd wyprzedaje na aukcjach, w tym niemało warte torebki Hermès Birkin (opisywaliśmy ich fenomen w POLITYCE 29/24), które winna bardzo chciała zatrzymać. Sprzedały się w pół godziny za pół miliona dolarów.

Turyści nie odczują surowości reżimu, jeśli trzymają się zasad. Za przekłamania we wniosku wizowym grozi mandat, ale jeszcze wyższy mogą dostać ci, którzy sponsorują pobyt cudzoziemcom z naciąganiem prawa (37 mln dongów w tym wypadku brzmi źle, ale to ok. 5 tys. zł, oczywiście nadal dużo). Kraj żyjący głównie z rolnictwa turystów wita jednak z otwartymi ramionami. Tak jak w Tajlandii wolno się targować i negocjować, głównie z pomocą mowy ciała i kalkulatora. Przez arterie **Hội An**, miasta lampionów, nie da się przejść nieniepokojonym przez ulicznych sprzedawców świecideł. Ani też wrócić z Wietnamu bez tradycyjnego kapelusza non la.

Wietnamczycy wierzą i nie wierzą. Kraj formalnie jest ateistyczny, ale stworzył własną religię, kaodaizm: połączenie buddyzmu, taoizmu, konfucjanizmu, chrześcijaństwa, islamu, judaizmu, niekiedy również spirytyzmu, dżinizmu i braminizmu, z boskim okiem w roli symbolu. Z każdego z wierzeń coś zaczerpnięto: monoteizm, reinkarnację, wiarę w piekło i niebo, kult świętych... Święci są tu również ci, którzy ubogacili świat intelektualnie. Znaleźli się w tym gronie m.in. Maria Skłodowska-Curie, Wiktor Hugo, Lew Tołstoj, Charlie Chaplin czy Lenin. Eklektyczne zbiorowisko, eklektyczna wiara, świątynie adekwatnie upstrzone kolorami.

Religia komunistom nie wadzi, o ile jest ewidencjonowana, niegroźna i niebuntująca się. Wierzącym to nie przeszkadza, o ile mogą swobodnie praktykować. Znana jest fotografia „Napalm Girl", ale jest jeszcze jedna ikoniczna ilustracja z Wietnamu – płonącego mnicha. Był nim Thích Quảng Đức, który dokonał samospalenia, przyjmując na ulicy pozycję lotosu. To na inną opowieść, tu tylko wspomnijmy, że duchowny sprzeciwiał się chowaniu buddyjskich flag. Władzę w Wietnamie Południowym dzierżył wówczas Ngô Đình Diệm, katolik.

Entuzjaści czytania zbłądzą pewnie raczej do Świątyni Literatury, założonej w 1070 r. na cześć Konfucjusza, nieco odseparowanej od zgiełku Hanoi, dlatego traktowanej jak schowany klejnot miasta. Latami działał tu uniwersytet, dziś to świątynia dumania i wytchnienia. Wietnam słynie też z teatru lalkarskiego, specyficznego, bo aktorzy grają zanurzeni po kolana – albo i głębiej – w wodzie. W wietnamskiej specyfice też dobrze się zanurzyć. ■

© SHUTTERSTOCK (2), ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 742e21c9af

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Jak dobrze odpocząć

Na polityka.pl omawiamy na bieżąco najważniejsze wydarzenia w Polsce i na świecie, ale próbujemy też podtrzymać w naszych czytelnikach wakacyjny nastrój. Na początek fundamentalne pytanie: co robić, żeby odpocząć. I jak, dosłownie, nie zachorować już pierwszego dnia urlopu. W podkaście psychologicznym mówi o tym fachowo Małgorzata Dobrowolska, psycholożka biznesu, terapeutka, specjalistka od odporności psychicznej.

Co warto obejrzeć

W wakacje można wreszcie nadrobić seriale. W kulturalnym podkaście recenzujemy te najnowsze, w tym jeden polski i sporo zagranicznych komediodramatów. Nastrój się od nich może nie polepszy, ale to ciekawe opowieści o świecie, także w kontekście obchodzącej 250-lecie Ameryki. Oblicze USA na ekranie nie zawsze jest ładne (jak we **„Wdowiej Zatoce”**). Za to kadry piękne i obsady gwiazdorskie.

Jak pojąć świat

Nieco inny ranking seriali i filmów do nadrobienia przedstawiamy **w wakacyjnym wydaniu podkastu „Świat na zakręcie” o kulisach polityki i dyplomacji. Agnieszka Lichnerowicz i Mateusz Mazzini omawiają najlepsze produkcje poświęcone geopolityce**. Zastanawiają się m.in., jak Hollywood kształtuje nasze wyobrażenie o służbach specjalnych i czy James Bond to na pewno wzorzec szpiega.

Puma pod Koszalinem

Nie byle jaki kot został zaobserwowany pod Koszalinem. Pumę nagrali myśliwi, ktoś próbował ją spłoszyć, krzycząc: „do budy!”, ktoś inny oddał strzał. To nie jest gatunek naturalnie występujący w Polsce i Europie, mamy raczej żbiki i rysie. Jak więc wyjaśnić ten fenomen? **Pumę udało się odłowić, trafi do zoo. Kulisy opisuje na polityka.pl Robert Jurszo.**

Chomiki Konopnickiej

Goście podkastu „POLITYKA o książkach” Justyny Sobolewskiej przynoszą do naszego studia głównie książki. Adam Wajrak, dziennikarz i przyrodnik, przyniósł aparaty fotograficzne. Co łączy literaturę i naturę? Zdradzamy m.in., co Maria Konopnicka wiedziała o chomikach, jak pachną żubry i dlaczego Adam Wajrak szukał w Warszawie dinozaurów. Bohaterami tej rozmowy są także Szymborska, Filipowicz i Kuroń.

© LESZEK ZYCH (2), SHUTTERSTOCK (2), BE&W

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 742e21c9af

PO PIERWSZE, AMERYKA!

W sprzedaży

KUP TERAZ

140 stron

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny m.in.:

eprasa.pl 742e21c9af

Albatros travel

Albatros 40 lat

Włoski Sylwester w Sorrento

Przywitaj Nowy Rok wśród cytrusowych gajów, zachwycających krajobrazów Zatoki Neapolitańskiej i dziedzictwa kulturowego południowych Włoch.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Neapolu i przyjazd do Sorrento nad Zatoką Neapolitańską. **Dz. 2** Urok Sorrento i smaki południowych Włoch. **Dz. 3** Możliwość wycieczki do Neapolu i Sylwester w Sorrento. **Dz. 4** Nowy Rok w spokojnym rytmie i włoskiej atmosferze. **Dz. 5** Powrót do domu.

5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2026

od **5.298,-**

Świąteczny rejs po Dunaju

Migoczące świąteczne iluminacje, aromat prażonych migdałów i korzennego grzanego wina oraz klimatyczne Bożonarodzeniowe Jarmarki od Wiednia przez Budapeszt po Bratysławę.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Wiedeń i zakwaterowanie na statku. **Dz. 2** Zwiedzanie historycznego centrum Wiednia i wizyty na jarmarkach bożonarodzeniowych. **Dz. 3** Budapeszt i jego największe atrakcje. **Dz. 4** Starówka Bratysławy i jarmark bożonarodzeniowy. **Dz. 5** Przelot Wiedeń – Warszawa i powrót do domu.

5 dni | Wylot z Warszawy 08/12 2026

od **4.298,-**

NOWOŚĆ

Dzień dobry Wietnam!

Poznaj tętniące życiem miasto Ho Chi Minh (dawny Sajgon), tunele Cu Chi, Deltę rzeki Mekong, a następnie przez 5 dni odpoczywaj na plaży w Mui Ne.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Ho Chi Minh. **Dz. 2** Przylot do Ho Chi Minh. Powitalna kolacja. **Dz. 3** Ho Chi Minh, tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta. **Dz. 4** Ho Chi Minh. Dzień wolny. **Dz. 5** Ho Chi Minh City i Vinh Long w delcie rzeki Mekong.
Dz. 6 Vinh Long. Wizyta na lokalnym targu i warsztaty kulinarne oraz wycieczka łodzią do wioski garncarzy. **Dz. 7** Delta rzeki Mekong. Wyprawa łodzią po sieci kanałów. **Dz. 8** Z Vinh Long do Mui Ne. **Dz. 9–12** Mui Ne. Indywidualny wypoczynek na plaży. **Dz. 13** Przejazd autokarem z Mui Ne do Ho Chi Minh. Wylot z Ho Chi Minh do Warszawy. **Dz. 14** Przylot do Warszawy.

14 dni | Wyloty z Warszawy

29/12 2026, 01/02 2027

od **9.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL25**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 742e21c9af